

Przyjaciel wesołego diabła

Kornel Makuszyński



calibre 0.9.27

Przyjaciel wesołego diabła

Powieść dla młodzieży

SCAN-dal

Przedziwną historią, którą w tej książce opowiemy, słyszałem od pewnego bardzo starego człowieka; jemu opowiedział ja jego ojciec, jego ojcu jego dziad, jego dziadowi jego pradziad, jego pradziadowi jego prapradziad, jego prapradziadowi jego praprapradziad, a temu praprapradziadowi. opowiedział ja nieznany człowiek, który miał wtedy sto siedemdziesiąt trzy lata i brodę z dostojnej starości tak potężna, że ja przed nim niosło dwunastu pacholków, tak jak dwunastu paziów niesie ogon królewskiego płaszcza. Jasna tedy jest sprawa, że jest to historia sędziwa i gdyby cudownym opowieściom rosły z wiekiem srebrne brody, opowieść, która mamy zamiar opowiedzieć, dźwigałaby brodę równie wspaniała, jak ów starzec. Tak się jednak dzieje na tym Bożym świecie, że to, co kiedykolwiek było piękne, choćby to było przed pięcioma tysiącami lat, pozostaje piękne na zawsze, a czas nie ma do tego przystępu; dlatego poezja, z pięknych najpiękniejsza, narodzona wtedy, kiedy Pan Bóg świat stworzył, nie starzeje się nigdy i kwitnie zawsze białym, radosnym, wiosennym kwieciami. Wielkie zginęły narody, w gruz legły miasta potężne, wielkie państwa przesypał szary popiół niepamięci, ale nie zginęło to, co albo wyrzeźbione na kamieniu, albo zapisane w księgach, albo w żywym słowie podawane było z ust do ust i z serca do serca, opowieści o wszystkim, co było u tych dawno umarłych: wspaniałe, bohaterskie, szlachetne lub pełne wielkiego cierpienia. Piękno jest wieczne, piękno umierać nie może. I po nas zostanie to tylko na wieczyste czasy, co duch pięknego, obmyśl nasza wspaniałego dokona.

Dawne, sędziwe opowieści rozpowiadają zazwyczaj o pięknych sercach i wzniosłych duszach, które wśród przygód nadzwyczajnych okazywały swoją słodycz lub potęgę. Wszystkim tym opowieściom i bajkom ślicznym należy wierzyć całym sercem. Wszystkie bajki są prawdziwe i musiały się zdarzyć kiedyś, kiedyś, kiedy wszyscy ludzie na świecie byli jako dzieci. Ja wierzę we wszystkie. Są takie nadzwyczajne historie, które własnymi oglądałem oczyma, chociaż działy się przed laty tysiącem, są takie, o których od innych słyszałem i też w nie wierzę głęboko, ba są tak

przedziwnie piękne, najpiękniejsze na świecie.

Ta niebywała historia, którą opowiem w tej książce, zdarzyła się prawdziwie. Świadczenie jej dawno pomarli, lecz cóż z tego? Ludzie opowiadali ją ludziom, ptaki ptakom, drzewa drzewom; sędziwa smutna noc opowiedziała ją młodemu porankowi, a poranek, kiedy przeżył swój dzień, opowiedział ją cichemu wieczorowi; stary księżyc, niebieski włóczęga, opowiadał ją niepolitej dzieciarni gwiazd, które dlatego mrugają tak z wielkiego podziwu; wiatr opowiadał ją wodzie, a rzeki szmerzące morzu wielkiemu. Dlatego cały świat pełny jest bajki.

Nie wiem, gdzie i kiedy stało się to wszystko; przed nami rozkwita słoneczny dzień, lecz poza nami leży ocean mroku, niezmierny i mgłami zasnuty; utonęły w nim długie wieki, jakżeż więc na tym ogromie znaleźć te dni, w których się to wszystko działo? Działo się bardzo dawno. A gdzie? To wiem z pewnością, że zaczęło się gdzieś na polskiej ziemi, bo serce tego chłopca, który w tej opowieści najwolniejszy bierze udział, jest przedziwnie polskie: mężne i czyste. Poza tym niezmiernie go ukochałem. Niczego to wprawdzie nie dowodzi, a jednak jakoś tak mi się wydaje, że nie przyłgnąłby mi tak do duszy, gdyby nie z mojej pochodził ziemi. Pewny jestem przeto, że to było polskie chłopię. Pamiętacie, przyjaciele moi młodzi, tych dwóch oberwańców, Jacka i Placka, co ukradli księżyc, o których w poprzedniej mojej opowiedziałem książce? Miałem do nich żal za ich niecne postępy i długiego potrzeba było czasu, zanim się dałem udobruchać. Wiele mi te śmieszne nicponie napsuły krwi i wiele miałem z nimi utrapień, choć to też byli Polacy. Ten zaś chłopak, który w tej książce się ukazuje, bardzo mi przypadł do serca. Czasem zakręciła mi się w oczach łza. Toteż o nic nikogo nie proszę, tylko o odrobinę miłości dla niego.

Czas już jednak rozpocząć jego niezwykłą historię:

Rozdział pierwszy

który wesoło się zaczyna, a smutno się kończy

Słońce z krwawym żalem na twarzy zachodziło tego dnia, na świecie bowiem była wiosna, pachnąca i rozkwiecona. Zapadał wieczór słodki, tak piękną swoją rozrzewniony, że z oczów jego padały brylantowe łzy rosy. Nad polami i wertepami, nad krętą drogą, wijącą się jak burzliwy strumień to w tę, to w ową stronę, podniosły się ciężkie, białe mgły i snuły się leniwo, jak ogromna gromada białych krów, które wiatr wypędził na pastwisko, na trawy i burzany. Nad dalekimi górami, wśród których rodzą się wichry i gdzie się burzliwe lęgną chmury, zasrebrzył się młodziutki księżyc, młodzieniaszek śliczny, nieco blady z lęku, bo sam był na ogromnym niebie, z którego sączył się mrok.

Wieczór uczynił się pełny poświaty i widny, bo noc nie zdążyła jeszcze wypić wszystkiej dziennej jasności, co się rozpaczliwie chwytala gałęzi drzew, jak srebrna, powiewna pajęczyna. Ciepło było i aż duszno od zapachów niepoliczonych ziemi szczęśliwej, bujnej i bogatej. Wonią dymiło każde drzewo, a każdy krzew śnieżystego głogu był jak kadzielnica. Pachniały wody wonią leniwą, rozmarzającą żaby i pobudzającą je do tak potężnych głosów radości, że wiatr, muzykant przedziwny, wpadał zniecierpliwiony w lasy oczeretów i płoszył żabie chóry.

Wśród tych głosów i wśród tych zapachów zdązał krętą, ledwie wytyczoną na pustkowiu drogą, samotny podróżny. Był to człowiek srebrnego już wieku, bo włosy miał srebrzyste, Przybrany w strój poważny, w spłowiałe i wyrudziałe aksamity, żadnej nie miał przy sobie broni i od razu czynił pozór mędrca, tym bardziej, że twarz miał przedziwnie szlachetną, z wyrazem słodkiej dobroci; źródło jej było w oczach radosnych, zarazem i bystrych, i patrzących tak niewinnie, jak gdyby oczyma tymi patrzyło dziecko. Taki to był człowiek, na którego widok każdy odkrywa głowę, aby jego uczcić i tę szlachetność, co w całej jego była postaci biednie przybranej, lecz godnej bisiorów i purpury.

Jechał on na ogromnym koniu, tak dziwnym, że na jego widok wszystkie konie świata zdumiałyby się zdumieniem wielkim, waząc w bystrym końskim rozumie, czy można by bez pomyłki nazwać koniem to wielkie cielsko, pokryte skórą niepewnej maści, jak gdyby wypłowiałą, zakończoną z jednej strony olbrzymim łbem, smutno opuszczonym ku ziemi, z drugiej bezwłosym kikutem ogona. Ogon ten, którym smętny ten koń dawał od czasu do czasu znak, że się w nim jeszcze tuła jakaś resztką życia, był jedyną, chociaż cokolwiek zaniedbaną ozdobą zacnego czworonoga, przez igraszkę losu spokrewnionego z Bucefałem Aleksandra Macedońskiego. Stapał on z nadzwyczajną powagą, dźwigając dobrotliwego mędrca i kilka pokaźnych tobołów, sztywno stawiając spracowane nogi, potężnie u nasady kopyt kosmate.

Pan jego patrzył jasnym spojrzeniem w zasnutą cieniami dalekość wieczoru, rumak zaś utkwiał nieruchomy wzrok w ziemię, śmiertelnie obojętny na wszystko, co się działo dookoła. Takie sprawiał wrażenie, że albo głęboko o czymś rozmyśla, albo też, że on sam dawno już zdechł, a teraz drogą stapa jego upiór, wypłowiały koński duch z wyłysiałym od nadmiernych zmartwień ogonem.

W pewnej chwili, kiedy się ku nim zbliżył ciemny las - nie można bowiem powiedzieć, że ten melancholijny bachmat zdołał się zbliżyć ku lasowi - człowiek ze srebrnymi włosami i ze słodyczą w twarzy podniósł wzrok ku gwiazdom i rzekł cichym, dobrotliwym głosem:

- Późno już, luby mój Huraganie, czy nie mógłbyś się pośpieszyć?

Wspaniałym, a tak burzliwie lotnym imieniem nazwany, rumak przyjął tę uwagę bez drgnienia, z niezmaconym spokojem, jak gdyby nie chciał przerywać swoich tajemnych rozmyślań. Uśmiechnął się tedy jego pan, przywykły widać do zwyczajów swojego czworonoga i rozpoczął dłuższą przemowę, usiłującą z pomocą rozsądnych argumentów trafić do wielkiego końskiego rozumu, mieszając w nie i takie słowa, które powinny poruszyć i serce.

- Trzydzieści już lat nosisz mnie, miły Huraganie, i przez trzydzieści lat niepojętym odznaczasz się uporem. Czy ci uczyniłem co złego? Czy uderzyła cię kiedy moja ręka? Powiedz, zaprzecz, jeśli możesz i jeśli nie jesteś niewdzięcznikiem! A widzisz, że nie możesz... Proszę cię, jak kogo dobrego, a ty wciąż swoje... Wiem, że jesteś zmęczony, ale i ja też utrudziłem się nadmiernie. Kiedy ty odpoczywałeś, ja rozprawiałem z mędrkami, co nie jest sprawą lekką. Czym prędzej tedy chciałbym być w domu, czego zapewne i ty pragniesz. Rosa pada coraz gęstsza, a to nic dobrego na nasze stare kości. Pośpiesz się, dobry Huraganie! Ach, nareszcie! Widzę, że się przygotowujesz do szybkiego biegu!

Rumak ani przez chwilę jedną nie miał tak wspaniałego zamiaru, śmiertelnie słabym ruchem rzewnego ogona dając znać jedynie, że nie jest czuły ani na pochlebstwa, ani na budzenie w nim ambicji.

Dostojny jeździec spojrzął z rozpaczą w niebo, aby gwiazdy i rogaty księżyc wezwać na świadectwo, że wyczerpał anielską cierpliwość; groźnie zmarszczył czoło i, usiłując głos napełnić gniewem, rzekł:

- Widzę, złe stworzenie, widzę, niewdzięczny koniu, że dobrocią nie można zajechać na tobie daleko. Mogłem się tego po tobie spodziewać! Nie warto być dobrym. Już mi dawno radzili dobrzy ludzie, abym cię sprzedał, albo wyprowadził do ciemnego lasu i pozostawił wilkom na pastwę. O, czemuż tego nie uczyniłem! Ale nigdy nie jest za późno... Słyszysz? Nigdy nie jest za późno! Ach, drżysz z lęku i trwogi!

Rumak, stąpając miarowo, z rozpaczliwym spokojem, nie poruszył nawet uchem.

- Ach, tak - mówił głośno jeździec - myślisz, że żartuję? Mylisz się, zły Huraganie. Już jutro rozstaniemy się na zawsze, a teraz... Czy wiesz, co uczynię teraz? Zerwę kolczastą gałąź i będę cię smagał do krwi... Może zresztą nie do krwi, ale cię będę smagał, jeśli natychmiast nie ruszysz cwałem... Nie widzę nigdzie cierniowej gałęzi, ale zwyczajna też wystarczy. Ho! ho! Nawet uderzenie ręką też mocno boli, a ja mam potężnie silne ręce. Jeśli więc nie umarło w tobie serce z przestachu, ruszaj, a żywo!

Sędziwy Huragan tym razem machnął imitacją ogona na znak, że wysłuchał przemowy swojego pana, ale nie ma wcale- zamiaru zwracania jakiegokolwiek uwagi na straszliwe jego groźby.

Nieszczęsny jeździec zmęczył się widać wymyślaniem tortur dla swojego rumaka, syna wiatru, wnuka nawałnicy i pociotka burzy, rzekł bowiem cicho:

- O, mądry ty jesteś, choć zły i choć masz serce szatana. Wiesz, że nie ukrzywdziłbym muchy, więc się zapewne śmiejesz ze mnie w piekielnej duszy. Odwróć głowę i spojrzij mi w oczy! Wiem, że tego nie uczynisz, bo nie masz odwagi. A zresztą nie mów do mnie, bo ci nie odpowiem... Leż” leż, jak mucha po smole... Będiesz potem stękał” kładę ci nocny chłód wlezie w kości, ale ja cię nie pożałuję... - Och, jakie zimno wieje od gór!

Mówiąc to rozchylił płaszcz i poły jego rzucił tak poza siebie, aby nimi okryć grzbiet niewdzięcznego bachmata, który czyn tak wspaniały z równie niezmaconym przyjął spokojem, przekonany zapewne, że gdyby lunęła ulewa, pan jego całkowicie płaszcz z siebie zdejmie, aby przykryć konia, któremu straszliwymi groził mękami.

Zdążali tak z upartą powolnością w stronę, w której się srebrzył rogaty księżyc, ku jakimś dalekim górcom, ku jakiemś osiedlu. Widać, że podróżny chciał tam dotrzeć przedtem, zanim noc zupełnie owładnie ziemią, dlatego też na rozmaite sposoby pragnął zachęcić do pośpiechu dziwaczego swojego konia, że się to jednak na nic nie zdało, bo szlachetne to zwierzę doszedłszy do bardzo sędziwego końskiego wieku z niewzruszonym spokojem wielkiego filozofa zdążyło omdlewającym krokiem ku swojemu przeznaczeniu. Pan jego jednak coraz bystrzej wpatrywał się w gmatwaninę, cieniów, w pełzające bezszelestnie wilgotne mroki i coraz częściej podnosił wzrok ku niebu, na którym ktoś, jak siewca wspaniały, siał złote gwiazdy jak i ziarno w skiby pierzastych chmur, przeoranych wiatrem. Nie było lęku w czystym sercu tego dostojnego człowieka; bystrą jedynie ciekawość miał w spojrzeniu, kiedy nim gonił wędrujące po powietrzu śmigłe nietoperze lub ciężkie, wielkie puchacze. Czasem jednak dreszcz przebiegał po jego skórze, kiedy wysoko ponad gęstwiną chaszczów przelatywał ogromny cień, mający kształt ludzki; wtedy na krótką chwilę rozlegał się przejmujący chichot i piekielny jakiś śmiech, pomieszany z rozdzierającym beczaniem, przypominającym bek kozła; rzadziej znów łamanym lotem, to wznoszącym się ku górze, to opadającym ku dołowi, jak gdyby leciał ptak postrzelony, leciała przez powietrze głowa ludzka, wyraźnie płonącymi patrząca oczyma i wydająca w szybkim przelocie głos przenikliwy i przejmujący, do szczekania podobny.

- Diabłowie i czarownice rozpoczynają już swoje harce! - mówił do siebie szeptem jeździec i zęgnął się znakiem krzyża.

Mimo woli uderzał nogami konia po wydętym brzuchu, innego jednak nie wywołując skutku ponad nieznaczne dudnienie, jak gdyby kto w pustą i brzuchatą uderzał beczkę; ani latające czarcie głowy, ani czarownice, harujące na wietrze, nie mogły tego miłego zwierzaka wyprowadzić ze spokojnej równowagi. Równie małe wrażenie czyniły na nim dziwne i niespodziane głosy, wytryskujące to tu, to ówdzie z gęstwiny albo niosące się przez cichość wieczoru, przez bezdroża, gwizdy, skomlenia, syki przeciągłe i jadowite, pełne gniewu warkoty, niecierpliwe bulgotania albo rozdzierające jęki jakby z obolałych ran krwawo się sączące. Siwy jeździec słuchał ich bez zdumienia, jedynie drgnąwszy czasem, kiedy się pustka napełniła niespodzianie wielkim głosem, jak gdyby rozpaczliwej skargi, dobywającej się chyba spod ziemi, żywej duszy bowiem nie można było dostrzec dokoła.

- Natura przedziwnymi rozmawia głosami - mówił mędrzec sam do siebie - wszystko żyje i wszystko cierpi.

Zdaje się, że w tej chwili odmawiał bezgłośnie modlitwę za wszystkich cierpiących na ogromnym świecie, bo spojrzenie, pełne słodyczy, zwrócił ku gwiazdom, a na ustach jego drżały niewypowiedziane słowa. Już oczu od gwiazd nie odwrócił, lecz błądził wśród nich mądrym i dobrym uśmiechem i niby je liczył, jak pasterz o zmroku liczy swoje owce. Za pomniał widać, że siedzi na końskim grzbiecie i że wędruje pustkowiec, jak gdyby po zwałach mroku wydostał się na niebo i błądził po nim cicho radosny i szczęśliwy, nie zauważył bowiem, że jego rumak, jak gdyby nagle powziąwszy postanowienie, przystanął i tkwił w nieruchomości jak pomnik granitowy na własnej mogile. Można było wprawdzie nie dostrzec nieznacznej różnicy pomiędzy powolnym ruchem dziarskiego bachmata a jego całkowitą nieruchomością; gdyby jednak jeździec nie był patrzył w niebo, lecz na boki, byłby przecież mógł dojrzeć, że drzewa i krzaki stanęły nieruchomo, dotąd zaś z mizernym trudem usuwały się w tył, co było niezbitym dowodem, że koń posuwa się naprzód. Szlachetny jeździec musiał zapewne wyczytać w gwiazdach, że jego bachmat dopuścił się złamania panującej w końskim rodzie dyscypliny i przystanął w środku drogi, więc powróciwszy na ziemię z niebieskich rozłogów z niesłychanym zawołał zdumieniem:

- Coś uczynił, Huraganie?

Straszliwy Huragan stał bez ruchu i bez odpowiedzi, zamieniony w ciszę, jak gdyby z jego imienia ktoś wszystkie wypuścił wichry.

Mędrzec zaniepokoił się.

- Czy cię, miły koniku, dotknęły moje niewinne zniewagi? - mówił dobrotliwie - czy może ci dolega? Ach, a może jesteś zbyt umęczony? Jeśli tak, zejść z twego grzbietu i pójść piechotą, bo do domu i tak już niedaleko.

Huragan żadnego z siebie nie wydał głosu w tej zapewne myśli, że jeśli przystanął w drodze, w takim razie ma jakiś słuszny powód, nie przystoi bowiem koniowi w jego wieku czynić cokolwiek bezmyślnie i z urojenia; pragnąc zaś dobremu o sobie mniemaniu dać wyraz oczywisty i bardzo szczególny, spuścił łeb jeszcze niżej, zaczął dokonać rzeczy niebywalej i wręcz szalonej, gdyż mizerną resztką ogona wionął tak rozpaczliwie, że zdołał nim dotknąć nakrapianej swojej skóry. Skutkiem tego niepojętego wysiłku nie był wprawdzie huk gromu, tylko lekkie kłaśnięcie, nagły jednak ryk lwa nie byłby tak poraził zdumionego mędrca, jak to ogoniaste obłąkanie jego mądrego konia.

Musiało ci się przydarzyć coś straszliwego! - zawołał, znając wspaniałą roztropność swojego towarzysza.

Spojrzał bystro w mrok, uniósł się w strzemionach i ujrzał tuż przed pochylonym łbem Huragana niekształtne czegoś zarysy.

- Co to być może? - mówił zlążąc szybko z końskiego grzbietu.

Drżącymi rękoma skrzesał ognia i odpiąwszy od troków żelazną latarnię, napełnił ją wkrótce biednym migotliwym światełkiem; pochylił się ku ziemi i głośno zakrzyknął: na drodze leżała ubogo odziana kobieta, jakby mocnym zdjęta snem, do piersi tuląca malutkie dziecko.

Mędrzec przyklęknął i postawiwszy latarnię na ziemi rzekł cicho:

- Czy się wam przygodziło nieszczęście?

Kobieta nie odpowiadała.

W nim serce uderzyło gwałtownie; ujął ją za rękę i zakrzyknął zduszonym głosem:

- Chryste Panie!

Ręka była zimna. Spojrzał na jej twarz: była biała i wilgotna, może od nocnej rosy, a może od łez, wypłakanych już po śmierci nad niedolą dziecka, które spało słodko na jej sercu już na wieki cichym. Tulila dziecko do siebie tak mocno, że dobry człowiek z trudem je odjął od tej matki wiernej, powalonej przez jakiś trud i jakąś mękę na nieznaną pustą drogę; bosa noga dniała w ranach, więc szła kędyś z daleka, a nikt nie wie, dokąd? Głód musiał iść jej śladem jak pies, gdyż twarz jej była śmiertelnie smutna i wynędzniała. Mędrzec patrzył na nią wzrokiem zmaconym przez łzy i mówił cicho:

- O dobra, nieszczęśliwa matko! Musisz tu zostać, ale śpij spokojnie... Twojemu dziecięciu nikt krzywdy nie uczyni... Bóg mi je zesłał, pokornemu biedaczynie, więc je zabiorę, a kiedyś mu powiem, żeś je trzymała w objęciach przeciw śmierci broniąc... Twoja dusza krąży zapewne w pobliżu jak wilczyca, aby jeszcze raz, gdyby tak było trzeba, umrzeć w jego obronie... Patrz, patrz! O dzieciństwo anielskie! Śmierć jest przy nim, dokoła noc i strachy, a ono przez i sen się uśmiecha...

Przytulił je ostrożnie do piersi i patrzył rozrzewniony; ułożył potem na trawie, a sam przy świetle latarni rękami i ostrą gałęzią począł kopać grób w miękkiej, pulchnej ziemi. Niebo zaróżowiło się na widnokręgu, gwiazdy zbladły i świt począł śpiewać ptaszęcymi głosami, kiedy on ostatkiem sił dźwignął nieszczęśliwą kobietę i w świętej ułożył ją ziemi.

Oczy miał pełne łez, kiedy tuląc jednym ramieniem śpiące dziecko z niezmiernym trudem wspiął się na grzbiet konia.

- Pójdź, sieroto - rzekł - u dobrego jesteś człowieka. A ty, poczciwy Huraganie, nie gniewaj się, że ci przybyło ciężaru. Odrobinka to jest i okruszyna... Tylko moje serce stało się cięższe, bo widziało niedolę i śmierć... Straszna to była noc, ale już słońce wstanie niedługo... Ruszaj, Huraganie, a jakoś...

Nie skończył swoich słów od nadmiernego zdumienia, Huragan bowiem, jak gdyby odrodzony, podniósł łeb, zarżał donośnie i pomknął cwałem.

- Co czynisz, szalony koniu! - zakrzyknął dobry człowiek i w nagłym lęku przycisnął dziecko do piersi.

Rozdział drugi

w którym koń Huragan prześcignął śmierć, a pan jego chce nakarmić niemowlę
cebulą

Trzęsienie ziemi zdarza się rzadko, jednak się zdarza; zdarzy się nieraz, że żarłoczna morze połknie wyspę, jak wieloryb śledzia; zdarza się, że się rozpęknie sroga góra i pluje ogniem; zdarza się nawet, że słońce się zaćmi - wszystko się zdarzyć może; nie zdarzyło się jednak za ludzkiej pamięci mniej więcej od lat trzydziestu, aby Huragan przyśpieszył kroku - albo, jak w tej chwili właśnie, gonił cwałem. Ustępowały mu z drogi, jak nasrożonej burzy, drzewa i krzaki; ziemia, jakby przerażona, zdawała się zapadać, kiedy potężnymi w nią bił kopytami. Mądry to był koń i rozumiał, że to małe stworzonko, wydarte śmierci, trzeba zanieść czym prędzej pod dach dalekiego domu. W poczciwym, starym końskim sercu poczuł wielką radość, że tam, gdzie z sędziwym swoim panem wiódł smętny żywot, coś jasnego przybędzie; toteż w radosnym porywie, pragnąc zdumionemu jego szaleństwem świata okazać swoje zadowolenie, wyprawiał dziwne sztuki z mizerną końcówką ogona, wiejąc nim, jak gdyby to był buńczuk sporządzony ze wspaniałego ogona arabskiego konia. Tak się rwał do lotu, że gdyby nie mądre i wcale roztropne urządzenie, że uczciwy koń może biec jedynie w połączeniu z własną skórą, byłby z niej wyskoczył, a ten niepotrzebny, hamujący jego chęci, a przy tym spłowiwały i nakrapiany ciężar byłby pozostawił na drodze psom na buty. Ponieważ jednak szkoda było czasu na dokonywanie tak powikłanych zabiegów, wspaniały Huragan postanowił w całości, wraz ze skórą, przebyć daleką drogę, szalonym rwąc pędem tak roztropnie, aby przy mijaniu wyrw lub powalonych pni nie zrzucić ze swego grzbietu jeźdźca, małą istotkę tulącego w ramionach. Huragan był wielkim filozofem i wiedział, że gwałtowne zetknięcie się z twardą ziemią jest sprawą niemiłą, a ze względu na dziwną kruchość ludzkich kości, bardzo bolesną. Wołałby zaś swój stary koński łeb roztrzaskać o najbliższe drzewo, niż ową okruszynę ludzką narazić na ból. Dawno pogodził się z tym, że musi dźwigać swojego pana, rozumiejąc, że istota, szczyca się posiadaniem czterech nóg, powinna pomóc nieszczęśnikowi, bardzo przez przyrodę pokrzywdzonemu, który ma ich tylko dwie, poza tym zaś nigdy nie pragnął, aby człowiek nosił na swoim grzbiecie konia, z tej prostej przyczyny, że koń by się na nim nie zmieścił. Mądrze to sobie wykalkulował w sędziwym rozumie i zadowolony był w sercu, nie objawiając jednakże radości w sposób obłąkany, lecz spełniając swoją powinność z należytą, nigdy nie śpieszącą się powagą. Teraz jednak poczuł wielką rzewność dla bezbronnej istoty, o której nie wiedział nawet, czy posiada i te dwie mizerne ludzkie nogi, owita bowiem była w jakieś chusty. Jakże się przeto nie ulitować nad czymś takim biednym i nieporadnym i jak ostatniego choćby nie wyprzeć z piersi tchu, aby je donieść w miejsce bezpieczne?

Huragan stojąc w stajni przez wiele, wiele i lat żuł nie tylko siano, ale wiele mając czasu do rozporządzenia, żuł zarazem i mądraść i karmił nią serce; znał woń wiosny, woń łąki i wiatru, lecz znał zarówno i oddech śmierci. Wiedział, że to, co nieruchomo leżało na drodze tuż u jego kopyt, to było to coś, co jest straszne i dreszcz budzące, i co się nazywa śmiercią; a obok jasne życie tliło się w tej małej istotce, cudownej i rzewnej, więc stary koń gnał teraz, aby uciec od miejsca śmierci, nad którym jak mgła polatał smutek, nawet końskie serce mrozący lodowatym lękiem, a ocalić to życie,

które w tej chwili mądry i dobry jego pan ogrzewa przy swoim sercu i jak płomyczek przed wichrem pędu zasłania, aby nie zgasł.

Pędź, pędź, dobry Huraganie, koniu poczciwy i roztropny!

Braknie mu tchu, serce w nim rozpaczliwie się tłucze, ale już niedaleko, niedaleko...

Wytrwaj, szlachetny Huraganie, chociaż raz w życiu, lecz w dobrej sprawie, zmieniający we wspaniały czyn burzliwe swoje imię!

Słońce wytoczyło się na niebo w świetnym, bogatym stroju, dzień zaśpiewał tysiącem głosów: „Kiedy ranne wstają zorze...”, a tu i ówdzie szara grudka ziemi, zamieniwszy się w skowronka, ciskała się pod niebiosą, a stamtąd, choć pogoda była złocista, leciał na ziemię deszcz, dziwny bardzo deszcz dźwięków prześlicznych, perliste kropelki tryłów, bulgotanie cichutkie rozśpiewanej wody. A razem, tuż nad końskimi uszama, ozwał się inny głos, rzewny i tkliwy: cichutki płacz dziecka.

Huragan nigdy nie żałował, że zaniebawszy jego wykształcenie nie nauczono go w młodości ludzkiej mowy; mniemał, że na osobiste potrzeby wystarczy mu sztuka wydawania z gardzieli przerażającego cały świat rżenia; w tej chwili jednak, poruszony tym głosem pełnym skargi, chciałby przemówić do tego małego człowieczka pocieszyć go, że dom już niedaleko. Przyśpieszonymi ruchami ogona nie dało się wyrazić tej radosnej nowiny, zresztą maleńką tę istotkę mało zapewne interesowało to, co tam z tyłu wyprawia zacny Huragan ze swoim gadającym ogonem. Trzeba było jednakże na wszelki sposób oznajmić siedzącemu na jego grzbiecie towarzyszemu, że tuż za lasem ukaże się siedziba mędrca; Huragan użył najprostszego i nigdy niezawodzącego sposobu: zadarł łeb, obnażył żółte zęby, rozwarł przystojną paszczę i zarżał; nie tak, jak zwykle, byle jak, lecz odświętnie, z pełnią radości, z dumą, potężnie i porywająco. Zerwały się z drzew przerażone ptaki, a dziki zwierz umykał w oszalałym popłochu. Pan jego jednakże zakrzyknął:

- Huraganie, koniu, po trzykroć obłąkany, czy pragniesz, aby niewinne dziecko umarło w przestraszu?

Nie z treści, lecz z dźwięku słów poznało poczciwe konisko, że coś stało się nie tak, jak trzeba.

- Zdaje mi się - pomyślał z goryczą - że gdyby mnie nazwano osłem, nie mógłbym się obrazić...

Toteż z niemałą furią przebył resztę drogi i przez kamienną bramę, rozwaloną przez straszliwego i nielitościwego olbrzyma, nazwanego Czasem, wpadł na kamienny podwórzec zieleńmi zarosły. Dokoła sterczały mury, osmagane wiatrami i opłakane przez niepoliczone deszcze, pokąsane przez dzikie, złe i nienasycone burze i poszczerbione przez pioruny. Były to smętne ruiny groźnego kiedyś zamku, z którego żywe serce wyrwała jakaś wojna, a duszę z niego wygnała jakaś nawałnica. Opuszczony, stał teraz, wieńcząc wierzch wzgórza szkieletami murów i wystawiając na światło słońca czerwone rany w pokruszonych ceglach, jakby je słońcem chciał wyleczyć. Przez oczodoły okien patrzył na szeroki świat, na dalekie widnokreśli i na siedziby ludzkie, które jak ptasie gniazda uwili jacyś biedni ludzie ha stoku wzgórza.

Nie wszystko jednak było ruiną; w południowej stronie oparła się przemocą czasu i złościom wichrów okrągła wieża wyniosła i wsparta fundamentami o skałę, a w niej kilka sklepionych komnat, pełnych wielkiej ciszy i miękkiego mroku. Była to siedziba owego starego człowieka, który w tej chwili ostrożnie zsuwał się z grzbietu Huragana, jak kruchy, lecz bezcenny skarb opasując ramieniem znaną sierotkę. Huragan dyszał ciężko i niemal jęczał ze straszliwego wysiłku, blaskiem spłowiałych oczów okazując jedynie dumę swojego czynu. Być może, że się zdumiewał równocześnie, jak to się stać mogło, że jeszcze żyje, wedle bowiem ludzkiej i końskiej rachuby powinien po takim wysiłku leżeć bez ducha, chwalebnie pracowity zakończywszy żywot. A jeśli i to miłego nie pozbawiło go żywota, zdumiał się wkrótce po raz drugi, że nie wyzionął tego bohaterskiego ducha pod naporem niezmierniej radości: oto jego szlachetny i całym końskim sercem umiłowany pan, tuląc dziecko do piersi, zbliżył bladą swoją i wzruszoną twarz do jego brzydkiego łba i głosem tak miękkim i ciepłym, jak wiosenny wiatr zachodni, rzekł:

- Huraganie, jesteś najcudowniejszym koniem na świecie... Mój kochany, mój drogi Huraganie!...

Spojrzał głębokim spojrzeniem w wyblakłe końskie oczy, po czym ucałował jego zgrzybiały łeb.

Coś dziwnego musiało się stać w poczciwym końskim sercu, bo stary Huragan, pomawiany już o szaleństwo podczas straszliwego swego biegu w tej chwili zdradzał wyraźne opętanie: rzewny swój ogon zmienił we wiatrak, strzygł uszama, zamykał i otwierał oczy, drżał całym ciałem, aż nagle obnażył wszystkie zęby w najdziwniejszym uśmiechu. Ha, ha! Był to uśmiech szeroki, rubaszny, szczęśliwy. Przesadzilibyśmy cokolwiek twierdząc, że w tej chwili Huragan miał minę rozsądną albo też, że był wybitnie piękny. Można by twierdzić przeciwnie, lecz to jest niezbitnie pewne, że od początku świata nie było na nim szczęśliwszego konia.

A mędrzec, patrząc na niego tkliwie, dodał:

- Idź teraz do stajni, poczciwcze, a ja za chwilę zdejmę z ciebie siodło i juki.

Huragan, wciąż opętany radością, chciał po raz drugi już od narodzenia słońca tego dnia i wyskoczyć ze skóry, okazując nierozumny ten zamiar śmiesznym podrygiwaniem i nagłym podnoszeniem coraz to innej nogi widocznie w mniemaniu, że nie ma lepszych sposobów na okazanie bezmiernego zadowolenia. Nagle mu się uroiło, że może zbyt ceremonialnie zachowuje się, jak na chwilę radosną, więc młode przypomniawszy lata wierzgnął tak potężnie, że gdyby niebo wisiało cokolwiek niżej ponad ziemią, byłby je rozbił kopytami, jak kryształową kulę. Całe to szczęście, że sklepienie niebieskie umieściło się cokolwiek wyżej, jak gdyby w przewidywaniu radosnego szaleństwa najpoczciwszego wśród ogoniastych.

Pan jego również czuł w sercu radość głęboką i nieznaną, lecz pomieszaną z lękiem. Był śmiertelnie znużony udręką minionej nocy, lecz siłą woli zdławił to znużenie i nie dał mu sobą zawładnąć. Niosąc jednak tę ludzką okruszynę do sklepionej przestronnej komnaty, zatrwożył się w szlachetnej duszy, aby ocaliwszy tę sierotkę przed śmiercią, nie uczynić jej krzywdy innej. Cóż bowiem z nią pocznie? Dałby własne, cudownie dobre i pełne słodczy serce, aby zachować życie tego biedactwa. Jak to jednak spełnić? Siedział tu od wielu lat na tej skałe; lata posiwiały i głowa

jego posiwiła, a on, jak pustelnik, nigdy lub bardzo rzadko stykał się z ludźmi. Wiedział, jak brnąć przez własne aż do zgryzoty pracowite życie, lecz nie wiedział tego żadną miarą, jak sycić życie cudze i to życie ledwie tłące, malutkie i słabiuchne. Wiele myśli przebiegło przez steraną jego głowę, a każda była zatroskana.

Ułożył dziecko na tapczanie, na którym sypiał i spojrzął na nie z ciekawym podziwem. Igiełki to był mędrzec, lecz sam był jak dziecko, nieporadny i, z sercem prostaczka; wiedział o dziwnych i tajemnych sprawach, które się dzieją wśród gwiazd, lecz rady sobie dać nie umiał z własnym życiem, straszliwie zawsze roztargniony; zajęty sprawami wielkiej wagi, nigdy dobrze nie wiedział, co się odbywa tuż obok niego? Znał wielkie tajemnice przyrody, lecz nigdy nie wiedział, jaki jest dzień tygodnia, czy już zjadł śniadanie, czy jeszcze jest na czczo, tak że dopiero zbuntowany żołądek gniewnym mručeniem dawał mu znać, że od dwóch dni jest zupełnie zapomniany. Gdyby tego mędrca i nagle zapytać o jego imię, zastanowiłby się głęboko, zapomniawszy zgoła, jak się nazywa? Pocziwy Huragan, znając swojego pana, wiódł życie na własny rachunek i własnym żywił się przemysłem, zdarzało się bowiem, że jego pan po dwóch tygodniach przypominał sobie z przerażeniem, że nie nakarmił ukochanego zwierzęta; zrywał się o północy z postania, biegł do jego legowiska i długo, ze łzami niemal tłumaczył mu, że nie jest wart takiego konia, że jest bez litości i że jest zbrodniarzem, ale za to teraz go nakarmi; w ciągu tej długiej przemowy zapominał, po co przyszedł, i odchodził bardzo pocieszony, że tak szczęśliwie naprawił zaniedbanie. A mądry Huragan wiedział, co wiedział, i chodził sam na poszukiwanie żywności.

Nikt nie zdołałby opisać niepoliczonych a śmiesznych wypadków roztargnienia najlepszego tego człowieka. Razu jednego przygotował sobie wodę do mycia rąk, a winną polewkę na śniadanie, po czym umył ręce w polewce, a wypił wodę; podczas srogiej zimy ułożył na kominie duże naręcze drzew, po czym usiadł obok, aby się ogrzać, bardzo zdziwiony, że go dokuczliwiej jeszcze chłód kąsa z tego znakoamitego powodu, że zapomniał rozniecić ogień i grzał się przy zmarzłym drzewie; razu jednego, kiedy się potknął o kamień, podniósł go, aby go przenieść w inne miejsce, a zapomniawszy po chwili, w jakim celu dźwiga ciężki kamień, nosił go przez pół dnia, a potem bardzo zmęczony położył go na tym samym miejscu, z którego go podniósł; innym czasem chcąc się pożywić, usiłował łowić w rzece ryby w ten przemyślny sposób, że zanurzał rękę w wodzie i czekał, aż będzie mógł schwytać taką nieopatrzoną rybę, która mu się nawinie między palce, jednakże chytre te stworzenia nie umiały docenić dowcipnego tego pomysłu. Dobry ten człowiek zawsze czegoś szukał rozmawiając głośno z samym sobą, bardzo tym zdziwiony, że chociaż jest całkowicie samotny, zawsze na zadawane pytania otrzymuje odpowiedź. Przypominał on tego arabskiego mędrca, o którym wspaniała napisano historię. Był to mędrzec tak znamienity, że Allah postanowił go nagrodzić za wspaniały rozum i tak raz rzekł do niego:

- Ukażę ci się o północy, a ty mi zadaj najtrudniejsze pytanie i zapytaj mnie o największą tajemnicę, a ja ci odpowiem!

Uszczęśliwiony mędrzec postanowił zapytać o rzecz niezmiernej wagi, obawiając się jednak, że na widok Allacha trwoga może mu pomieszać wielki rozum, postanowił zapisać sobie pytanie. W tym celu począł szukać gęsiego pióra z coraz większą rozpaczą, bo go w żaden sposób nie mógł znaleźć. Czas mijał, przeto wspaniały mędrzec zapytał przerażony:

- O Allah, gdzie jest moje pióro?

- Twoje pióro jest za twoim prawym uchem! - odrzekł Allach przekonany, że mędrzec nie miał innego zmartwienia i o tę straszliwą chciał go zagadnąć tajemnicę.

I naszemu mędrceowi łącznie mogło się to przygodzić. Myślą krążył gdzieś wysoko, cóż go wtedy obchodziły małe sprawy?

Nie można się tedy dziwić, że siwy mędrzec patrzył na znaną sierotkę z niepokojem i trwogą, nie wiedząc, co z nią począć? Serce w nim zadygotało z wielkiego wzruszenia, kiedy spojrzały na niego oczęta niebieskie, duże i śliczne. Dziecko uśmiechało się niebieskim uśmiechem i usiłowało wydobyć rączki z powijaków. Pomógł mu łagodnie, po czym usiadłszy obok i starając się na znużoną, zmarszczkami poraną twarz sprowadzić z okolic serca słodką dobroć, rzekł z nadzwyczajną powagą:

- Czy możesz mi powiedzieć swoje imię, dobra dziecino?

Dziecina usłyszawszy miły, miękki głos uśmiechnęła się i zaczęła rączkami dziwne wyprawiać harce, nie zdradzała jednak chęci do rozmowy z jedyne go wprawdzie, lecz bardzo rozumnego powodu, że nie umiała jeszcze mówić.

Siwemu człowiekowi zdawało się jednak, że za tym milczeniem kryją się inne głębokie powody, więc powiedział:

- Jeśli mi nie chcesz zdradzić swojego imienia, nie będę nalegał, bo może pragniesz zachować je w tajemnicy. Ośmielę się przeto zapytać o rzecz inną... Racz mi powiedzieć, biedne dziecko, czy jesteś chłopcem, czy dziewczynką, abym odpowiednio do twojej płci mógł do ciebie przemawiać. Zrozumiem bowiem, że byłoby to oczywistym błędem, gdybym do chłopca mówił: moja droga! - zamiast: mój drogi chłopcze! Czy i na to mi nie chcesz odpowiedzieć? Ha! Twoja wola...

Zasmęcił się sprawiedliwy ten człowiek i zaczął rozmyślać, dlaczego śliczne to stworzenie nie chce mu odpowiedzieć? Nagle spłonął cały, dłonią o czoło uderzył i zakrzyknął zdumiony:

- Na Boga! a może ty wcale nie umiesz mówić?! Tak, tak, to bardzo prawdopodobne... Ludzie w twoim wieku zazwyczaj nie znają jeszcze boskiej sztuki mowy. Biedactwo najdroższe! Że też mi to od razu na myśl nie przyszło... Ach, to roztargnienie! Zdarzyło się jednak, o czym musiały cię dojść słuchy, że czcigodny chiński mędrzec Lao-Tse miał osiemdziesiąt dwa lata w chwili, kiedy się narodził, mogłoby się zdarzyć przeto, że ty umiesz mówić... Szkoda, wielka szkoda, że się tak nie zdarzyło. Lecz cóż to czynisz, słodka dziecino?

Mędrzec patrzył ciekawie, jak dziecko, mało zwracając uwagi na dobrotliwe jego słowa, usiłowało do ust włożyć obie piąstki, z czego wywnioskował nieomylnie, że biedactwo jest głodne. Porwał się czym prędzej z tapczana, uradowany swoją wyborną przenikliwością i zawołał wesoło:

- Jeść, chcemy jeść! Doskonale! Zaraz zastawię ucztę wysmienitą, godną takiego gościa...

Począł biegać z kąta w kąt, zadyszany i mocno przejęty, wywracał wszystko do góry nogami, szukał, badał, wietrzył, wreszcie po długiej chwili wydobył z mrocznych zakamarków bochenek

czerstwego chleba i dwie wielkie cebule. Podniósł zdobycz wysoko w rękach, wołając:

- Czy jadłeś kiedy potrawy równie smakowite? Jest to zbytek godny filozofów! Dalej, dalej, weźmy się do dzieła i nie zostawmy ani kruszyny!

Z trudem przełamał trzeszczący chleb, a cebule odarł z powłoki. W tej chwili jednak oczy zapełniły mu się łzami; połowa tych łez pochodziła z dziwnych właściwości smakowitej cebuli, druga jednak połowa pochodziła z rozpaczy nagłej i dotkliwej:

- Przecież ty, dziecinko, nie ugryziesz tego chleba - rzekł ze smutkiem - nawet gdybym zwilżył łzami. Cóż ja pocznę, cóż ja pocznę, na Boga! Ech, gdybym ja tak miał kozę! Przecież to koza wykarmiła Jowisza w jego niemowlęctwie, z czego można wnioskować, że kozie mleko jest dobroczynnym przysmakiem, ulubionym przez młodzież. O tym, żeby niemowlęta jadły cebulę, historia nic nie mówi... Kozę, kozę, królestwo za kozę!

W przeraźliwej rozterce począł biegać po komnacie i nawykłszy do ustawicznego szukania, szukał zapewne kozy; usilne te starania skazane były z góry na niepowodzenie, brodate to bowiem i wesołe zwierzątko jest dość trudne do znalezienia tam, gdzie go nigdy nie było. Do tego przekonania musiał po niejakiem czasie dojść i ten przezacny człowiek, bo zwróciwszy się do dziecka rzekł cicho, oblewając każde słowo łzami rozzalenia:

- Obawiam się, że nigdy nie widziałem tu kozy.

Ponura ta wiadomość musiała niebieską sierotkę przyprawić o nieutulone zmartwienie, gdyż nagle zaczęła kwilić, co sędziwego człowieka przyprawiło z kolei o głęboką rozpacz. Chwycił się rękoma, za srebrną głowę i targał włosy. Płacz tego dziecka rozdzierał mu serce; w bezradności swojej nie bardzo się od niego różnił, więc nie wiedząc, co czynić, chciał uciec i biec nie wiadomo dokąd, W tym samym momencie aż zadrzał ze zgrozy, że mógł pomyśleć o ucieczce, więc wzniósł spojrzenie w górę, jakby od nieba błagając zmiłowania.

- Ach, gdybym był pelikanem - zakrzyknął - nakarmiłbym cię własną piersią!

Ponieważ nagła zamiana mędrca w pelikana nie jest sprawą zbyt prostą i łatwą, korzyść z tego szlachetnego pomysłu równała się daremnemu marzeniu o posiadaniu mlekodajnej kozy! Dwa te dobroczynne zwierzaki szybko tedy rozwiały się w mgłę, co wzmogło jedynie dziecinną żalność, która z cichutkiego kwilenia, wciąż przybierając na natężeniu, podniosła się do rozgłośnego, a bardzo płacznego narzekania na złe porządki na świecie i na brak słodkiego pokarmu. Razem i rozpacz biednego staruszka wzmagała się coraz potężniej. Serce się w nim krajało i płakała w nim dusza. Osłabnął i nachyliwszy się nad dzieckiem, mówił cichutko:

- Sierotko najmilsza... dziecinko anielska... ptaszyno Boża... okruszyno słodka... przestań, przestań... Patrz, i ja płaczę... Jeśli Bóg nas nie poratuje, to nie wiem, co będzie... Może go matka twoja uprosi, aby mnie nauczył, jak ciebie nakarmić. Coś wymyślę, coś wymyślę, tylko nie płacz... Każda twoja łezka toczy się po moim sercu jak kamień... O dziecinko!... Nie płacz, tylko nie płacz... Słońce świeci jasno, więc może mnie oświeci... O tak, o tak... Ciszej, ciszej!... Tę łezkę otrzemy i tę także... I już masz oczki jak niebo... Ha! ha! Uśmiechasz się! O ptaszku złoty! Ho! ho! mądry

jesteśmy i wielbimy radość! Czekał, biedactwo jedyne, zaraz cię rozweselę!

I w przystępie rozpaczy, tak ułożywszy dziecko, aby go widzieć mogło, siwy ten człowiek, na śmierć znudzony, począł wyprawiać dziwne skoki i płał prześmiesznie, z niepokojem patrząc, czy to się dziecku podoba. Sam Pan Bóg musiał mieć łzy w oczach, kiedy ujrzał tego cudownego starca z sercem przezystym, śmiesznie podrygującego i wydającego potężne okrzyki, udające śpiew. Pot spływał po jego bladych skroniach i lepił srebrne jego włosy; usta jego drżały, a piersi dyszały ciężko, a on tańczył i przysiadał, i ręce dziwnie śmiesznie w górę wyrzucał. Dziecko, najpierw przelękłe widokiem czarnej postaci, z której jak ze studni głębokiej dudniące dobywały się okrzyki, zaczęło się uśmiechać, wreszcie rozumiejąc, że podrygujący wielkolud niczego bardziej zajmującego nie wymyśli, usnęło.

Siwy człowiek otarłszy pot z czoła usiadł znudzony. Bał się odetchnąć, aby tego dzieciniego snu, różowego i wiotkiego jak obłoczek, nie rozwiać oddechem. Siedział i rozmyślał głęboko, widać jednak, że nie nadaremnie, nagle bowiem uderzył się dłonią w czoło i rzekł szeptem sam do siebie:

- Na Boga! że też mi to od razu nie przyszło do głowy!

Już biegł na palcach ku drzwiom, kiedy go znowu jakaś troska ułapiła za długą, poważną szatę, gdyż się zatrzymał, brew zmarszczył i rozmarszczył zaraz potem w słodkim uśmiechu.

- Wiem, co zrobię - szepnął - na wypadek, gdyby się przebudziło!

Z mrocznego kąta dobył wielką czarną tablicę i ustawiwszy ją w słońcu naprzeciwko dziecka, napisał na niej wielkimi literami:

„Wychodzę, lecz wkrótce powrócę! Spij spokojnie!”

Uspokojony głęboko, że sierotka po przebudzeniu odczyta sobie ten napis i będzie wiedziała, gdzie się podział, rozgorączkowany, jakby go kto gonił, wybiegł z komnaty. Wpadł do stajni Huragana i gadając do niego piąte przez dziesiąte o wszystkim, co się stało, zdjął z niego juki i szybkim krokiem począł schodzić po stoku wzgórza ku ludzkiemu osiedlu. Kilka chat steranych i w ziemię się zapadających było schronieniem dobrych i biednych ludzi, żyjących na tym pustkowiu jak ptaki. Jedni hodowali pszczoły, inni uprawiali małe poletka wydarte lasowi, co się szponami korzeni rodzanej ziemi czepił i nie chciał się dać wyrzeć pracowitym ludziom. Patrzyli oni z tym wielkim podziwem, co aż usta otwiera z nadmiernego natężenia, jak mędrzec, którego widywali krocącego z solenną powagą dostojnym krokiem zadumanego marabuta, skacze w tej chwili przez pnie i wymachuje w ich stronę rękoma. Patrząc z daleka na to widowisko niezwykajne najrozmaitsze czynili domysły, wśród których nieśmiało zjawił się i ten, że szanowny mędrzec nagłemu uległ opętaniu. Domysł ten straszliwy zaczął przybierać pozory prawdy, kiedy mędrzec, wpadłszy w zdumioną ludzką gromadkę, zakrzyknął głosem tak zdyszonym, że zdawało się, jakoby każde słowo oblane było potem:

- Dobrzy ludzie, ratujcie, bo moje dziecko umiera z głodu!

Słyszając to, ci dobrzy ludzie pomyśleli w pierwszej chwili, że natychmiastowa ucieczka przed

człowiekiem, któremu się coś w wielkim popsuło rozumie, będzie rzeczą roztropną. Widząc jednak w dobrych jego oczach zgryzotę i niepokój, nabrali odwagi i zaczęli rozpytywać, co by to była za historia, która najdostojniejszemu z mędrców każe skakać i wymachiwać rękoma; więc im zaczął opowiadać szeroko i długo o wszystkim, co mu się zdarzyło ubiegłej nocy, a tak rzewnie i pięknie mówił o niebieskookiej sierotce, że w niejednych oczach zalśniły łzy. Walną tedy uczyniwszy naradę orzekli, że można być wielkim filozofem, a nie umieć nakarmić dziecka. Z zachwytem uznali wspaniały bieg sędziwego Huragana za czyn wzniosły, wreszcie wybrali ze swego zgromadzenia starą kobietę na piastunkę dla znalezionej sieroty. Miała się ona udać natychmiast do starego zamczyska i ulżyć w przeraźliwych kłopotach zacnemu i przez wszystkich kochanemu człowiekowi, który usłyszawszy, że jego sierotka będzie miała opiekę, zapragnął radość swoją objawić w sposób jakiś niesłychany. Byłby podskoczył ze dwa łokcie w górę, lecz na szczęście przypomniał sobie w ostatniej chwili, że tą modą może radość swoją okazywać płochy mimo sędziwych lat Huragan, lecz igraszki takie nie przystoją mędrcom.

Kiedy ze starą niewiastą, niosącą jakieś ze sobą naczynia, wdrapał się z powrotem na wzgórze i kiedy oboje głuszac kroki weszli do komnaty, dziecko przywitało ich szczebiotem, który mogłyby zrozumieć tylko ptaki; leżało sobie spokojne i uśmiechnięte, co mędrzec przypisywał wcale rozropnemu zawiadomieniu na tablicy. Nigdy jednak nie udało się tego dowieść.

Kobieta, ku wielkiemu zdumieniu mędrca, spełniła szybko jakieś tajemne i zawiłe zabiegi wobec kruchej i różowej na ciele niemowlęcej osoby, nakarmiła ją przyniesionym ze sobą mlekiem i utuliła w ramionach, co niemowlęcą osobę wprowadziło w stan wspaniałego zachwyty, objawiającego się radosnym wierzganiem nóżkami tak gwałtownie, że sam Huragan w chwili upojnego opętania nie zdołałby tego uczynić lepiej. Stary człowiek, również szczerze zachwycony, dawał temu wyraz sposobem niezbyt wymyślnym, lecz powszechnie zrozumiałym, cmokając wargami, na twarzy zaś miał uśmiech taki rzewny, że gdyby w tej chwili sroga panowała zima, od promienia tego uśmiechu stajałyby lody i śniegi.

Kiedy dziecko, nie mając zbyt wielu pomysłów, jak spędzać życie w okresie niemowlęstwa, znowu zasnęło, kobieta rzekła cicho:

- Ja tego chłopca znam...

-- Więc to chłopiec - zapytał mędrzec zdziwiony - a jakżeż wy go możecie znać?

Wtedy kobiecina opowiedziała mu, że kiedy odjechał na Huraganie do dalekiego miasta, przez osiedle przechodziła śmiertelnie znużona niewiasta z tym właśnie dzieckiem w ramionach. Żal było patrzeć na jej nieszczęsną biedotę. Opowiadała, że mąż jej zginął na wojnie, a ona, bez domu i sama jedna na świecie, wędruje daleko, daleko, aż do królewskiej stolicy, po ratunek i po kawałek chleba. Padła, biedactwo, na drodze, a Bóg zrządził, że mędrzec znalazł w powrotnej swej drodze ją, już umarłą, i to śliczne dziecko, któremu było Janek na imię.

- Co wy z nim teraz poczniecie, szlachetny panie? - zapytała kobieta.

Siwy człowiek rozłożył bezradnie ręce i widać zastanawiał się nad tym rozsądnym pytaniem, gdyż nie odpowiadał.

- Dajcie go do nas - mówiła kobieta - a choć bieda u nas, sierocie zginąć nie damy.

Stary człowiek, nie zważając, że może dziecko obudzić, zakrzyknął z mocą:

- Nigdy! przenigdy! mój on jest!

- Jak to wasz?

- Ja go znalazłem i niech u mnie zostanie na całe życie!

- Bóg was niech za to pobłogosławi, dobry panie, lecz jakżeż wy sobie dacie radę z niemowlęciem?

- Ha! - zakrzyknął starzec.

Była to odpowiedź w treści niezgłębiona i dla prostego rozumu kobieciny niepojęta, więc jej szeroko wyjaśnił, że prędeż da sobie odciąć obie ręce, niżby tę sierotkę oddał komukolwiek, wszystko uczyni, aby ją wychować, i że jeżeli Pan Bóg ratował dzieci, rzucone na pustyni dzikiemu zwierzowi na pożarcie, to mu pomoże zachować przy życiu dziecko, na miłującymi sercu ludzkim spokojnie śpiące.

- Gdyby to była dziewczyna - powiedział - może bym się zawahał, bo to i włoski trzeba by jej zaplatać i rozplatać, i piękne sposobić stroje, delikatne do jedzenia dawać smakołyki. Ale on, Janek... ho! ho! - dobre to będzie chłopczysko i suchy chleb będzie ze mną jadał. Mówię wam, dobra kobieto, że kiedy mu pokazałem cebulę, nie zjadł jej wprawdzie, ale mu się niej oczy śmiały.

- Dziwne! dziwne! - rzekła kobieta.

A mędrzec gadał z coraz większym zapałem:

- Mój koń Huragan też się od razu na nim poznał... Omal dla niego nie wyzionął ducha. Zważcie, dobra kobieto; jeżeli szkapa poczciwa tak wielkie okazała serce, miałżebym ja, rodzaj ludzki podając w pogardę, wyrzec się dziecka, które Bóg na mojej położył drodze? Nie uczynię tego, chociaż jestem zły i niepoczciwy... Czemu się śmiejecie, dobra niewiasto... Albo raczej, czemu macie w oczach łzy? Dziwne to... Raz mi się zdaje to, a raz tamto...

Kobieta istotnie śmiała się przez łzy, słysząc, jak ten człowiek z anielską duszą nazywał siebie złym i niepoczciwym.

- Wiecie, co wam powiem, szlachetny panie? - rzekła - najmądrzejszy to wy może jesteście na świecie, ale rady sobie z tym chłopcem nie dacie.

- Dam sobie radę, jako żywo! - mówił mędrzec, ale niezbyt pewnie.

- A przecie nie dacie! Więc ja tu zostanę.

Sama jestem i nikomu niepotrzebna, a sierocie zginąć nie dam. Zajmę się tym niebożątkiem, a

wy sobie rachujcie gwiazdy. Dopiero, kiedy podrośnie, to się będziecie tym kłopotać, co z nim uczynić... Czy godzicie się na to?

Siwemu człowiekowi niebo rozbłękitniło się w oczach.

Chwycił rękę starej kobiety i ucałował ją ze czcią.

- Co czynicie, panie? - zawołała ona niezmiernie zdumiona.

- Czczę serce szlachetne! - odrzekł wielki mędrzec z wielkimi łzami w oczach. - Gdybym był królem, uczyniłbym to samo.

Rozdział trzeci

w którym Huragan żegna świat, a Janek zwalnia z pokuty płaczącego ducha

Mędrzec ów dobrotliwy, który serce miał równie wielkie, jak rozum wspaniały, zwał się Witalis. Zwiedził świat i wszędzie poznawał ludzkie obyczaje; znał języki wielu ludów i widział wszystko, co godne było ujrzenia. Kształcony w słynnych uczelniach, kiedy już tysiące przewertował ksiąg, nie zabiegał o zaszczyty i fawory, lecz wiedzę swoją niezmierną postanowił oddać ludziom nieszczęśliwym. Zamiast, jak to inni mędracy czynili, zamknąć się wraz ze swą chwałą w bogatej pracowni, on jak dobry apostoł i jak pełen słodczy nauczyciel wędrował wśród ludzi biednych. Tą drogą chodził, przez wszystkich zapomnianą, którą wlecze się na poranionych nogach nędza ludzka, którą w stronę wilgotnego grobu zmierza głód i cierpienie, ból i zgryzota. Jeśli zaszedł do wielkiego miasta, nie szedł na dwór królewski czy książęcy; lecz nieodmiennie zmierzał szybko w zaropiałe, błotniste i zadżumione zaułki, w te straszne ulice, które mrocznymi oczyma okien nigdy nie oglądały słońca. Tam leczył, pocieszał i ratował. Sam biedny, nie mógł nędzy poratować złotem; sam dziurawym okryty płaszczem, niczym nie mógł okryć nagich kości żebraczych. Przynosił jednak więcej niż złoto, bo serce pełne współczucia i tak słodkiej dobroci, że w najciemniejszym zaułku czyniło się jasno, kiedy on tam wchodził z jasnym spojrzeniem i ze słowem pełnym gorącego wzruszenia. Umiał jakby czarodziejskim zaklęciem najtwardsze otworzyć serce, a wielką tajemnicą pokornej dobroci każdej ulżyć zgryzocie.

Był lekarzem mądrym, przeto leczył chorych i czasem najniższe spełniał przy nich posługi: Wyżebrany groszem dzielił się z biedniejszym od siebie, nie dbając o to, że sam może zemrzeć z głodu. Czczono go jednakże i wielbiono nie tylko wśród nieszczęsnej biedoty; schylali przed nim głowy możni i najmożniejsi, a król jeden potężny uczynił raz rzecz niesłychaną, albowiem na jego widok ukląkł przed nim wobec ciżby dworzan i wasalów.

- Co czynisz, miłościwy panie? - zakrzyknęli zdumieni.

- Kłaniam się wielkości - odrzekł król - albowiem on jest mędrce, a ja tylko królem!

Witalis miał zawsze uśmiech na twarzy, jak gdyby złoty jakiś pająk w jego duszy ukryty wieczyście przadł jasną przedzę promieni, z nich ten uśmiech się stawał. Nie wiedział ten mędrzec, co to jest gniew, znał tylko przebaczenie; ból cudzy stokroć więcej bolał go, niż własny. Nie znał umęczenia, lecz wielki trud swojego żywota dźwigał radośnie a niezmordowanie.

A kiedy mu zabrakło już sił na wędrowanie, kiedy mu posiwiały włosy, a szlachetna twarz, zmarszczkami pocięta, przypominała zoraną ziemię, zawędrował w to pustkowie. Można jeden grabia pozwolił mu zamieszkać w ruinach zamku, a przyjaciele jego, sławni uczeni, doktorowie i magistrowie, zaopatrzyli go w niezbędne przedmioty, w księgi i przyrządy tajemnicze, które służą do badania tego, co na niezmiernym dzieje się niebie. Do tych ruin zajechał na śmiesznym koniu, którego nikt dosiadać nie chciał, więc go darowano dobremu mędrce i w ten sposób niezbyt przystojny

Huragan stał się jego wiernym sługą. Raz do roku dosiadał go Witalis i udawał się w daleką drogę do wielkiego miasta, i tam przez wiele dni i wiele nocy wiódł dysputy z innymi mędrkami, zdumiewając ich nie tylko rozumem niezmiernym, lecz przede wszystkim, opowieściami o tym, co mu się udało odkryć na niebieskim sklepieniu. Badał on ruchy gwiazd i tajemnicze ich drogi; wśród złotego ich mrowia odnajdywał nowe, dotąd przez człowieka nie widziane. Myślał tak ostrą, jak nóż, płatał czarny mrok nocy, jak płat sukna, i promieniem bystrego spojrzenia docierał do niebieskich głębin, w otchłań niezgłębioną tego morza, po której słońce pływa jak łódź złota, a księżyc, jak łódź srebrna, A co dojrzał tak wielką męką spojrzenia, że w oczach czuł ból ostry i przeszywający, to zapisywał w księgi. Błądził wśród świetnych gwiazd, jak kiedyś wędrował wśród ludzkiej gromady i jak wśród ludzi szukał miłości, tak wśród gwiazd szukał Boga. Chciał w niezmiernej i nieogarnionej postaci niebieskiej znaleźć tę potęgę najcudowniejszą, która stworzyła człowieka i gwiazdy, i miłość, i cierpienie. Czemuż to czynił i czemu oczy zalewała mu krew podczas nocy bezsennych? Oto pragnął wśród rojowiska gwiazd odnaleźć miłość najwyższą i nieskończoną, znaleźć Stwórcę najwspanialszego i wtedy, na kolana upadłszy, wybłagać łzami i płaczem serca, aby i ziemię biedną i pełną cierpienia zamienił na niebo przezyste i wzniosłe. Dusza ludzka, po niebie oczyma choćby wędrująca, pragnąca wznieść się ku gwiazdom i ku słońcu, staje się lepsza i czystsza; serce ludzkie pragnie się oderwać od ziemi i odetchnąć tym bezmiarem jasności, co jest ponad nami.

Witalis zapominał o wszystkim, kiedy przez szkła przybliżające badał niebo. Pragnął dojrzeć na nim wszystko, aby później donieść o tym ludziom i uradować ich wieścią o tym, że niby mały i mizerny, i przyziemny człowiek zdoła wybiec myślą poza świat. A jeśli to zdołał uczynić, może kiedyś, kiedyś, zdoła tak spotężnić sercem i duchem, że pognębi zgrzyoty i cierpienie. Witalis mówił sobie w pokorze, że jest jednym z tych wielu tysięcy, co życie własne oddadzą, aby inni byli szczęśliwi.

Czasem upadał ze znużenia, lecz nie ustawał w trudzie. Szukał drogi do Boga przez gęstwinę gwiazd, niezmordowanie, niestrudzenie. Cały zamieniał się w oczy, bystre i czujne, śledząc drogę słońca, wschody i zachody księżyca. Przez lata całe wypatrywał na nim śladu życia i żyjących istot. Znał drogi planet i wszystkie cudzy Drogi Mlecznej oglądał z pokornym zachwytem. Natężał myśl aż do bólu, aby się przekonać, czy potężne te i straszliwe światy, choć jak złote ziarenka piasku wydające się ludzkim oczom, latają moc w sobie tajemną, a tak niezmierną, że mogą wpłynąć na losy człowieka, co się na Ziemi rodzi i umiera.

Od wielu, wielu lat szukał rozwiązania jakiejś wielkiej tajemnicy. Trudziło się tym wszyscy mędracy świata, a on, wśród nich najbardziej wytrzymały, przysiągł sobie, że choćby miał zginąć z utrudzenia, jednak zdoła ją wydrzeć niebu. Zapisywał grube księgi i szukał, i szukał. Żywił się byle czym, z tego żyjąc przeważnie, co mu przynosili ludzie, których leczył i którym przedziwne przyrządzał lekarstwa. Sława jego i wieść o nim krążyła szeroko i daleko, lecz on o tym nie wiedział. W nocy wałęsał się po niebie, a we dnie wśród nieszczęśliwych; sypiał krótko na twardym tapczanie, jakby się obawiał, że marnuje na sen bezcenny czas. Samotny wśród ruin, nie znał żadnej trwogi. Czasem tylko, kiedy podczas pochmurnych nocy nie mógł śledzić żywota gwiazd i kiedy przy chuderlawym ogarku kreślił cyfry i znaki, i tajemnicze koła, odczuwał niepokój. Zdawało mu się, że jakiś męt pada na jego wyblakłe z nadmiernego utrudzenia oczy. Czasem czuł w nich ból, często zachodziły one łzami. Wtedy martwiało w nim serce, cóż by bowiem uczynił, gdyby jego oczy zagasty? Trud życia poszedłby na marne, na nic nie zdałaby się męka szukania. Wtedy się modlił

gorąco o łaskę najwyższą: o jasność i bystrość spojrzenia.

Zdawało mu, się, że te jego znużone oczy nowym napełniły się blaskiem, kiedy w nocnym mroku dojrzał gwiazdę - nie na niebie, lecz na leśnej drodze, najśliczniejszą gwiazdę: dziecko uśmiechnięte. Od tej chwili smutne jego życie rozświetliło się. Puste, mroczne komnaty napełniły się takim szczebiotem, jak się smutny las napełnia na wiosnę ptaszęcym śpiewem. Wielki mędrzec odjął gwiazdom odrobinę miłości i oddał ją temu ślicznemu stworzeniu.

Strasznie to był śmieszny chłopiec, ten Janek znaleziony w lesie. Od pierwszego dnia pobytu w siedlisku Witalisa głośno i dobitnie, rzecz można, że nawet krzykliwie, ogłosił całemu światu, że na razie poza jedzeniem nic go nie obchodzi. Nakarmiony, oznajmiał wierzganiem, że raczej być zadowolony i nakazuje spokój powszechny, gdyż pragnie oddać się sennym marzeniom. Musiało mu się jednakże nieustannie śnić tylko to, co można zjeść, bo obudziwszy się, niczego innego nie pragnął. Mędrzec patrzył na te praktyki z radosnym zdziwieniem, nie mogąc pojąć tak potężnego obżarstwa w tak małej osobie.

Drugą nadzwyczajną cechą tego młodzieńca był absolutny brak poszanowania względem osób poważnych i dostojnych; z piastunką swoją był na stopie poufałej, a wobec swojego przybranego ojca, najlepszego z mędrców, zachowywał się z nieprawdopodobnym nieposzanowaniem, uważając, że jego nos lub dostojne uszy doskonale nadają się do ćwiczeń fizycznych. Witalis, anielsko cierpliwy, ze szczęśliwym uśmiechem poddawał rafinowanym torturom te Szlachetne ozdoby twarzy. Patrzył też ze zdumionym przerażeniem, jak piastunka uśmierzała czasem zbyt nie rozigranie młodzieńcze mocnym klapssem w okolice mięsiste, co sprowadzało natychmiastowe opamiętanie lekkoducha. Ile razy zostawał z nim sam, kiedy piastunka odchodziła do wioski, a mały żarłok rozpoczynał swoje szaleństwa, mędrzec wpadał w rozpacz i nie wiedząc, jak go uspokoić, chwycił najgrubszą księgę i odczytywał mu kilka rozdziałów w greckim języku o filozofii. Wywoływało to małe trzęsienie ziemi i protesty, co mędrca wielkim napełniało zdumieniem, nie mógł bowiem pojąć, jak się to dzieć może, że na młode umysły mocne uderzenie w rozsądnie wybraną część ciała może mieć wpływ większy, niż filozofia.

Tak szczęśliwie minęło lat kilka. Piastunka, rozkochana w chłopaku, powróciła do swojej chaty, Witalis czynił swoje wyprawy na gwiazdy, a jedynym towarzyszem Janka stał się Huragan. Zaprzysięgli sobie wieczystą przyjaźń przy pierwszym spotkaniu. Stare, poczciwe konisko oznajmiło ją trzykrotnym wzniesieniem ogona? do granic możliwości, czym bardzo rozczulony Janek oświadczył, że piękniejszego rumaka nie widział w swoim życiu, co było komplementem wątpliwej wartości, gdyż Huragan był jedynym przedstawicielem końskiego gatunku, jakiego chłopiec kiedykolwiek oglądał. Huragan jednak zważał na treść, nie dbał zaś o subtelności wysłowienia i od tej chwili stali się parą przyjaciół wiernych i nierozłącznych. Nie było hardziej lekkomyślnych włóczędzów na Bożym świecie nad nich dwóch. Sędziwy Huragan miał nogi tak już zgrubiałe w kolanach, jak gdyby przez całe życie klęczał pobożnie i modlił się o owies; wzmógł jednak w sobie resztkę ducha i udając, że rześko biegnie, stawiał nogi tak sztywno, jakby każda była kołkiem, który on pragnie wbić w ziemię, na jakąś wieczną pamiątkę. Janek dreptał albo przy nim, albo się plątał między jego nogami, skracając sobie drogę pod Huraganowym brzuchem. Wałęsali się po polach i okolicznych lasach, jak gdyby szukać pilnie tego, czego nigdy nie zgubie. Huragan szczypał trawę lub młode listowie, roztropnie słuchając, co mu jego mały opowiada przyjaciel. Czasem przystanąwszy,

zastanawiali się obaj nad opętaniem jakiegoś rudego zwierzątka, które z groźnym bulgotaniem, nakrywszy się kitą ogona, przebiegało z drzewa na drzewo, co jest odwiecznym zwyczajem wiewiórek. Roztrząsali podczas tych beztróskich podróży sprawy największej wagi, które stałyby się wiekopomne, gdyby je był kto zapisał; wielkie to tedy nieszczęście dla potomności, że nigdy się ona nie dowie, jak się Janek zapatrywał na awanturniczą kłótnię i wzajemne wymyślanie dwóch srok albo co miało oznaczać lekceważące machnięcie ogonem, kiedy Huragan napotkał na swej drodze wielką ropuchę; Koń i chłopiec umieli ze sobą rozmawiać tajemniczą jakąś mową, której nikt obcy, największy nawet filozof, rozumieć nie mógł. Huragan, jako bardziej doświadczony, wiedział oczywiście więcej o Bożym świecie, trzymał tedy na wodzy awanturniczą młodość swojego przyjaciela. Nie używał w tym celu roztropnych napomnień, lecz doraźnej przemocy. Ile razy Janek usiłował wspiąć się na drzewo, sędziwy rumak nie mogąc mu towarzyszyć w tej małpiej zachciance chwycił go zębami za pluderki i najspokojniej sprowadzał na bezpieczną ziemską nizinę. Machnięciem nieszczęsnego ogona oznajmiał, że mało go w tym wypadku obchodzą gwałtowne protesty niespokojnego przedstawiciela ludzkiego rodzaju. Łagodnym uderzeniem pełnego mądrości łba odrzucał Janka, ile razy chłopiec stanął nierozważnie nad głęboką rozpadliną. Cieniem swojego brzuchatego cielska osłaniał go przed prażącym słońcem. Kiedy się zaś zdarzyło, że znużony włóczęgą chłopaczek usnął na łące, Huragan stawał nad nim ostrożnie i trwał nieporuszony. Gdyby w takiej chwili groziło cokolwiek jego przyjacielowi, Huragan z nakrapianego konia łącno w krwawego lwa by się, zamienił i byłby stoczył śmiertelny bój z napastnikiem. Strzygł uszami i groźnie na poły ośleplymi toczył oczyma, wołając mężnym sercem groźnego jakiegoś potwora, z którym stoczyłby walkę. Ponieważ jednak nikt nie nadchodził w straszliwych zamiarach, Huragan, przeraziwszy na wszelki wypadek świat i całą naturę napełniwszy trwogą, również zasypiał.

Radosny byłby żywot tych dwóch sprawiedliwych przyjaciół, gdyby nie czas bezlitosny, co niezmiennie gasił słońce wieczorem, a o świecie płomieniem je zapalał, pilnie licząc, ile kto przeżył tych dni pięknych i promienistych. Wydało mu się, że Huragan dobiegł już swojej liczby, więc zimnym na niego spojrzawszy wzrokiem kazał mu odejść z tego świata, pełnego wonnych traw, pachnącego listowia i słodkich, miodem syconych, młodych pędów. Dnia jednego Huragan wyszedł ze swojego schronienia o świecie, kiedy Witalis i Janek jeszcze spali, spojrzął po szerokim świecie, drewnianym krokiem zbliżył się do drzwi ich komnaty i zarżał dziwnie żałośnie. Przejmujący musiał to być głos, bo Janek otwarłszy oczy skoczył z posłania i rzekł do obudzonego z nagła Witalisa:

- Ojczy, coś musiało się stać, bo Huragan płacze.

Wyszli czym prędzej, zaniepokojeni.

- Czemu nas budzisz, Huraganie? - spytał mędrzec.

Spojrzawszy na konia, poznał od razu, że za chwilę śmierć skoczy mu na spracowany grzbiet, aby go do ostatniej zmusić podróży.

Huragan rozdał chrapy i z trudem uczyniwszy krok, zbliżył łeb do piersi swojego pana; mędrzec objął rękoma łeb ten pocziwy i twarz swą do niego przytuliwszy, rzekł cicho:

- Rozumiem cię, Huraganie...

- Ojcie! - krzyknął Janek - co się stało Huraganowi?

- Przyszedł pożegnać się z nami - rzekł mędrzec.

- Czy odchodzi? Dokąd odchodzi?

- Spracował się, biedaczysko, więc idzie oszukać odpoczynienia. Zbliź się, drogi synu...

Wziął Janka w ramiona i podniósł go tak, że chłopiec mógł dotknąć rączkami kochanej końskiej głowy.

- Pożegnaj go - mówił. - Kochał on nas bardzo i myśmy go kochali... O Huraganie! Przebac mi, jeśli cię skrzywdziłem kiedykolwiek, bo nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. A to dziecko szczerze cię miłowało. Nie płacz, Janku.. Może Huragan nie umrze jeszcze... Połowę tych dni, które mi jeszcze zostały, oddałbym ci, wierny przyjacielu...

Huragan spojrział na niego mądrym, niemal ludzkim wzrokiem, trącił go lekko, zadrżał, kiedy Janek rączyną go gładził głośno płacząc, po czym powoli, z wielkim trudem, słaniając się na steranych nogach, zwrócił się ku pobliskim zarośłom.

- Huraganie, najdroższy Huraganie! - zakrzyknął Janek.

Koń jednak po raz pierwszy nie odwrócił się na to znajome wołanie, lecz szedł dalej z łbem ku ziemi opuszczonym, śmiertelnie smutny.

Mędrzec miał łzy w oczach.

- Pragnie być samotny... Nie wołaj go... Serce w nim pewnie płacze, więc mu nie przysparzaj boleści...

Chłopiec łkał cicho, a mędrzec patrzył długo, długo na te słowa na tę śmiertelną wędrówkę najpoczciwszego na świecie zwierzęcia. Huragan odchodził, jakby widokiem swej śmierci nie chciał zasmucać tych, których kochał.

Nikt już nigdy nie słyszał o Huraganie.

Długo potem Janek błądził wśród chaszczów, szukając przyjaciela, lecz go nie znalazł. Został sam.

Rozgarnięty ponad wiek, chłonał w siebie każde słowo swojego przybranego ojca, który umiał mówić tak przedziwnie, że Janek rozumiał wszystko. Kiedy zaś Witalis zatapiał się w swoje księgi, chłopiec rozmawiał z drzewami i wiatrem, z wodą i z ptakami. Wiedział o wszystkim, co się działo dookoła. Znał wszystkie zwierzęta, które też i jego znały, zbliżając się do niego bez lęku; rozumiał tajemnicze śpiewanie wiatru i wiedział, co ten wiatr przyniesie: pczy bieży przed burzą, czy ucieka przed spieką. Błądził spojrzeniem wśród chmur i wśród ich kłębowiska umiał wynaleźć jakiś kształt znany, człowieka, zamek potężny lub cwałującego konia. Wiele, wiele razy widział jak gdyby widmo Huragana, uczynione z wełnistej chmury.

Niebieskimi oczyma patrzył ze zdumieniem na niezmierne cudy nieba i ziemi. Kochał je wszystkie i nigdy niczemu nie uczynił krzywdy, ani drzewu, ani ptakowi, ani żadnemu żywemu stworzeniu. Nie wiedział też, co to jest lęk. Ponieważ sam krzywdy nie czynił, wierzył całym sercem, iż i jemu nikt jej nie wyrządzi. Gdyby nagle na ścieżce spotkał ogromnego niedźwiedzia, zdziwiłby się bardzo, że taka tłusta góra może chodzić po bożym świecie, lecz nie pomyślałby ani przez chwilę, że trzeba uciekać.

Nauczył się żyć byle czym; potrafił jeść suchy chleb i popijać źródlaną wodą; czynił to, co czynił jego przybrany ojciec, którego kochał niewypowiedzianie. Szybko pojął sercem dziecinnym, że ten siwy, pewnie najmędrszy na świecie człowiek, niewiele więcej od niego wie o zwyczajnych sprawach; dumny był przeto bardzo, że czasem on, niedorostek, musiał pamiętać o domowym gospodarstwie. Było ono tak mizerne, że niewiele trzeba było pracy, aby się z nim uporać. Łatwo było wprawdzie ze wszystkim w lecie, ciężko jednakże bywało w zimie, Czasem zamieć burzliwa i wściekła i zwały ogromne śniegów odcinały ich od wszelkiej łączności z ludźmi. Głodowali wtedy cierpliwie. Mędrzec przy ognisku pisał w swoich księgach, a Janek, grzejąc się przy ogromnym kominie, karmionym suchym badylem i szczapami drzewa, rozmyślał o najrozmaitszych rzeczach albo patrzył w mrok, usiłując dojrzeć, czy się w nim co nie czai?

Wiatr płakał rozpaczliwie, usiłując przez komin dostać się do kominka, aby ogrzać zgrabiałe swoje palce. Na dworze opętana zawierucha zmagła się z drzewami, co postępując od bolesnej udręki, wyciągały ku ciemnemu niebu czarne ramiona, jakby błagając niewidzialne słońce o zmiłowanie. Straszno było i mroczno; ogarek świecy jak drżąca iskierka chwiał się niespokojnie. Dokoła w ruinach tańczyła po wyszczerbionych murach i wśród zapadłych sklepień śnieżysta wichura.

Wiatr skomlił:

- O ja nieszczęsny! o ja nieszczęsny!

A drzewa:

- Ratunku! ratunku! ratunku!

Janek leżał na pościeli z otwartymi oczyma i nasłuchiwał tych płaczów i narzekań. Już mędrzec usnął, a on, litując się tej udręce i tym rozpaczom, nie mógł zasnąć.

Wtem słuch natężył, bo najwyraźniej doszedł go głos ludzki; nie mógł sobie zdać sprawy, skąd ten głos pochodzi, bo raz mu się zdawało, że z kadłuba wieży, drugi raz, że ze sklepionego brzucha podziemi. Czasem był to jak gdyby skowyt przeciągły, czasem jak rozdzierający ryk albo cichy, pełny rzewnej skargi jęk. Tułał się ten głos po rozległym zamczysku, wzmagął się lub znów przygasał. Czasem łączył się z płaczem wichru w jedno wielkie narzekanie albo też, kiedy wiatr ucichał, brzmiał najwyraźniej jakby zawodzenie: „O! o! o!”

Raz ten głos usłyszawszy, słyszał go teraz coraz częściej. Mijały czasem tygodnie i głos ten i nie powracał, a nieraz płakał dzień po dniu.

Zapytał Janek mędrca, co by ten głos oznaczał?

- Słyszałem ja jęki te po wielokroć razy, synku drogi - rzekł Witalis - lecz nie znam ich przyczyny. Może to dusza cierpiąca i pokutująca skarży się tak boleśnie i Bożego prosi zmiłowania.

- Czy można jej pomóc?

- Ja nie wiem, dziecko kochane, Bóg to jeden wie.

Minęła zima i wiosna przyleciała z jaskółkami, a Janek Wciąż myślał o tym kimś, co ma pełną duszę płaczu i mieszka w mrocznych podziemiach. Śmiało więc począł krążyć wśród ruin, wszystkie zwiedzając zakamarki i wszystkie zapadłe kąty. Dziwowały się tym wędrownikom nietoperze, czasem znów stary puchacz nastroszył się gniewnie, spostrzegłszy małego człowieczka, co mu sen zakłócał. Chłopiec widział w ciemnościach jak kot i coraz to nowe wśród ruin odkrywał tajemnice: jakieś sale przestronne z zapadłą kamienną podłogą, komnaty do pieczar wilgotnych podobne, zawile korytarze i schody, wydeptane przez dawnych ludzi. Całe godziny spędzał wśród tych umarłych kamieni, płaczących nad swoją ruiną zieloną strugą łez, sączących się po zmurszałych ścianach.

Przez otwór w murze wczołgał się raz do przestronnej komnaty, czyniącej pozór dawnej kaplicy; przez jakąś szczelinę wdarła się tu odrobina słonecznego światła. Janek wodził ciekawym spojrzeniem po ścianach i po kamiennej posadzce, w wielu miejscach wydętej i nierównej. Nagle przywarł do muru, gdyż ryk ogromny jak gdyby podrażnionego zwierza wstrząsnął całym rumowiskiem. Serce drgnęło w chłopcu, który jednak nie wiedział, co znaczy lęk. Oczy tylko szerzej otworzył i patrzył zdumiony, jak się głązy jednej ściany szeroko rozstąpiły, a z otworu wyszła ogromna postać; było to widmo człowieka zakutego w blachy; czarna broda zakrywała mu piersi, z gęby wionął dym, a z oczów dwa rude strzelały płomienie. Janek nie śmiał odetchnąć, kiedy straszliwa ta mara rycząc okropnym głosem zbliżyła się ku niemu. Płomienie zgasły w jej oczach, które patrzyły w tej chwili na chłopca wybałuszone jak dwa księżycy; potwór znowu otwarł paszczę i wionął chmurą dymu. Było to wprawdzie straszne, lecz bardzo zajmujące. Chłopiec był wniebowzięty.

- Wyborna to jest sztuka! - zawołał - jak to się robi?

Zdaje się, że w marę ogniem ziejącą trzasnął piorun zdumienia, gdyż urwał w połowie potężny ryk i głosem takim, jakby dziesięciu nagle zakrzyknęło chłopca, zawołał:

- Nie boisz się ty mnie?

- Nie, szlachetny panie! - odparł chłopiec.

- Po raz wtóry pytam cię, nie boisz się mnie?

- Nie boję się, panie!

Wtedy potwór zakrzyknął jeszcze potężniej:

- Po raz trzeci pytam się ciebie, nie boisz mnie?

- Wcale się was nie boję, wspaniały panie.

Upiór zawył tak przeraźliwie, że okruchy głązów zaczęły padać ze sklepienia. Zadymił ze srogiej gęby, płomieniem chlusnął z oczu i zakrzyknął:

- Ja cię zjem!

- Dlaczego, panie? - zapytał Janek- czy wam wyrządziłem co złego?

- Zamorduję cię i pożrę ciebie, mały człowieku. Ha!

Uczył wielki jeden krok i o występ głązu począł ostrzyć straszliwe kły, tak że iskry leciały potężnie.

Chłopiec, zamiast umknąć stał nieporuszony, ani przez chwilę nie wierząc w słonecznym sercu, aby mu ktokolwiek na świecie mógł wyrządzić co złego. W straszliwości potwora było zresztą coś dziwnie śmiesznego, kiedy mu dym kłębami buchał z gęby, a z kłów sypały się iskry.

- Połamiecie sobie zęby, szlachetny panie!

Widmo zawył przeraźliwie w srogim zdumieniu.

- Chłopcze! - zakrzyknął potwór - czy chcesz umrzeć?

- Ani myślę! - odrzekł Janek, spostrzegłszy, że ognisty wielkolud wciąż mu grozi śmiercią, ale nic mu nie czyni złego.

- Na wszystkie męki piekielne - zawył straszliwiec - nie wiesz ty, kto jestem!

- Wiem, panie! - odrzekł Janek. - Słyszałem wiele razy, jakście płakali. Dlatego szukałem was, aby was zapytać, co was boli? Myślę, że chyba zęby, jeśli je tak ostrzycie na kamieniu. Żal mi was było bardzo.

- Powtórz to raz jeszcze!

- Żal mi was było, panie!

- I ty mnie szukałeś?

- Długo was szukałem.

- I nie boisz się śmierci?

- Nie, panie, bo któż mi ją zada?

- Ja! - ryknął potwór.

Janek roześmiał się głośno.

Tego to ja się nie boję. Chcecie mnie, panie, tylko nastraszyć, a ja wiem, że jesteście dobrzy i nieszczęśliwi.

- Skąd wiesz o tym?

- Ojciec mi mówił, kiedy słyszał, jakście płakali.

- Czy masz matkę?

- Nie mam, panie. Moja matka umarła już dawno.

- Czy możesz przysiąc na pamięć matki, że sam mnie szukałeś i że się mnie nie lękasz?

- Już wam to powiedziałem, a jeśli trzeba, przysięgam na pamięć matki, że sam was szukałem i że się was nie lękam.

- O Panie miłosierny! - jęknął potwór.

Zgasły w jego oczach płomień, a zamiast nich wielkie pociekły łzy. Widmo skurczyło się nagle i zniknęło.

- Co czynicie, dobry panie! - zakrzyknął Janek zdumiony, bo dziwny człowiek nagle rzucił się na kolana przed chłopcem i wyciągnął ku niemu drżącą rękę.

- Klękam przed tobą, dziecko niewinne... Nie wiesz ty, kto ja jestem. Lat trzysta męczyłem się tu, potępieniec okropny, bo kiedyś wymordowałem w srogiej wojnie ludzi mnóstwo, dzieci małe własną pobiłem ręką...

- O Boże! - szepnął Janek.

- Za to w strasznej męce trwać miałem tak długo, aż mnie dziecko odnajdzie i nie przelęknie się mnie. Zważ, chłopczyno najdroższy, jak ciężka to była, choć sprawiedliwa kara, bo czyż mogłem mieć nadzieję, że się znajdzie takie, co się okropnego mojego widoku nie przelęknie? Tym ci to straszniej było, że musiałem rykiem potwornym i ogniami ze źrenic straszyć, i lękiem śmiertelnym każde przerazić dziecko. Dlatego śmiercią groziłem i tobie, wybawcy mojemu. Przez lat trzysta cierpiałem straszliwie, milionem łez oplakując każdą kropelkę tej krwi, którą wylałem niegodnie. Aż mi Bóg przebaczył i ciebie tutaj przysłał, dziecko jedyne. Teraz w daleką odejdę drogę i nigdy już tu nie powrócę.

- Dokąd pójdziecie, biedny panie?

- Pójdę pomiędzy dusze zbawione...

- O, panie! To tam, gdzie jest matka moja?

- Twoja matka jest wśród aniołów.

- A wy jej nie ujrzycie?

- Ujrzę, jeśli jest taka wola Boska.

- Błagam więc, panie, abyście powiedzieli mateńce mojej, że choć nie przypominam sobie jej twarzy, miłuję ją z całego serca...

- Powiem, och, powiem...

- I proszę ją, aby zawsze była przy mnie...

- Powiem, dziecino.

Janek miał oczy pełne łez i srogi duch też płakał, jak to chłopię. Nagle przygarnął Janka do szerokiej piersi i tak się ściskali długo, aż Janek poczuł, że obejmuje powietrze. Nikogo przy nim nie było. Zdziwiony, lecz szczęśliwy, powracał przez ruiny. Kiedy szedł w tamtą stronę, przedzierał się z trudem przez zwały cegieł i ostre głązy, teraz zaś, jakby kamienie żywe były, usuwały mu się spod nóg, wygodną dając drogę.

Opowiedział mędrcom z powagą wielką o wszystkim, co mu się wydarzyło.

Witalis objął chłopca ramionami i rzekł ze słodyczą:

- Łaska Boska jest nad tobą, chłopcze ukochany. Bacz, jak wielka jest potęga czystego serca, co srogie zniewala duchy i niebo wyprosić dla nich zdoła. Pomódlmy się za tego nieszczęśliwego człowieka, co w daleką udał się drogę... Mów za mną: „Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie!”

Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie!

...I mateńce mojej najdroższej!

...I mateńce mojej najdroższej!

...A światłość wiekuista niechaj im świeci!

...A światłość wiekuista... Ojcze, ojcze!

Co, mój synu?

Patrz, patrz, róże spadają na nas z pułapu!

To nie na nas, to na ciebie, to tylko na ciebie, dziecko przeczyste! - rzekł Witalis.

Rozdział czwarty

w którym umarły oczy mędrca, a studnia ludzkim przemawia głosem

Janek miał już lat czternaście. Kształcony przez mędrca, wiedział wiele i myśl miał bystrą. Prócz Witalisa uczył go las, wiatry i wody; las go nauczał, że mierzyć należy w górę, wicher go nauczał pędu i siły, wody srebrzyste nauczały go, że duch jego powinien być czysty, jak gdyby odbijał w sobie niebo.

Kiedy pojął, co dla niego uczynił ten siwy, samotny człowiek, ten biedaczyna pokorny i wspaniały, co czasem nie miał dla siebie okruszyny chleba, a jego wykarmił i wychował, czuł w duszy rzewność niezmierną. Kochał go tedy ponad wszystko w świecie. Patrzył w jego zmęczone oczy z niewypowiedzianą miłością i czynił wszystko, by najdroższej tej istocie, mędrcowi temu najcudowniejszemu, życie jasnym uczynić. Zmiał proch z jego drogi. Nie pozwolił, aby Witalis, w którym wielkie i wspaniałe dopalało się serce, jakkolwiek, najmniejszą chociażby troskę napotkał w swoim pobliżu. Żywił go, czuwał nad jego snem, wielbił jego pracę, za wielkie sobie poczytując szczęście, tedy się ten ojciec najlepszy uśmiechał do niego. Oddałby życie za ten uśmiech, wyrywany z promienistej duszy, jak kwiat z ziemi.

Kiedy wielki mędrzec w noc pogodną bezgłośnie z gwiazdami gadał, nazywając wiele z nich imieniem jakimś dziwnym, i kiedy spojrzeniem wśród nich błądził, jak pasterz dobry wśród stada swoich owiec, Janek siadał u jego stóp, jak służka najwierniejszy, gotowy na każde skinienie. Czasem zaś z zapartym oddechem słuchał chciwie, kiedy mędrzec nauczał go o cudach niebieskich. Duszę miał wtedy w zachwyceniu i zdawało mu się, że stąpa wśród złotego roju gwiazd, po niezmiernej Mlecznej Drodze.

A Witalis mówił:

- Owe gwiazdy, które Bóg rozsiał na niebieskim polu, jak złote ziarna zboża, są to światy ogromne i niepoliczone. Mąci się myśl człowieka, który by je pragnął policzyć albo dotrzeć do nich. Jesteśmy jako ten proch wobec słońc potężnych i wspaniałych. Bądźmy przeto pokorni. Nikt nie wie, gdzie się zaczyna przestwór niebieski ani gdzie się kończy, nigdzie się bowiem nie zaczyna i nie kończy nigdzie. Jest to nieogarnione królestwo Boże, co się pali złotymi ogniami. Gdyby można policzyć ziarnka piasku wszystkiej ziemi i wszystkie te, co leżą na dnie mórz, i gdyby je można pomnożyć tysiące tysięcy razy, byłaby to liczba maleńka i znikoma wobec liczby tych gwiazd, którymi usiana jest Droga Mleczna. Wiele, wiele już lat błądzę po niebie, a z dniem każdym większa jeszcze groza mnie napełnia i dusza moja drży ze śmiertelnego lęku przed tą wspaniałością niewypowiedzianą i potęgą najstraszliwszą, co w przestworzu ponad nami wieczyście wisi. Dusza moja jak robak w prochu pełza i zaledwie oczy śmiem podnieść ku tej tajemnicy, co oczyma gwiazd na mnie patrzy z wysokości.

- Wszak jesteś mędrce, ojcze! - mówił Janek.

- Mądrość moja jest jak kaganek, który lada podmuch zgasi wobec słońca. Jestem ja wśród pokornych najpokorniejszy; nie ogarnę straszliwej potęgi nieba, przeto wśród krociów wybrałem gwiazdę jedną i całe życie poświęciłem, aby wysledzić jej drogi.

Cóż z tego, że je poznasz, ojcze?

Wielka to jest rzecz, dziecko moje. Zbadawszy drogę jednej gwiazdy, zdobędę ułamek, okruszynę, źdźbło jedno niezmiernej tajemnicy. Człowiek po to żyje, aby przez męki choćby najsrozsze, choćby mu krew zalewała mózg i choćby w nim serce usychało z rozpacz, zdążyć do jej poznania. Pojmiesz to nie dzisiaj jeszcze, ani jutro. Straszne to są sprawy. O tym wiedz tylko, że jeszcze mi czasu niedługiego potrzeba, abym dokonał tego dzieła, którym zamierzył. Pod wielką ci powiem tajemnicą - zaczął mówić szeptem - że ziemia, która się płaską wydaje, nie jest płaska, lecz okrągła. Ja to już wiem, lecz nikt na świecie mi nie wierzy. Muszę szukać dowodów. Już widzę brząsk prawdy... Może lat kilka, a może godzin niewiele od niej mnie oddziela... O, dziecko! O tych niewiele godzin błagam Boga i o nic więcej. Już jestem blisko, już wiem wiele, lecz serce we mnie zamiera z lęku, kiedy pomyślę, że śmierć może przyjść do mnie dzisiaj jeszcze i zamknąć mi oczy. mnie jeszcze potrzeba oczu, tylko oczu! Niech bym skonał, byle tylko moje oczy żyły i mogły ujrzeć tę prawdę, której czekam i szukam od półwieka.

Długo mu potem mówił o wielkiej tajemnicy ziemi i tak kończył:

- Synu mój! Oczy moje są już tak słabe, czasem, kiedy patrzę, ból ostry przeszywa moją głowę. Niech boli, niech boli, byle oczy moje nie zgasły. Boję się, dziecko moje... Cóż to, płaczesz?

- Oddałbym ci moje oczy, ojcze najdroższy!

- Wiem, wiem o tym. Znam twoją duszę, chłopcze jedyny... Nie płacz, daj pokój!... Przecie nie oślepiłem, choć czas zgiął moje krzyże i głowę moją gnie ku ziemi. A ja ją wznoszę zawsze ku niebu i ku gwiazdom. Lecz gdyby moje oczy zagasły...

- Nie mów tak, ojcze! na Boga, nie mów!

- Gdyby moje oczy zagasły - kończył mędrzec - wyprowadź mnie na szczyt wieży, abym mógł skoczyć w przepaść.

Wielka, krwawa troska zapadła w duszę chłopca; dręczył się i dręczył, lecz przeciw grozie nic zdziałać nie mógł. Wiedział, że ojciec jego sterał swoje oczy i że może kiedyś paść na nie mrok nieprzebity. Patrzył z niepokojem, jak czasem wielki starzec zakrywał je dłonią, jak gdyby chciał zasłonić przed blaskiem. Dreszcz nagłej trwogi wstrząsał wtedy Witalisem, a chłopiec rozumiał drapieżność tej trwogi, co chciała, pazurami wydrzeć te oczy, pełne mądrości i uśmiechu. Czasem mędrzec, zbierawszy ziół rozmaitych, wyciskał z nich soki, potem płóciem nimi zwilżywszy, kładł je na powieki i tak trwał przez długie godziny, milczący i śmiertelnie smutny.

- Jak się czujesz, drogi ojcze? - pytał go każdego poranka.

-- Jeszcze widzę! - odpowiadał mędrzec z jasnym uśmiechem.

Wiem, co mi należy uczynić - mówił Janek. - Wybiorę się w podróż daleką do owych mędrców, o których mi opowiadałeś, że znają leki na wszelkie choroby. Choćbym miał wędrować na koniec świata, przyniosę ci owe cudowne maści i oczy twoje ozdowieją.

- Na nic to wszystko, synu mój - rzekł mu Witalis. - Oczy moje me są chore, lecz gasną już, bo zbyt długo patrzyły. Dopalają się tak, jak lampa oliwna albo tak, jak dzień gaśnie o wieczornej zorzy. Cud chyba może je nowym pełnić blaskiem.

- O, niechże się stanie cud!

- Niegodny, niegodny jestem... Już i to jest cudem, że jeszcze widzę... Pójdźmy patrzeć na gwiazdy...

Patrzyli nocy każdej na roziskrzone niebo tak długo, aż gwiazdy zaczynały blednąć i ze złotych czyniły się srebrne, zanim jak srebrnołuskie ryby nie skryły się w mlecznej poświacie nieba, jak w perłowym jeziorze. Wtedy mędrzec zapisywał w księgach o wszystkim, co zdołał nocy tej wyśledzić wśród gwiazdnej zamieci, i dopiero szedł na spoczynek.

Raz rzekł o zachodniej zorzy:

- Dzisiaj będzie noc taka, sierpniowa złota noc, podczas której najwięcej pada gwiazd. Piękny to jest widok. Gwiazdy burzą się, jak gdyby pszczołowody chodzili wśród ulów i chwytac chcieli roje. Coś wcześniej dziś wieczór zapada... Słońce zapewne zachodzi w bogatej czerwieni, bo mi się wydaje, że czerwone wielkie koła wiją się przed oczyma.

Przetarł dłonią oczy, powiekami je nakrył, jak gdyby pragnął dać im odpocznienie.

Kiedy zaś nadeszła noc, oznajmiona graniem świerszczów i hukaniem puchaczów. Witalis podniósł się ciężko z siedziska i rzekł:

- Chodźmy wędrować po niebie, synu.

Zbliżył się ku przestronnemu oknu, przy którym na trójnogu wysokim osadzony był teleskop jednooki, czujnie w niebo wpatrzony, i przez który widać było płat nieba ogromny, radośnie gwiazdami błyskający. Niebo wyglądało tej nocy wspaniale, bogato i cudnie, jakby na nim namnożyło się gwiazd jarzących i pysznych. W powietrzu jasność była jakaś srebrzysta i upojne wonie, od lasów i łąk bijące. Świat wyglądał jak niezmierny kościół, w którym krocie jarzy się światła; dziwna była ta wielka wieczorna cisza w tej świątyni i można było mniemać chyba, że właśnie odbywa się Podniesienie, przeto organy umilkły, śpiew się ludzki milczeniem kaja, a tylko świerszcze zamiast dzwonek cichutkich odzywają się z daleka. Tym więcej świat do kościoła był podobny, że nisko nad ziemią płonęła jedna gwiazda blaskiem krwawym, właśnie jak lampa wieczna przed ołtarzem.

Witalis na niebie położył spojrzenie i wodził nim długo we wszystkie strony. Janek stanął poza nim i zachwyconymi oczyma miłośnie musnął gwiazdy, które po dwakroć miłował: dlatego, że były ponad pojęcie piękne, i dlatego, że on, ojciec jego, miłował je wielkim sercem. Nie chcąc mącić

jego zadumy o rzeczach boskich i wieczystych, które wśród gwiazd mają mieszkanie, oddech nawet ściszył i nie ważył się słowem jednym spłoszyć tej ciszy niebieskiej; wydało mu się, że gdyby odezwał się w tej chwili, słowo jego byłoby jak nóż, co ciszę wieczorną w piersi uderza. Patrzył na Witalisa i widział, że rękę powoli wznosi, kładzie ją na oczach, po czym ruch ten wielokrotnie powtarza.

- Stracona to noc, mój synu - rzekł wreszcie ze smutkiem.

- Czemu, ojcze? - spytał chłopiec cicho.

- Czyż nie widzisz? - rzekł mędrzec. - Wieczór wydawał się pogodny, a teraz mrok jest na niebiosach nieprzenikniony. Wiatr musiał ciężkie przygnać chmury z nad morza... Ciemność jest straszliwa... Nie ujrzymy już dzisiaj gwiazd, mój synu.

- Jezusie, Mario! - szepnął chłopiec.

Bladość wielka wygnała wszystką krew z jego twarzy. Czuł, że się w nim serce zaczęło tłuc niespokojnie. Głosem drżącym, słowami, które były też blade i bez krwi, drżące i zdławione, rzekł:

- Ojcze najdroższy... czy patrzysz w niebo?

- Tak, Janku.

- I nie widzisz gwiazd?

- Nie ma dzisiaj gwiazd na niebie...

- Czy... czy... nie widzisz... O Boże... powiedz mi, ojcze ukochany... czy nie widzisz... tej gwiazdy czerwonej... którą zowiesz Marsem...?

- O czym mówisz, dziecko moje...? Widziałbym gwiazdy, gdyby nie te chmury okropne...

- Ale ja je przecie...

Nie skończył, bo mędrzec odwrócił się nagle ku niemu.

- Co chciałeś rzec? Dokończ!...

- Nie, ojcze! nie! nie! ja ich też nie widzę...

Wtem mędrzec wyciągnął przed siebie ręce i rzekł głosem dziwnym:

- Słyszę głos twój, lecz nie widzę ciebie...

Aaa! - jęknął nagle z taką rozpaczą, że zdawało się, iż mu serce pęka.

Janek przypadł do niego, objął jego kolana i mówił, łkając:

- Nic to, ojcze, ojczulku, drogi, jedyny, ukochany... Nic to... To minie... To zaraz minie... Odwróć się! Patrz w niebo! O, czy już widzisz?

Mędrzec spojrział w niebo, patrzył długo, długo, potem pochylił srebrną głowę na piersi.

- Nie mam już oczu! - rzekł cichutko.

Chłopiec nagłym wybuchnął płaczem i wił się z wielkiego bólu u jego nóg. Witalis położył drżącą rękę na jego głowie i powiedział ze słodyczą:

- Nie mam już oczu... Bóg mi je dał. Bóg wziął, niech będzie imię Jego pochwalone.

Tej nocy padały gwiazdy rojem niezmiernym, jak gdyby niebo płakało złotymi łzami nad okropnym nieszczęściem tego, który je tak bardzo ukochał.

Witalis siedział długo w noc milczący, i czasem tylko podnosił ręce do oczu, jak gdyby chciał otworzyć drzwi światłu, albo jak gdyby chciał usunąć z nich mrok. Janek zaś, łkając cichutko, czekał z niepokojem poranka. Tulił w duszy nadzieję, że może potężne światło słoneczne, brylantowymi promieniami uderzywszy zmartwiałe oczy, do jasnego powróci je życia.

Ani słońce jednakże nie dokazało tego cudu. Witalis był ślepy wieczną ślepotą. Reszta jego życia miała być mroczną męką i boleścią bez nadziei. Zalany słońcem świat zmienił się w pieczarę, nalaną ciemnością, w której mieszkają tylko głosy. Mędrzec nie pokazał po sobie tej rozpacz, co z nagłą go objęła żrącym i palącym płomieniem, wzniosłemu swojemu sercu nakazał spokój, a duszy kazał uderzyć czołem przed wyrokiem Boskim. Jak dawniej, tak i teraz miał uśmiech na twarzy, lecz jakiś inny, pomieszany odbłaskiem cierpienia i z pokornym poddaniem się jego mocy. Wspaniałą czynił postać, jakoby święty, co na męczeństwo ogniste zdąża z uśmiechnioną radością.

Janek, patrząc na niego, chciał płakać na los i krzyczeć, i wołać wielkim głosem nie wiadomo kogo na ratunek. Wydało mu się to jakąś krzywdą straszliwą, że tak cierpi człowiek najlepszy na świecie. Po jego młodej głowie latały myśli, jak ogniste ptaki; co czynić? dokąd pójść po pomoc? Gdyby mógł, byłby sobie samemu oczy wyłupił i oddałby je temu starcowi potężnemu.

- Na co mi oczy? - rozmyślał w gorączce - czy po to, abym patrzył na jego nieszczęście? Och, ojcze, ojcze! Bogdajbym ja oślepnął, byłeś ty widział. Tobie te oczy są tak potrzebne. Już miałeś ujrzeć to, na co czekałeś pół wieku. O, Boże! Ześlij jakiś ratunek! Naucz mnie, co mi należy czynić, aby zdobyć światłość dla tych oczów jego zamarłych. Jeśli życia mojego na to potrzeba, oddam życie z radością!

Tak się targał w boleści chłopak poczciwy, patrząc na najlepszego swojego ojca i przyjaciela, siedzącego przez długie godziny bez ruchu i patrzącego w stronę nieba bez nadziei. Cieszył go i pieścił, czujny na każdy szelest i na każde drgnienie. Tulił go i do snu układał, jak dziecko go karmił. Opowiadał mu, co się odbywa na niebie i na ziemi, czy ptak przeleciał, czy chmury goniły się po firmamencie. Mówił mu, że letnie błyskawice igrają, zygzakowatym lotem ścigając niedościgłe nietoperze, albo że się ukazał sierp księżycy.

- Czy księżyc rośnie, czy maleje? - pytał Witalis.

- Nie umiem tego poznać, ojcze.

- Spójrz tylko, drogie dziecko. Jeśli daje z siebie pozór litery C., wtedy maleje, jeśli zaś ma kształt litery D, wtedy rośnie. Stąd starzy Rzymianie kłamcą księżyc nazywają, że niby na odwrót czyni, niż wskazuje podobieństwem swoim do tych liter, porzekadło śmieszne o nim wykoncypowali: *Luna menitax - si crescit, derescit, si decrescit - crescit*. Co zaś słyszeć wśród ludzi?

- Płaczą nad nieszczęściem twoim okropnym.

- Powiedz im, że źle czynią. Bóg nie chciał widać, abym do niebieskich docierał tajemnic. Taka Jego wola.

- Powiem im, ojcze - rzekł Janek, ukrywając łzy, aby nie zaszeleściły wśród jego słów, jak perły szeleszczą.

- Zbliź się do mnie, synku...

Witalis położył mu na głowie rękę, potem nią wodził po chłopięcej twarzy.

- Och! - szepnął - czy to jesteś ty?

- Któż by inny, drogi ojcze! - odrzekł z cichym zdumieniem Janek.

- Tak, ty to jesteś, ale i nie ty... Schudłeś tak bardzo, że cię nie poznaje moja ręka... To źle, to źle, dziecko moje... Czemu się dręczysz i trapisz, i czemu się dajesz zjadać zgryzocie? Więcej ci trzeba sił teraz, kiedy musisz opiekować się niedołącznym ślepcem. Janeczku mój jedyny! Przebacz mi, dziecko najdroższe, że ci takim stałem się ciężarem. Czy mi przebaczysz?

- Ojcze, ojcze! - zawołał Janek, wybuchając płaczem - przecie ja bym dla ciebie życie...

- Wiem, wiem, chłopczyno... Nie kończ!... Niech cię Bóg błogosławi...

Tulili się do siebie, jak dwie sieroty, jak dwaj bardzo nieszczęśliwi.

Kiedy się wieczór miał narodzić, Janek ułożył Witalisa na posłaniu, a sam poszedł do studni, aby wydobyć wiadro wody. Opowiadano, że studnia ta, bardzo głęboka, łączy się w mrocznej czeluści z piwnicami ruin. Jej dna, na którym spał mokry, mchami obrosły mrok, nie było można dojrzeć. Janek długo spuszczał wiadro, na skrzypiącym wiszące łańcuchu, a kiedy zwój jego na kołowrocie zupełnie się rozwinął, chłopiec starł pot z czoła i, odpoczywając, oparł się o kamienną cembrowinę studni. Nagle drgnął. Wydało mu się, że ze studziennej czeluści dobywa się jakiś głos. Nachylił się i, usiłując ostrym spojrzeniem rozgarnąć ciemności, nasłuchiwał. Mrok spał tam nieprzenikniony i niczego dojrzeć nie było można, lecz jakby otchłań ziejąca zimną wilgocią zamieniła się w rozwartą gardziel, bulgocący wydobył się z niej głos i ociekając wodą usiłował wydostać się na świat. Głos ten był daleki, jakby pochodził z brzucha ziemi i huczał, jakby kto toczył głazy.

Janek słuchał długo, aż głos wspiął się ku niemu i jak grzmot daleki zadudnił:

- Czy mnie słyszysz, człowieku?

- Słyszę! - rzucił chłopiec w czeluść studni odpowiedź jak kamień.

- Czy jesteś ten, który ducha płaczącego zwolnił od męki?

- Jam jest ten!

- Słuchaj, co ci mówi ktoś, co nie mówi nigdy: łzy twoje padły na dno studni i obudziły tego, który śpi.

- Kto jesteś ty, który śpisz?

- Tego ci powiedzieć nie mogę. To tylko wiedz, że mam sto tysięcy lat.

- Czy jesteś duchem pokutującym?

- Nie jestem duchem, ziemia mnie urodziła, matka moja. Ogień mnie karmi, ojciec mój. Woda mnie poi, siostra moja. Smok z rubinowym okiem mnie strzeże, brat mój. Czy mnie słyszysz?

- Słyszę! Dlaczego przemawiasz do mnie?

- Bo masz serce czyste, jak woda tego źródlika... Bo nie znasz trwogi... Bo żywych i umarłych miłujesz... I jesteś nieszczęśliwy.

- Jestem bardzo nieszczęśliwy. Skąd wiesz o tym?

- Mam sto tysięcy lat. Ja wszystko wiem, ja wszystko wiem. Oczy, które miłujesz, zagasły... Czy chciałbyś, aby spadł z nich mrok i aby ożyły?

- O Jezu! - krzyknął chłopiec.

- Czy dałbyś sobie za to wyrwać serce?

- O tak, dałbym sobie za to wyrwać serce!

- Czy zniósłbyś za to wielkie męki?

- Największe zniósłbym męki!

- Przeto słuchaj: gdyby kto dał oczu twojemu i najstraszliwszej za to zażądał zapłaty, czy nie okazałbyś trwogi?

- Nigdy, przenigdy!

- Taką czujesz moc ducha?

- Bóg widzi!

Woda zabulgotała w czeluści i dudniące słowa musiały w niej zatonać, bo przez chwilę trwało milczenie, jakby drzące od zimnej wilgoci. Wnet potem głos zaczął pięć się ku górze i znów się na świat wy dostał.

- Czy mnie słyszysz, człowieku?

- Słyszę ciebie!

- Musiałem spojrzeć w wodną głębię, aby dojrzeć to, co się ma stać. Widzę zielonymi oczyma to, co nadchodzi. Natęż słuch, natęż słuch! Jam jest studnia mądrości, jam jest woda ożywcza. Tedy ci mówię: jeśli okażesz męstwo i roztropność, ożyją oczy, które umarły.

- Co mam czynić? Powiedz mi, co mam czynić?

- Bądź mocny!

- Jestem mocny...

- Miej nadzieję!

- Będę ją miał...

- Nie pozwól, aby serce twoje struchlało i aby się ulękła twoja dusza!

- A gdybym się zatrwożył?

- Wtedy wszystko przepadnie!

- O, ty, który żyjesz sto tysięcy lat! Co mam uczynić? Jestem gotów na śmierć, lecz co mam uczynić?

- Powstrzymaj łzy. Łzy twoje padają w studnię, jak ciężkie głązy!

- Już nie płaczę, już nigdy nie zapłacę, Co mam czynić jeszcze?

- Czekać, czekać, czekać!

- Czy mogę tobie wierzyć? Czy mnie nie mami głąb?

- Ziemia nie zna fałszu, ogień nie kłamie, a woda jest przezczysta. Ja jestem ziemia i ogień, i woda. Ja ci nie powiem, co się stanie. Ja cię ostrzegam jedynie, aby cię nie zabił lęk. Odejdź teraz... Podnieś łańcuchy, bo mi ciężą na piersi... Już mnie nigdy nie Usłyszysz, człowieku, co duchy nieszczęśliwe pociesza... Niech łaska ziemi będzie z tobą, jako już jest nad tobą łaska nieba...

Ostatnie słowa cichsze były, jak gdyby ten, co przemawiał, zapadał się coraz głębiej.

Janek chwilę jeszcze stał pochylony i błyskiem rozgorzałych oczów usiłował oświecić czeluść, wydrążoną w skale; widział jedynie ułamek łańcucha, a poniżej mrok gęsty i ciężki. Zdawało mu się, że tę ciemność można odwalać jak ziemię. Szalona myśl zamigotała w chłopięcej głowie: aby się czepić tego studziennego łańcucha i krwawiąc ręce zejść na dno, i tam znaleźć tego, który mówił. Opamiętał się jednak, zrozumiał, że czeka go tam śmierć zimna, straszna i nieuchronna, i że, gdyby z tej szalonej wyprawy nie powrócił, na ziemi zostanie bez pomocy i opieki nieszczęśliwy ślepiec.

- Życ, żyć, ja muszę żyć! - krzyknęło mu coś bulgotem krwi w sercu.

Chwycił ramię kołowrotu i w straszliwym podnieceniu począł dobywać ciężkie wiadro z czeluści.

Nie powiedział ojcu o dziwnym głosie z głębi ziemi, rozważając, że jeśli to była złuda, złą nadzieją jedynie nakarmi starca i ból jego pomnoży. O świcie jednakże poskoczył ku studni i długo patrzył w jej dno, co jak oko ziemi łąz ciemnej wody zasnute, tęsknym wzrokiem spoglądało na skrawek błękitu. Woda stała nieruchoma, zimna i tajemnicza.

- Ktokolwiek to był - rozmyślał chłopiec - nie mógł być duchem złym. Był to ktoś dobry, bo mi nakazywał męstwo i kazał hodować nadzieję. Tego by nie Uczynił zły. Duch ciemny radość ma z tego, jeśli w człowieku rośnie zwątpienie i rozpacz... Przy tym kilkakroć wezwałem Boskiego imienia, a on przemawiał do mnie w dalszym ciągu. Tak, to był ktoś przyjazny... Nie był to ów człowiek nieszczęśliwy, którego uwolniłem z pokuty, bo dałby mi się poznać. I głos miał inny... Nie, nie, to nie był on, lecz ktoś, co o tamtym wiedział... Jeśli żyje w tych podziemiach sto tysięcy lat, może wiedzieć, co się stało przed kilku laty... Cóż mi doradza? Abym się nie dał pognębić trwodze i abym się żadnej nie uląkł męczarni. O, ojczyzno moja! Jeśli ci to może wzrok przywrócić, głosu z siebie nie wydam i zamrę cicho, błogosławiąc cię...

Głos kazał mu czekać, więc Janek czekał.

Czasem, przysiadłszy na zwałonym kamieniu, trwał tak w bezruchu przez długie godziny i patrzył w siną dalekość, jak gdyby stamtąd miał ktoś przyjść i powiedzieć mu, co się ma przydarzyć. Nikt jednak nie nadchodził. Z ludzkiego osiedla zjawiali się czasem ludzie, przynosili żywność, współczucie i rady najrozmaitsze. Wielkie nieszczęście Witalisa wielką wśród owych prostaczków wywołało żal. Wiele od niego zaznali dobroci, więc teraz nawiedzali go często, smutnym ogarniali spojrzeniem, a potem szeptała z Jankiem na osobności.

Mówił jeden stary chłop stułetni:

- Dam ja tobie, sieroto, radę dobrą. Ułap ty owe albo puchacza, oczy mu wyjmij, zasusz, na proch zetrzyj i na nowiu księżycy pić to daj ojcu w surowej wodzie. Musisz mu ten lek podać lewą ręką, serdeczną, a potem trzy razy splunąć, bo inaczej nie pomoże. Dziad mój to samo ze ślepym jednym zrobił, a mądry był, jak kruk.

- A ślepiec ów przejrzał? - pytał Janek.

- Przejrzeć to on nie przejrzał, ale dlatego tylko, że pewnie puchacz też był ślepy i oczy były niedobre. Inaczej to by pomogło.

- Zły to jest lek - mówił inny, bartnik stary, co miał lat jeszcze więcej. - Sowie oko na nic, bo tylko w nocy widzi... Lepszy ja znam ratunek.

- Powiedzcież mi o nim, dobry człowieku.

- Trzeba nietoperzów kilkoro uławić i na drzwiach przybić, a pod nimi trzy kółka, święconą kredą naznaczyć. A jakby przez trzy dni nie pomogło, namaścić oczy rybim tłuszczem, kiedy księżyc będzie w pełni. Kiedy w pełni jest, to na oczy pomaga, a kiedy połowa z niego tylko na niebie świeci, to wtedy na żółć. Zróbcie to, młody panie, i staremu uwierzcie.

Roztropny chłopiec tylko uśmiechnął się smutnie i nie próbował ani sów łowić, ani nietoperzów. Nieraz mu opowiadał Witalis o zabobonach ludzkich nieszczęsnych i śmiesznych.

Czekał tedy, wciąż uparcie czekał.

Od owego wieczora, kiedy z głębi studiu głos usłyszał, minął dzień jeden i drugi, i dziesiąty. Czasem, kiedy noc rozszumiała się cichym drzeniem wśród liści, a ojciec usypiał, Janek pochylał się nad studnię i długo nasłuchiwał. Czasem usłyszał jęk głęboki, czasem gniewne bulgotanie, lecz nikt już do niego nie przemówił. Chłopiec żył, jak w gorączce, choć usiłował nakazać spokój czekającemu cudów sercu. Wychudł bardziej jeszcze, nad wiek swój spoważniał, a uśmiechał się wtedy tylko, kiedy przemawiał do ślepego ojca. Zdawać by się mogło, że Witalis ociemniałymi oczyma widzi ten uśmiech, bo mu jakaś śliczna promienność zjawiała się na bladej twarzy, jak uśmiechnięta zorza zjawia się na perłowym niebie. Gładził chłopca po twarzy, dotykał jego oczów i mówił do niego głosem pełnym słodyczy:

- Uważaj, chłopczyno, jak dziwne są zrządzania Boże. Zabrał mi Bóg moje oczy, ale pomyślał o tym, aby mi dać jasne oczy twoje; dlatego ciebie znalazłem... Czy wiesz, że już lat czternaście mija, kiedy wędrowałem wśród boru, gdzie ty spałeś snem niewinnym obok matki, co spała snem wiecznym... czternaście to już lat... Przeżyliśmy je rapośnie i w wielkim szczęściu. To nic, że nam cokolwiek przybyło zgryzoty... To nic... Będziemy dalej szczęśliwi, a kiedyś, kiedy cię nauczę wszystkiego, co wiem sam, dokończysz mego dzieła. Dlatego spokojnie patrzę w przeszłość.

Janek drgnął.

- Ach! - rzekł Witalis z uśmiechem - ty drzysz? To z dawnego nawyku powiedziałem, że „patrzę”, bo ja już patrzeć nie mogę. Są jednak takie rzeczy, które można widzieć i ślepyimi oczyma. Ja martwymi źrenicami widzę na przykład, że będziesz kiedyś szczęśliwy i choćbym miał sto par oczów, nie ujrzałbym niczego innego. Ale powiedz mi, jak dziś wygląda niebo?

Janek spojrział na niebo, które było pełne świateł i wspaniałości. Nisko nad ziemią wisiał księżyc, dobrotliwy i złotym milczeniem milczący. Kilka białych chmurek wybrało się w podróż po niebie i wyglądały tak, jak białe piany na niezmiernym morzu. Chciał o tym wszystkim powiedzieć Witalisowi, lecz nagle postanowił nie powiedzieć prawdy.

- Bóg mi to wybaczy - pomyślał i mówił: - Nie martw się, ojcze, że nie widzisz nieba. Zasnute jest chmurami i zwisa nisko. Nie widać ani jednej gwiazdy. Smutne jest dzisiaj niebo, a dzisiaj właśnie księżyc na nim być powinien.

Witalis uśmiechnął się dziwnie i rzekł:

- Księżyc jest na nim.

- Jest, ojcze, ale go nie widać, bo niebo jest czarne.

- O, dziecko drogie, niebo jest jasne i księżyc po nim wędruje wspaniały.

- Na Boga, ojcze, ty widzisz! - krzyknął Janek.

- Nie, synu, ja nie widzę, tylko ty nie umiesz kłamać. Dziecino dobra... Chciałeś mnie pocieszyć, wiem o tym. Ale głos twój jest niepewny i drży, kłamstwa choćby tak niewinnego nienawykły. Prawda tedy, że widać księżyc?

- Tak, ojcze... Przebacz mi...

- Co ci mam przebaczyć, czy to, że jesteś szlachetny? Powiedz mi, jak wygląda dzisiaj mój przyjaciel księżyc?

- Jest wielki i cały ze złota...

- Jest to dobry druh ziemi. Jest przedziwnie piękny i przedziwnie smutny, bo wygląda jak umarły. Uśmiecha się uśmiechem łagodnym i milczy. Pięknie to nazwał jeden wielki łaciński poeta: *amica silentia lunae*, co się wyklada: „przyjazne milczenie księżycy”.

- Patrz, patrz, ojcze, na te chmurki! - szepnął w zachwycie Janek.

- Jak rzekłeś? Teraz i ty zapomniałeś, że jestem ślepy - zaśmiał się Witalis. - Wiele razy będziemy jeszcze wspominać te oczy nadaremno.

Chłopiec aż pobladł na myśl, że tak nieopatrznie wspomniał o tych oczach nieszczęsnych. Witalis pogładził go po głowie i już milczeń.

Noc już była wielka, kiedy mędrzec usnął głęboko.

W powietrzu była srebrzysta poświata. Cisza nocy też się wydawała srebrna. Dokoła było wielkie milczenie, owo „przyjazne milczenie księżycy”. Czasem wielki ptak przeleciał w miesiącu, lecz ciszy nie zmącił puszystym lotem, jak duch nocy.

Janek nie mógł zasnąć, lecz leżał z otwartymi szeroko oczyma, rozmyślając o przenikliwej Witalisowej mądrości, co bez oczu widzi głąb serca. Nasłuchiwał jego spokojnego oddechu.

- Daj mu Boże - myślał - chociażby sny słoneczne.

W tej chwili cień ogromny padł na księżycową poświatę.

- Kto tu? - szepnął Janek zdławionym głosem.

Dziwna postać pochyliła się nad nim i położyła ostrzegawczo palec na ustach:

- Nie budź go... Nie mów nic... I chodź za mną! - rzekła postać cicho.

Chłopiec wstał i jak urzeczony szedł za nią.

Rozdział piąty

w którym odbywa się straszny targ, a kamienne olbrzymy wołają o litość dla człowieka

Czarno przybrana postać wiodła Janka między ruiny; chłopiec znał je dokładnie, w tej chwili jednak zdawało mu się, że nigdy tu nie był. Poznawał jakieś nowe przejścia i nieznanne schody. Księżyc oświetlał im drogę, za którą pokładły się nieruchome cienie zrębów i poszczerbionych głązów.

Postać nie obejrzała się ani razu, jak gdyby nieznajomy był pewny, że chłopiec pójdzie za nim bez lęku. Jakoż szedł, wiedziony tajemną mocą. Zapuscili się w ciemne krużganki, weszli wreszcie do sali jakiejś ogromnej, której Janek nie widział nigdy. Stał w jej środku stół stary, z czarnego uczyniony dębu, i siedziska z oparciem wysokim, ciężkie i wygodne. W jednej ścianie, w żelaznym pierścieniu osadzona, żywym ogniem buchała pochodnia, siejąc dokoła blask krwisty, coraz to przygasający i znowu gorętszy i szeroko rozlany. W tej poświacie jakby żywi wydawali się dwaj z kamienia wykuci giganci, co na ramionach osmalonych dawno zgasłymi ogniami, sękatych jak konary dębu, dźwigali spiczasty okap ogromnego komina. W czterech rogach sali stały cztery zbroje taki dające z siebie pozór, jak gdyby to czterej zadumani stali rycerze, w zbrojach swych na wieki przez jakieś zaklęcie zamknięci. Ile razy blask pochodni zamigotał na ich żelazach, zdawać by się mogło, że niedawno z bitewnego powrócili pola i jeszcze są umazani krwią.

Chłopiec patrzył w zdumieniu wielkim, nie rozumiejąc, jak się to stać mogło, że nigdy do tych nie dotarł lochów?

Czarny nieznajomy odwrócił się w tej chwili i wpatrzył się w niego wzrokiem przenikliwym i baczny. Janek ujrzał twarz nad podziw bladą, jak gdyby nigdy nie było w niej jednej kropli krwi; jeszcze bledsza się wydawała wobec włosów połyskliwe czarnych, co w pierścieniach się wijąc, spadały aż na ramiona obcego człowieka. Oczy jarzyły mu się, jak węgle, przenikliwe i nad wyraz roztropne; blask pochodni krwawej w nich zapalał iskierki. Wielka z tej twarzy biła powaga, jako i z całej postaci, przyobleczonej w strój cudzoziemski, czarny i bogaty. Biodra miał przepasane rzemieniem, z którego zwisała torba, jakiej używają podróżni, kryjąc w niej złoto i drogie kamienie. Bogaty sztylet z rubinem na głównej miał u boku, a na obuwiu srebrne sprzączki.

Nieznajomy patrzył jakby drapieżnym wzrokiem w jasne oczy chłopca, jak gdyby chciał przez nie zajrzeć mu w samą głąb serca. Wreszcie zelżało to spojrzenie, czarny pan drgnął i rzekł:

- Usiądźmy, bo wiele mamy do mówienia.

Chłopiec usiadł bez lęku, choć serce się w nim tłukło. Nie rzekł ani słowa, czekając, co mu powie ten człowiek żałobny. Ten zaś milczał długo, jak gdyby ważył coś w duszy. Patrzył już łagodniej, jak gdyby pożar w przepaści oczów zgasił. Wreszcie mówić począł:

- Przybyłem tu z daleka, część drogi odbywszy na wicherze, jak na ścigłym koniu, część na ogonie komety, co gwiazdy strącała po drodze. Mijałem ziemie rozległe, bezdenne morza i łańcuchy gór. Czy wiesz, dlaczego to uczyniłem?

Nie wiem, panie - odrzekł drżącym głosem Janek.

- Oto mnie doszła wieść na drugim końcu i świata, że w tych stronach umarły takie oczy, które liczyły gwiazdy i wpatrywały się w niezmierną czeluść nieba.

To były oczy ojca mojego...

Tak, wiem, to ten, co śpi w górnej komnacie.

- Skąd o tym dowiedzieliście się, szlachetny panie, w kraju tak dalekim?

- W kraju moim są też mędrcy, co wyczytali w gwiazdach, że jeden z ich braci, na szerokim świecie sławny, oczy postradał. Ujrzeli nocy jednej, że dwie gwiazdy, nazwane przez nich „Oczy Witalisa”, zagasty, a inne padały rżęsiście, jak gdyby w wielkim płaczu niebo goniło łzy. Czy mnie rozumiesz?

- Rozumiem, panie. Widziałem gwiazdy padające.

- Łacno tedy poznasz, że musiała się wielka dokonać sprawa, jeśli zdołała poruszyć niebo. Bezcenne musiały być oczy mędrca Witalisa. W samej rzeczy! Powiadali mi mędrcy z mojej ziemi, że gdyby te oczy żyły dłużej, Witalis byłby oznajmił ludziom niezbadaną tajemnicę niebieską i rozświetlił wśród mroków drogę, którą duch ludzki do źródła światła od wiek wieków podąża. Czy rozumiesz mnie?

Rozumiem, panie!

Dlatego o tym gadam, żebyś pojął, że to nie zwyczajny ślepiec śpi tam w tej chwili, lecz tytan oślepiiony, lecz mąż wspaniały, któremu odjęto jego moc.

- Wiem o tym, panie!

- Umysł masz ponad wiek bystry, boś się przy nim chował; dlatego nie jak z niedorostkiem rozprawiam, z tobą i dlatego powiem tobie wielką rzecz. Twój ojciec może odzyskać oczy!

- Jezus, Maria! - krzyknął Janek i drząc począł całym ciałem. Pobladnął tak, że aż usta miał białe. Oczyma wpił się w nieznajomego, po czym powoli, nie mogąc z gardła wydobyć głosu i kłając własne słowa do krwi, mówił.

- Jeżeli, panie, przyszliście się naigrawać z nieszczęścia, niech wam Bóg przebaczy, jeżeli jednak macie jaką nadzieję, niech was błogosławi.

A tamten na to z dziwnym uśmiechem:

- Widzę, że ci coś bardzo w sercu utkwiła ta nieszczęsna ślepotą. A cóż byś ty rzekł, gdyby prawdziwie można było powrócić oczy ojcu twojemu?

- Umarłbym ze szczęścia!

Nieznajomy wydał usta i rzekł sucho:

- Głupi ten, co umiera z rozpacz, a ten głupszy jeszcze, co to czyni od nadmiaru szczęścia. Mnie nie potrzeba słów, co wzruszają serce.

- A czego wam potrzeba, panie?

- Zaraz się dowiesz... Będziemy gadali, jak tacy dwaj, co poniechawszy pięknych słów, czynią handel.

- O, panie!

- Tak ma być. Powiedz swojemu sercu, żeby przywarowało jak pies i nie wydawało okrzyków. Ja nie wiem, co to jest serce, i nie chcę wiedzieć. Nie znam ani litości, ani Współczucia. Zmóż się więc i, zacisnąwszy usta, zważaj pilnie na to, co ci powiem, potem w bystrym rozumie rozważ i powiedz: tak lub nie! Nic jednak ponad to. Noc jest wielka i świtać będzie niedługo, a nie trzeba, aby ten tam obudził się i szukał ciebie nadaremno.

Pod ciężarem tych kamiennych słów Janek opuścił głowę na piersi i milczał przez chwilę. Potem rzekł głosem twardym, którego brzmieniu sam się zdziwił, nie przemawiał tak bowiem nigdy jeszcze.

- Mówcie, panie. Nie rzeknę już ani słowa ponad to, co muszę powiedzieć.

- Dobrze! - mruknął nieznajomy. Potem odpiął od rzemienia skórzaną torbę, otworzył ją starannie i wysypał jej zawartość na stół.

Janek, choć spokój sobie nakazał, zakrzyknął krótkim Okrzykiem, jaki wydaje dławiony ptak. Na czarny stół posypały się żywe, rozwartymi źrenicami patrzące ludzkie oczy.

Było ich może ze sto, a może więcej. Przerażliwy czyniły widok, który najodważniejszego mógł porazić śmiertelną trwogą; błysnęły krwawym odbłaskiem pochodni, jak gdyby z wielkiego gniewu krwią nabiegły, tłoczyły się i przewalały jedne przez drugie, wciąż patrząc okropnym spojrzeniem. Sto albo i więcej takich spojrzeń bystrych, dobrotliwych i drapieżnych wpiło się w chłopca, który drżał. Trwoga, istota dotąd mu nie znana, wyszła z mroku i stąpając bezszelestnie, chwyciła go za gardło. Rozmawiał twarzą w twarz z duchem, gadał z głosem, żyjącym w studni, znał wszystkie strachy nocy, widział lęk rodzące wszystkie mroczne lochy i nigdy nie zadrżał. Ten jednakże widok był ponad jego chłopięce siły. Nagłą też trwogą nappełnił go i ów człek nieznajomy, którego się dotąd nie lękał. Myśli, jak nietoperze szybkie, poczęły latać po Jankowej głowie.

- Kim jest ten człowiek? - pytał siebie w gorączce - czy to jest zbójca, morderca straszliwy, czarodziej on czy szatan? Skąd ma te oczy? Czy je wydarł umęczonym ludziom żywym, czy odjął

umarłym, co się bronić nie mogli? Oświeć mnie, Jezu Panie, oświeć mnie...

Słał zalękniony i wzroku nie mógł odjąć od tych oczów. Były wśród nich zbrojne spojrzeniem okrutnym, były inne żarłocznie patrzące, chciwe i zachłanne, były podobne jastrzębim, były też pomazane powagą, uczciwie patrzące albo też i takie, które miały w sobie smutek i tęskność. Więcej jednak było oczów złych, niż takich, co jasno patrzą.

Spojrzało nagle na niego oko o stalowej zimnej barwie wzrokiem złym i jakby wściekłym. Janek zadygotał i chwycił rękoma brzeg stołu, jak gdyby w ten sposób chciał się bronić przed ucieczką. Byłby już dawno uciekł z krzykiem, gdyby nie to, że z kłębowiska przewalającego się w nim strachu jedna wydobyła się myśl, że ta cała okropność ma jakiś związek tajemny z ośleplonymi oczyma jego ojca. Zmógł się więc krwawym wysiłkiem i stał blady i drżący.

- Boisz się? - zapytał drwiąco czarny nieznajomy.

Jak błyskawica rozświetliło się coś w chłopięcej głowie. Nie! jemu nie wolno się bać! Teraz rozumiał głos, który gadał do niego z dna studni. Wszystko przepadnie, jeśli go strach zwycięży. Był to, widać, głos przyjazny, głos tego, który wiedział, że stanie się kiedyś coś takiego, co zatrwoży duszę chłopca. Zdławił i w sobie przeto strach i nagłym ruchem strząsnął go z siebie, jak łachman niemiły; oczy mu zapłonęły i rzekł mocno:

- Nie boję się!

- A jednak drżałeś jak liść! - syknął tamten.

- Panie! - rzekł Janek - zdumienie to było przeraźliwe, co mnie chwyciło za gardło, a nie trwoga. Nie ma chyba człowieka na całej wielkiej ziemi, który by nie zadrżał, ujrzawszy takie dziwo okropne, jak te oczy żywe, z ludzkich głów wylupione.

- Cha! cha! cha! - zaśmiał się czarny człowiek. Śmiał się, a twarz mu nie drgnęła. - zrozumże teraz, jak potężną może być złuda. To nie są oczy żywe!

- Jakże to? - pytał Janek - przecie parzą i widzą.

Tak, lecz nie są żywe. Są one uczynione tak przedziwną sztuką, że dają pozór żywych. Jest taki jeden mistrz nad mistrze, z Persji dalekiej pochodzący, co te oczy urobił z materiałów różnych i drogocennych. Spójrz! oto to czarne i połyskliwe uczynione jest z agatu, to, co ma kolor morskiej wody, z bladego wyrzeźbione jest szmaragdu, nad podziw niebieskie z szafiru, tamto, co na nas zimnym patrzy spojrzeniem - z przezrystego lodu, inne z innych kamieni drogocennych, z diamentów i kryształów górskich.

- Więc są martwe?

- Otóż w tym jest sztuka najdziwniejsza, że te oczy widzą. Przekonaj się, chłopcze.

Wybrał spośród nich jedno rozumnie patrzące i rzekł:

- Ja stanę poza tobą, a ty oko to przyłóż do swej głowy. Zamknij oczy własne i zobacz, co się stanie.

Janek wzdrygnął się, kiedy dotknął zimnego, szeroko otwartego oka. Nie bał się jednak. Zamknął oczy, a owo straszne oko, w palcach trzymając je lekko, przyłożył do tyłu swojej głowy. Poczuł, że nowy strach idzie ku niemu, więc tylko zęby zacisnął i patrzył. Patrzył tym okiem diabelskim i - o Boże! - widział.

- Czy widzisz mnie? - doszedł go głos daleko za jego plecami.

- Widzę cię, panie!

- Mów, co ja robię.

- Zamknęliście teraz oczy...

- Tak, dobrze widzisz. A co teraz?

Kładziecie prawą rękę na sercu... Teraz wznosicie ją w górę... Teraz kładziecie ją na czole... Teraz stąpacie ku mnie...

- Wierzysz teraz?

- Wierzę, panie, ale to jest rzecz straszliwa.

- Nie przeczę ci. Od początku świata nikt takiej nie dokazał sztuki, jak ten, co te oczy wymyślił. Ani magowie chaldejscy, ani egipscy kapłani, ani najprzedniejsi czarownicy wszystkich czasów. Te oczy widzą i będą widziały wiecznie. Twardsze są od granitu, więc nie rozsypią się w proch. Przebijają najgęstsza ciemność nocy i mogą patrzeć wprost w słońce, a nie oślepną. Czy słyszysz mnie, chłopcze? Mogą patrzeć wprost w słońce, które oślepi każde oczy, co się na nie spojrzeć odważą. Więcej ci powiem! Są wśród nich takie przedziwne i takie cudowne, że widzieć mogą najdalsze gwiazdy i dotrzeć mogą promieniem spojrzenia w głąb niebieskich przestworzy, dokąd jeszcze nie dotarł wzrok człowieka.

- Mogą widzieć najdalsze gwiazdy... - powtarzał Janek jak oczarowany.

- I więcej jeszcze! Nic to, że, jak sam się przekonać mogłeś, można je umieścić na czole, a twarzy lub na tyle głowy; sztuką niepojętą tak są urządzone, że się w nich odbija widziane i zostaje tak długo, jak długo zechce ten, co je posiada. Spójrz w to oko, którym patrzyłeś na mnie przed chwilą. Co widzisz?

- Och - zakrzyknął Janek - widzę ciebie, panie, jak kładziesz rękę na sercu, potem ją wznosisz, potem kładziesz na czole, a teraz stąpasz.

- Dobrze, a teraz szepnij: „niechaj zgaśnie, niech się zmroczy, co widziały moje oczy!”

Janek wyszeptał te słowa.

- A co w nim teraz widzisz?

- Wszystko zniknęło, panie. To cud!

- To nie jest cud żaden, to taka przemyślność, jakiej nie widziano od początku świata.

Janek położył straszne oko obok innych i patrzył na czarnego człowieka dziwnym wzrokiem.

- Panie! - rzekł - czy macie takie oczy, które... które... by jemu... ojcu mojemu... dały światło.

Zawisnął spojrzeniem na ustach nieznanego, cały w spojrzenie zamieniony.

Tamten ważył coś w sobie długo, jak gdyby się wahał i jakby z własną gadał duszą. Potem, dobywając ze ściśniętego gardła słowa zimne, jak kawały lodu, mówił powoli i dobitnie:

- Mam dwoje oczu, jakich na świecie nie miał nikt i mieć nie będzie. Są z najczystszej uczynione diamentu. Sto siedem lat rzezał je mistrz nad mistrze. Oczyma tymi można sięgnąć tak daleko, jak daleko sięga myśl człowieka. Wszystkie teleskopy i lunety nie dojrzą tego przez lat tysiące, co mogą oczy te dojrzeć jednym spojrzeniem. Dziesięciu cesarzów i stu królów pragnęło mieć te oczy, lecz zbyt biedni byli, aby je kupić. Te oczy warte są całego świata!

Mówiąc to, rozgarnął ręką rzucone na stół oczy, jak dziecko kupkę rozgarnia kazałem, aby wybrać najpiękniejszy, i położył na rozpostartej dłoni dwoje oczu. Jaśniej się uczyniło w komnacie, blask pochodni przybladnął, a on je ważył, jakby dwa prześwietne okruchy słońca. Oczy te spjrzały na Janka spojrzeniem głębokim jak morze, mądrymi cudownie uśmiechniętym.

- On tak patrzy! - krzyknął Janek w zdumieniu.

- On tak patrzył kiedyś! - poprawił go Nieznajomy. - Ale i on nawet, ojciec twój, wielki mędrzec Witalis, nie miał takich oczów. Bo jego oczy umarły, a te będą żyły wiecznie.

Wszystka krew uciekła z chłopięcego serca. Szczęście niezmiernie objęło jego głowę, jak pożar. Zachwiał się i padł na kolana.

- Panie! Panie najjaśniejszy! - wołał rozogniony - daj mi te oczy! Och, daj mi te oczy!

Czarny nieznajomy patrzył na niego wzrokiem zimnym i szyderczym.

- Powiedziałem ci, chłopcze niemądry - rzekł - że nie starczyłoby skarbów całego świata, aby za nie zapłacić. A cóż możesz mi za nie dać ty, oberwańcze, ty znajdo na leśnej drodze, ty uczciwy żebraku?

Chłopak, dysząc ciężko, mówił:

- Dam ci za nie moje życie!

- Cha! cha! cha! - zaśmiał się czarny - a mnie na co twoje życie?

- Panie! - płakał Janek bez łez, lecz łąą było każde jego słowo - zabij mnie, a kości moje porozrzucaj po stepie... Wydrzyj mi moje oczy... Serce moje wydrzyj i rzuć ptakom drapieżnym... Uczyń, co chcesz... Tylko daj mi te oczy, daj mi te oczy!

- Cha! cha! cha! - śmiał się czarny jadowitym i szyderczym śmiechem. - Chcesz umrzeć? To łatwa sztuka, młodzieńcze! Choćbyś umarł sto razy i znowu się rodził po to, aby umrzeć, to i ta stokrotna śmierć na nic mi się nie przyda.

Janek objął jego nogi i całował jego obuwie. Wtedy go tamten nogą odrzucił i zakrzyknął:

- Precz od moich nóg!

W tej chwili groźny ryk napełnił komnatę a głos jakiś kamienny zadudnił:

- Przestań dręczyć chłopca, bo cię zabiję!

Nieznajomy spojrział bystro w stronę komina, który drżał w posadach. Jeden z kamiennych olbrzymów patrzył w niego oczodołami, a drugi, usiłując zrzucić z barków brzemie, natężył guzy potwornych mięśni i on to groził mu śmiercią.

- Przestań dręczyć chłopca! - ryczał.

- Bądź cicho, kamienny bałwanie! - krzyknął nieznajomy, potem w nieznanym języku dodał jakieś słowa, po których obaj giganci mruczając jak rozdrażnione niedźwiedzie znowu w sen zapadli.

Potem zwrócił się do chłopca:

- Budzisz kamienie, szczeniaku - rzekł - ale dość tego! Pochodnia się dopala... Czas wielki kończyć sprawę. Wstawaj!

Chłopak podniósł się blady i bezsilny, jakby z ciężkiej dźwigał się choroby.

- Słuchaj! Czy mnie słyszysz, czy duch z ciebie uszedł?

- Słucham cię, panie!

- Jękami i błaganiami nie osiągniesz niczego.

- Kamienie się ulitowały... - szepnął Janek.

- To prosz ich o oczy, tych kamiennych głupców!

- Ja ciebie błagam, panie!

- Żebak jesteś!

- Nie jestem żebrakiem, tylko bardzo nieszczęśliwym...

- Trwonisz słowa. Chcesz mieć te oczy?

- O Boże! - krzyknął Janek. - Dawałem za nie życie!

- A ja twojego życia nie chcę. Ale te oczy możesz kupić. Znowu drżysz. Bądź jak kamień, usłyszysz słowa kamienne. Dostaniesz te oczy, ale za drogie pieniądze. Nie za złoto, bo - nie masz. Śmierć swoją możesz ofiarować wilkom, bo mnie ona na nic. Mnie potrzeba ciebie!

- Pójdę z tobą, szlachetny cudzoziemcze, dokąd mi pójść rozkażesz.

Nieznajomy oblókł twarz w wielką, ciemną powagę. Można było mniemać, że głos jego drży, kiedy mówił:

- Dam ci te czarodziejskie oczy, a ty je dasz Witalisowi, który przejrzy... Znam taki sposób, aby wprawić mu te oczy, gdy będzie spał, w miejsce jego oczu umarłych. Będzie mniemał, że cud się dokonał, i od tej chwili będzie najszczęśliwszym na świecie.

Janek uśmiechnął się rzewnym uśmiechem i słuchał pilnie.

- A za to... ty stąd odejdiesz.

- Odejdę, panie mój!

- Na najdalsze krańce świata...

- Jeśli rozkażesz, pójdę dalej jeszcze!

- I nigdy już nie powrócisz.

Jankowi uczyniło się ciemno przed oczyma. W sercu poczuł przeszywający ból.

- I już nigdy nie powrócisz! - powtórzył głośno nieznajomy. - Czy słyszysz?

- Słyszę... Tak... już nigdy nie powrócę... Co jeszcze, panie?

- Te dopiero początek - rzekł czarny człowiek - to dopiero początek! Zaraz usłyszysz, co cię czeka. Oto zanim odejdiesz, wyrzekniesz się jego, ojca.

- Na Boga! nigdy! - krzyknął chłopiec z rozpaczą.

- Uprzedzam cię, że jeśli nie słowem nawet, lecz drgnieniem okażesz, że się wahasz lub trwożysz, zabiorę te oczy i nie ujrzysz mnie już nigdy, a ten starzec, który cię przygarnął, niech kona w wieczystym mroku. Możesz go ocalić i nie chcesz widać tego uczynić. Jeśli już początek cię trwoży, koniec cię zabije. Jakże więc? Wyrzekniesz się tego starca?

- Wyrzeknę się...

Uczynisz to tak, że go obudzisz i będziesz złorzeczył. Powiedz mu, że odchodzisz, bo się chcesz pracować dla ślepcy; że gardzisz jego nauką i że idziesz w świat, aby używać życia. Mówiąc to będziesz się śmiał obelżywie i będziesz się natrząsał z jego niedołęznej starości i z jego kalectwa.

- Jezu, och, Jezu! - szeptał chłopiec, w którym serce wiło się z bólu.

- Czy uczynisz to wszystko?

Chłopiec nie odpowiadał; czuł, że gdy teraz przemówi, to zamiast słów krew serdeczna rzuci mu się z ust. W oczach musiał mieć mękę tak straszną, że czarny człowiek nakrył na chwilę oczy powiekami.

Potem rzekł twardo i głucho:

- W takim razie niech będzie ślepy i nieszczęśliwy.

Chłopiec wyszeptał głosem podobnym do jęku:

- Uczynię to...

Obcy pan spojrział na niego przeciągłym wzrokiem, a Janek, chwytając oddech, pytał:

- Czy to już wszystko?

Nie! potem dopiero zaczniesz się twoja męka.

Mylisz się, panie - odrzekł chłopiec - nie będzie większej ponad tę, że będę naigrawał się z człowieka świętego. Reszta mnie nie przeraża.

- Twoją wola, co ci się lepszym wydacie to nie obchodzi. Słuchaj dalej. Kiedy porzucisz ojca, będziesz szedł prosto na zachód, wciąż nieustannie będziesz szedł na zachód. W drodze tej niejedną raz dusza w tobie omdleje. Straszna to jest droga, lecz czyn tak, abyś ją przeszedł. Gdybyś obie nogi postradał, to się czołgaj na rękach, gdybyś umierał, to jeszcze idź przed siebie.

- Będę szedł tak długo, aż zamrę.

- Mówiłem ci, że mi twoja śmierć na nic! Strzeż życia, bo ono będzie moje. Każdy twój czyn będzie mój i każda twoja myśl do mnie należy. Tak będziesz szedł rok i niedziel sześć. Gdybyś od dnia jutrzejszego licząc za rok i niedziel sześć nie stanął przede mną, zagasną te cudowne oczy i nie tylko to, lecz ojciec twój umrze w męczarniach.

- Rok i niedziel sześć... - szeptał Janek jak nieprzytomny.

- Kiedy dojdiesz do mnie, wymyślę zapłatę za te oczy. Sypiać będziesz na rozpalonym ruszcie, jeść będziesz padlinę, pić będziesz wodę stęchlą z bagna. Roboty będziesz spełniał najokropniejsze. Zarazony będziesz trądem, a ciało będzie ci odpadać od kości. Będziesz błagał o śmierć, a żyć będziesz w tym upodleniu i w tej męce tak długo, jak długo zechcesz, aby żył twój, przybrany ojciec.

Wszak to niewielka zapłata za cudowne te oczy. Uczciwie ci zapowiadam, co cię czeka... I nie tylko to; czekają cię rzeczy straszliwsze jeszcze, które ja wtedy obmyślę, kiedy ty będziesz wędrował ku tym mękom. Zastanów się tedy: oczy dla ojca, a dla ciebie przeraźliwa okropność, szczęście dla ojca, przekleństwo dla ciebie. Co wybierasz?

- Już wybrałem... oczy dla ojca!

- Zapominasz o szczęściu.

- Panie! kiedy ja odejdę, złorzecząc jego najdroższej głowie, on nigdy już nie będzie szczęśliwy - rzekł Janek śmiertelnie smutno.

- To mnie nie obchodzi! Więc wybrałeś... Czy nie masz mi nic więcej do powiedzenia?

- Nie śmiem - szepnął Janek.

- Okazałeś tyle mądrości, że chociaż mam serce z kamienia, wysłucham cię.

Chłopak spojrział na niego wzrokiem tak biednym i tak rzewnym, że choć oczy jego były suche, każde wyglądało jak jasna, przeczysta łza.

- Mów! - rzekł cudzoziemiec szorstko.

- Pójdę na męki i na cierpienia... upodlij mnie i pobij mnie trądem... Każ ze mną uczynić, co zechcesz, ale na jedno pozwól tylko... Uczyn tak, abym złorzeczył ślepcowi jeszcze. Daj mu światłość oczu wtedy dopiero, kiedy ja odejdę.

- Czemuż to?

- Kiedy będę (o Matko Najświętsza!) rzucał w niego przekleństwa i obelgi, niech mnie nie widzi, bo kiedy spojrzy swoimi oczyma, serce we mnie pęknie i padnę martwy. Cóż tobie po martwym? Sam to mówiłeś, panie... Daj mu oczy, kiedy mnie już nie będzie, o panie, o dobry panie!

Czarny człowiek zamyślił się i rzekł:

- Może to być! Nie zależy mi na tym, czy będziesz plugawił ślepca, czy widzącego! Dość! o więcej nie proś! Gotów jesteś?

- W imię Boże, gotów jestem!

- Dobrze! podpiszesz układ.

Sięgnął w zanadrze i rozwinął pergamin.

- Spisane jest tu wszystko, na co się zgodziłeś. Podpisz!

- Czym, panie?

- Po staremu, krwią!

Z pochwy dobył sztylet i zaciął chłopca w ramię. Chłopiec był tak blady, że dziwne było, jak mogło z jego ramienia trysnąć kilka kropel krwi.

- Umocz palec i pisz swoje imię! Wystarczy pierwsza litera i krzyż...

Chłopiec podpisał.

Wtedy cudzoziemski pan powiódł okiem po komnacie.

- Potrzeba mi świadków, abyś się nigdy wyprzeć nie mógł i nie zaprzeczył mi praw. Hej, rycerze! - zakrzyknął. - Czy możecie się zbliżyć?

Z czterech mrocznych kątów z brzękiem blach poczęły stapać ciężko cztery w zbroje zakute postaci. Janek nie okazał zdziwienia; już go nic zdumieć nie mogło. Widział, jak czterej rycerze, wsparci na długich mieczach, stanęli tuż przy nim w żelaznym milczeniu. Czarny człowiek skłonił się im, a oni pochylili połyskliwe, stalowe głowy patrzące przez mroczne otwory. On czytał następnie pergamin, a oni słuchali go uważnie. Po czym kończył:

- Gdyby kiedy tego zaszła potrzeba, świadczyć macie, że ten oto żywy człowiek sprzedał mi siebie z duszą i ciałem na wieki wieków. I że gdyby zawahał się, okazał lęk lub cofnąłby się, ojcu jego, Witalisowi, będą odjęte naprzód czarodziejskie oczy, a potem odjęte mu będzie życie. Świadczyć macie, że stanie się to, jeśli nie zjawi się przed moim obliczem za rok i niedziel sześć. Wtedy i on w męczarniach zemrze, i ojciec jego. Czy gotowi jesteście złożyć świadectwo?

Wielki, potworny głos zabręczał, jak gdy kto zatargał blachą:

- Jesteśmy gotowi!

- Czy przysięgacie?

- Przysięgamy!

- Na co przysięgacie?

- Na rycerską cześć!

- Amen! - rzekł czarny. - Idźcie na swój nieczysty sen.

Oni zwrócili się ciężko i szli powoli, brzęk wydając, w swoje mroczne kąty.

- Czas na nas, wielki czas! - rzekł tamten. - Mędrzec obudzi się niedługo. Daję ci godzinę czasu od wschodu słońca. Oczy brylantowe są twoje! Bierz je!

- Ty mu je dasz, panie.

- Dobrze!

Ukrył tę parę oczu starannie w zanadrzu, a spojrzawszy na sto innych, rozsypanych po stole, myślał przez chwilę, jakby zastanawiając się, co z nimi uczynić, po czym nagłym, wzdurczonym ruchem ręki zgarnął je i rzucił daleko od siebie. Potoczyły się po kamiennej podłodze, szklany wydając dźwięk, i patrzyły z mroku stu spojrzzeniami, w których była złość i nienawiść.

Już się miał ku wyjściu, wtem, jakby przypomniawszy coś sobie, rzekł:

- Chłopcze, teraz ja z kolei chcę się zapytać o jedno. Oczy czarodziejskie już do ciebie należą i ty możesz rozstrzygnąć o rzeczy jednej. Mogę sprawić wedle twojej woli, więc mi powiedz: czy te oczy, które dam ojcu twojemu, mają mieć w sobie łzy, czy też nigdy łza zmazać ich nie ma?

Janek zmarszczył czoło, silnie rozmyślając, i rzekł:

- Pragnę, aby ojciec mój nie płakał nigdy!

- Twoja wola. Ja ci jednak powiem, że najbardziej nieszczęśliwe oczy na świecie są te, które nie mogą spływać łzami. Serce, które wypłakać się nie może, kamienieje w bólu. Człowiek, który nie ma łaski łez, usycha z rozpacz. Ze łzami spływa cierpienie, a męka w nich się roztopia. Burza radości niezmierniej też płacze deszczem łez. Łza jest wielkim błogosławieństwem. Twoja wola. Sprawię, że oczów tych nigdy łzy nie obleją. Będą suche, jak ziemia spękana w upale. Twarde będą, jak diament, z którego są zrobione, i łza ich nie zmiękczy. Stanie się, jak żądasz. Chodźmy!

- Jeszcze chwilę... - szepnął Janek - dziwni jesteście, panie! Serce macie z kamienia, a mówicie, że lepiej by było, gdyby ojciec mój mógł płakać... Tak, tak... to ulży... O Boże!... jeśli tak jest, niech rozpacz jego spłynie we łzach. Słuchajcie, panie! Uczynicie, aby te oczy miały łaskę łez...

- Dobrze! Będzie płakał stary, człowiek. Twoja wola. Idźmy!

Rozdział szósty

w którym, wielu słów nie będzie można odczytać, bo wyglądają jak łyzy

Świt zakwitał na niebie jak bogaty ogród. Witalis spał jeszcze. Janek pochylił się nad nim i patrzył z bezmiarem miłości na tę szlachetną głowę, okoloną srebrem włosów. Czarny nieznajomy, oparłszy się o ścianę, czekał, skrzyżowawszy ręce na piersiach.

- Spiesz się - rzekł cicho - za godzinę musisz być daleko...

Chłopiec nie słyszał tych słów, pochylił się nad starcem i ucałował jego umarłe oczy; lekkim muśnięciem ręki gładził jego włosy, pięknie bacząc, aby go nie obudzić. Nie mógł oderwać rozkochanego spojrzenia od tego, który go wychował, ubogi swój chleb dzieląc na połowę, aby jego nakarmić; lecz nie tylko chlebem go karmił, lecz i sercem, które mu całe oddał, i słodką mądrością, którą tak był napełniony, jak ul miodem. Oto go teraz musi opuścić na zawsze, aby mu dać oczy. Musi go wyrzec się ohydnie, aby mu życie zapewnić. A on, ten starzec z duszą dziecka, nigdy nie dowie się, jak straszną Janek zapłacić musiał cenę. Nie przerażały go męki i życie w okropnej, nieznanej i niewoli, lecz przerażało go nade wszystko to, że ojciec jego najdobrotliwszy pomyśli, iż zmię na swoim wyhodował sercu.

Janek dygotał. Godzina jeszcze należała do niego, ostatnia godzina życia, to bowiem, co potem ma się zdarzyć, już nie będzie życiem. Myśli jego krążyły teraz jak stado szarych ptaków. Mógłby jeszcze obudzić starca, powiedzieć mu wszystko i ocalić swoją młodość i swoją wielką miłość. O Boże, Boże... Nie, nie uczyni tego! Witalis wolałby być ślepcem bez ratunku, niż wydać na męki to dziecko ukochane. Dlatego to pewnie czarny człowiek kazał mu zelżyć starca, aby rozerwać te dwa serca, splecione miłością i na śmierć sobie wierne.

- Przebacz mi, ojczulku drogi! - szeptał Janek. - Musisz mieć oczy, abyś dokończył swojego dzieła... Więcej ono znaczy, niż ja, sierota nieszczęsny... Oby ci tylko Pan Bóg we śnie powiedział, że to, co uczynię za chwilę, uczyniłem z musu... O, nie wierz, nie wierz mi, kiedy ci będę urągał... Kocham ciebie więcej niż życie i do ostatniego tchnienia kochać cię będę. Kiedy mnie będą katowali, wszystko ścierpię, bo to dla ciebie, ojczu mój. Kiedy będę umierał, zawołam twoje imię i umrę spokojnie... Bylebyś ty był szczęśliwy... Pomódl się za mnie czasem, czasem mnie wspomnij, jeśli serce w tobie nie skamienieje ze zgrozy, mniemając, że jestem jako Judasz Iskariota... Dopiero kiedy się w niebie spotkamy, powiem ci, że okropność tę spełniłem, aby cię ratować. Wtedy pojmiesz, wtedy zrozumiesz!

Starzec uśmiechnął się przez sen.

- Obyś się tak śmiał zawsze - szeptał Janek - kiedy mnie tu nie będzie. Oby twarz twoja nie stała się kamienna... Ojczu mój miłościwy, dobroczyńco mój, siwy gołębiu, jak dziecko bezbronny! Przysięgam ci na Chrystusowe rany, że gdziekolwiek będę, cokolwiek się stanie ze mną, zawsze będę pamiętał o tobie i będę cię wielbił. Szczęśliwy będę, wiedząc, że żyjesz i że widzisz swoje ukochane

gwiazdy!

- Czas! czas! - odezwał się ostry szept nieznajomego.

Jankowi wydało się, że poczuł jakby zimne pchnięcie noża. Osunął się powoli na kolana i całował ze czcią odkryte nogi starca. Łzy wielkie i tak przezyste jak diamenty spadły ciężko z jego oczów. Ostatnie łzy. Odtąd już mu nie będzie wolno nawet zapłakać. Odtąd musi być silnym, przeraźliwie silnym i musi sercu nakazać milczenie.

Wreszcie otarł łzy; powstał ciężko i rzekł cicho:

- Jestem gotów. Rozkazuj!

Tamten zbliżył się bez szelestu i położył mu rękę na ramieniu.

- Przestałeś dygotać... to dobrze... Nie cofniesz się?

- Nie!

- Masz odwagę?

- Tak... Powiedz, co mam czynić?

- Zerwiesz z niego tę płachtę, którą jest okryty. Przemówisz do niego głosem twardym i złym. Nazwiesz go oszustem i powiesz mu wiele słów obelżywych. Powiesz mu, że odchodzisz, bo nim gardzisz. Ja ci zresztą podszeptę, co masz mówić.

- Jezu! Jezu! - zakrzyknęło serce w chłopcu, ale on ustami nie rzekł nic, cały zamieniony w posąg.

- Potem wyjdiesz. Ślepy człowiek wybiegnie za tobą. Wtedy musisz mu powiedzieć coś, co go z nóg zwali.

- Może umrzeć. Serce w nim pęknie.

- Nie. Ja go zachowam przy życiu. Tak będzie. Omdleje tylko, a wtedy zamienię jego oczy. Trzeba, żebyś widział wszystko i miał dowód, że ślepiec przejrzę. Będziesz ukryty za załomem muru. Zrozumiałeś?

- Tak.

- Jeśli drgniesz, jeśli się zawahasz, jeśli osłabniesz, jeśli nie dokończysz, czar pryśnie, oczy zniszczą, a z niego ujdzie życie. Zapytuję cię po raz ostatni: Jesteś gotów?

- Jestem gotów!

- Zaczynaj!

Trwali przez chwilę w wielkiej ciszy. Słyszeć było tylko lekki oddech śpiącego i kwilenie zbudzonego ptaka za oknem w zaroślach. Chłopiec podniósł wzrok w górę, jak gdyby się modlił albo błagał Boga o przebaczenie. Błady był śmiertelnie, oczy jego gorzały. Po czym nagłym ruchem zerwał derę, którą Witalis był okryty, i nieswoim głosem, którego sam nie poznawał, krzyknął chrapliwie:

- Wstawaj! wstawaj natychmiast!

Mędrzec usiadł na posłaniu i, ślepe oczy skierowawszy w stronę, z której głos pochodził, zapytał:

- Czy to ty mówisz, synu? Co się stało? Czy już dzień?

- Tak, to ja! Ale dlaczego nazywasz mnie synem?

- A jak cię mam nazywać?

- Nie jestem twoim synem. Nie wyciągaj do mnie rąk, zły, okrutny starcze!

Witalis powstał i od razu się zachwiał.

- Na Boga! Kto to do mnie przemawia?

Przecie to być nie może, aby tak mówił do mnie Janek, syn mój najukochańszy...

- To ja mówię! Gardzę twoją miłością. I tobą gardzę!

- Powiedz mu, że nie jest mędrcom, tylko oszustem - usłyszał Janek szeptał.

- Za mędrca się podajesz, co zmienia postać ziemi, a jesteś oszustem. Kłamałeś przez całe swoje życie. Napełniasz mnie wstrętem i nie zniosę twojego widoku.

- Panno Najświętsza! - zakrzyknął Witalis - czy cię zmysły opuściły?

- Nie zmysły mnie opuściły, lecz ja ciebie opuszczę.

- Dlaczego, synu, dlaczego?

- Bo mi się tak podoba. Wolę patrzeć na największą ohydę, niż na twoją pomarszczoną twarz i twoje ślepe oczy. Wolę kamienie gryźć, niż twój chleb!

- Janku! - krzyknął Witalis z rozpaczą - czy byłem dla ciebie zły? Przecie ja bym tobie oddał moje serce!

Czarny nieznajomy pochylił się ku Jankowi ;i coś mu szepnął; wtedy chłopiec zawołał głosem nieludzkim:

- Mnie twego serca nie potrzeba, rzuć je psom na pożarcie!

Witalis jęknął okropnym jękiem i rękoma siwą objął głowę, jak gdyby ból ją chciał rozerwać. Potem rzekł, łzami mówiąc:

- Jeśli ci uczyniłem krzywdę, do nóg ci się rzucę i błagać będę o przebaczenie. Daruj mi, chłopcze jedyny! Dziecko moje ukochane! Gdzie jesteś, powiedz mi, gdzie jesteś, abym padł przed tobą na kolana.

- Nie zbliżaj się! - krzyknął chłopiec - bo cię odtrącę, jakbyś był trędowatym! Kłamiesz tymi łzami, stary oszuście. Odchodzę od ciebie, a ty tu giń i umieraj!

- Dziecko moje! - jęknął Witalis - jeśli chcesz odejść, odejdz. Weźmij tę resztkę chleba, która jest w skrzyni, i te dwa pieniążki, które tam leżą. Coś się w tobie straszliwego, stać musiało, więc odejdz... Ja chętnie umrę, byle tobie było dobrze... Tylko o to cię błagam, abyś nie odchodził w gniewie. Zostaw mi jedno słowo serdeczne, pozwól, że rękoma twarzy twojej dotknę.

Czarny pochylił, się znowu nad chłopcem, a ten krzyknął:

- Udław się swoim chlebem, bo mnie go nie potrzeba!

- Chryste Panie! - zawołał Witalis, idąc przed siebie.

- Precz ode mnie! - krzyknął Janek. - Odchodzę, a ty starcze żyj albo umieraj, wszystko mi jedno.

Odwrócił się i począł iść przed siebie, jak blade, upiorne widmo. Wyszedł za próg i chwycił się ręką za serce; byłby upadł, gdyby go krzyk przeraźliwy nie podciął, jak uderzenie bicia. To Witalis szedł za nim, wyciągnąwszy przed siebie ręce; wydał krzyk rozpaczliwy i wołał:

- Dziecko, dziecko moje! Poczekaj, niech cię pobłogosławię na drogę! Niech ci Bóg da wszystko najlepsze i niech serce twoje odmieni. Janku najdroższy! Jeśli ci źle będzie na świecie, wróć do mnie, a ja cię przytulę. Ostatnią okruszyną chleba z tobą się podzielę! Krwią cię własną napoję! Dziecko ty biedne i nieszczęśliwe. Chociaż mnie znieważasz, kocham cię i kochać nie przestanę. Wszak i ty mnie kochałeś...

Czarny człowiek przymknął do chłopca jak cień i coś mu szepnął.

- Ja... ciebie... nigdy... nie kochałem! - rzekł strasznym głosem.

- Aaa! - jęknął starzec i osunął się na ziemię.

Przetrwał obelgi, przetrwał zniewagi, ale tych słów, które biły w niego jak kamienie, udźwignąć nie mógł i zwałił się pod ich brzemieniem, nieszczęsny i bezsilny.

- Ukryj się! - zawołał czarny.

Janek zapadł za wyszczerbionym murem i patrzył obłąkanym wzrokiem przez szczelinę, jak cudzoziemiec poskoczył ku starcowi, szybko wydobył z torby czarodziejskie oczy i pochylił się nad omdlałym. Dotknął jego powiek i czynił rzecz jakąś tajemną, niewyraźnie, przynaglonym szeptem, dziwacznie wymawiając zaklęcia. Położył potem rękę na sercu starca, znowu coś wyrzekł i szybkim krokiem odszedłszy, stanął przy chłopcu.

- Zaraz się obudzi - rzekł.

Patrzyli pilnie, jak starzec, ciężko westchnąwszy, począł z trudem podnosić się z ziemi. Nagle znieruchomiał. Szybkim ruchem podniósł ręce ku oczom, przetarł je i wydawszy zduszony krzyk, podniósł się zupełnie. Rozejrzał się dokoła, nieludzko zdumiony.

- Widzi! - szepnął czarny pan.

- Dzięki Ci, Boże! - szepnął w duchu Janek i na chwilę wielki blask szczęścia padł na jego twarz; lecz jak chmura czarna i żarłoczna pożera słońce, tak mroczny cień rozpaczy starł z jego twarzy ten blask.

Ujrzał, jak Witalis wbiegł do komnaty, znowu się zjawił na dziedzińcu i okrążył go dokoła.

- Ciebie szuka! - zachichotał czarny.

Głos wielki przeleciał ponad ruiny.

- Janeczku, dziecko moje! Gdzie jesteś?

Dokoła była cisza.

Głos wołał znowu:

- Gdzie jesteś, synu ukochany! Ja widzę! ja widzę! ja widzę! O, wróć, wróć do mnie!

Janek patrzył jak urzeczony.

- Gdybyś teraz mu się ukazał, umarłby.

Nie zabiło go zmartwienie, ale radość zabiłaby go niechybnie.

- Odejźmy! - szepnął chłopiec.

- Poczekaj chwilę jeszcze. Patrz na moje dzieło.

Starzec, umęczony wołaniem i krążeniem wśród ruin, zwiesił głowę na piersi, usiadł na kamieniu i rzekł głośno:

- I cóż mi po tych oczach, kiedy ciebie tu nie ma!

Łzy ogromne wypłynęły z zaczarowanych oczu i biegle po zoranej, wychudłej, bladej twarzy. We wschodzącym słońcu lśniły jak wielkie brylanty.

- On płacze! - szepnął Janek.

- To mu ulży, a ty nie chciałeś, aby te oczy płakały. Spójrz na niego po raz ostatni... Dość już! Odwróć się... Teraz idź przed siebie. Na zachód, wciąż na zachód, aż dojdiesz do miasta, do którego trzy wiodą bramy. Przy jednej stróżuje pies z jedną głową, przy drugiej z dwiema głowami, a przy trzeciej taki, co ma trzy głowy. Po tym, poznasz, że jesteś u celu. Tam mnie znajdziesz. A teraz idź i nie odwracaj się. Precz!

Janek ostatnim spojrzeniem zapamiętał łzy swego ojca, skierował się ku zachodowi i począł schodzić stokiem wzgórza. Gdyby się śmiał odwrócić, byłby ujrział rzecz najdziwniejszą: czarny, okrutny człowiek, co mu sprzedał oczy za straszną cenę, stał długo w miejscu, patrząc za chłopcem rozrzewnionym wzrokiem. Potem szepnął sam do siebie:

- Och, wytrwaj, wytrwaj, chłopcze cudowny!

Ocknął się i zamyślony wracał ku ruinom.

Janek, raz spojrzawszy, w którą stronę wędruje słońce, szedł krokiem pewnym i szybkim. O tym jedynie pamiętał, aby ominąć ludzkie siedziby, u stóp wzgórza wtulone pomiędzy drzewa. Cóż by bowiem powiedział ludziom, znającym go od dzieciństwa i uwielbiającym Witalisa, gdyby go zapytali, dokąd zdąży i dlaczego odchodzi? Czy uwierzyliby w straszliwą opowieść o oczach, kupionych za nieludzką cenę? Nikt by mu nie uwierzył, a wtedy cisnęliby za nim kamieniem wzgardy, że zdradził najlepszego wśród ludzi. Może uwierzyliby jego łzom, lecz jemu nawet płakać nie było wolno. Nie miał dobroczyńnego prawa do łez, a uśmiech, który z jego młodzieńczej twarzy nie odlatał, spełznął z niej na zawsze już może w owej podziemnej sali, kiedy usłyszał, że ma ojca swojego podać na urągowisko. Przemknął się więc szybko przez zarośla, pilnie zważając, by nie spotkać człowieka. Podniecony zdarzeniami nocy i duszę mając starganą jakby przez wicher tym, co się później stało, nie czuł zmęczenia ani głodu. Pragnął tylko iść, iść i iść, jak najprędzej, jak najdalej. Cóż by bowiem uczynił, gdyby wiatr, jak ogar myszkujący wśród zarośli, przyniósł mu aż tu jakiś strzępek głosu tego najdroższego człowieka, ca tam został w ruinach, ze światłem w oczach i z mrokiem czarnym w głębi duszy? Może by osłabnął, może by się zawahał, może by drgnął z rozpacz i powrócił. Wiedział, że z nim razem przyszlaby śmierć. Więc dalej, naprzód, wciąż przed siebie w tę stronę, gdzie się pod wieczór słońce stoczy rozkrwawioną kulą!

Minął okolice znajome i wszedł w bezdrożną puszcę. Ogarnął go zielony mrok, szemrzący listowiem i gadający ptasimi głosami. Janek czuwał, by z oczów nie stracić słońca, nieomylnego przewodnika, co go też nieomylnie na męki i na sromotę zawiedzie.

- Rok i niedziel sześć! Rok i niedziel sześć! - powtarzał w duszy.

Dzień dzisiejszy, straszliwy dzień, wbijał sobie w pamięć jak gwóźdź. Och! nigdy go nie zapomni i nie pomyli się w rachubie. Witalis, cudowny Witalis wiele go nauczył. Nauczył go też i tego, jak obliczać czas dokładnie. Jak gdyby przewidywał, że ukochany jego syn będzie kiedyś

odbywał wędrówkę, dniem, idąc i nocą, nauczył go, jak się kierować gwiazdami. Nie wywróżył stary człowiek tego tylko, że to będzie śmiertelne wędrowanie...

Janek nie myślał o tym, co go oczekuje u końca drogi. Nie chciał o tym myśleć.

- Jeśli o tym będę rozmyślał - mówił sobie - opadnie mnie lęk. A jeśli lęk mnie chwyci, zgubiony będę i ja, i ojciec mój.

Postanowieniem silnym i upartym przeciął jak ostrym nożem wszystkie nici i wszystkie włókna serdeczne, które się za nim snuły.

- Zapomnieć! ja muszę o wszystkim zapomnieć... A o nim, o ojcu moim najukochańszym, muszę zapomnieć przede wszystkim, gdyż ile razy go wspomnę, serce się moje rozplacze. Więc nie mam już nikogo na świecie... Jestem sam i nawet do siebie nie należę... Tak, tak trzeba! Nikt nie został poza mną, i nikt na mnie nie czeka... Och, nie! Jest ktoś, co na mnie czeka: śmierć! Obym się jej nie uląkł, obym się tylko jej nie uląkł! Więc będę silny! Będę z kamienia. Naprzód, naprzód!

Czuł jednakże, że nogi pod nim omdlewają. Zdrow był i silny, lecz w przeciągu kilku godzin przeżył nieszczęścia tak przeraźliwe, że kiedy zaczęło mijać podniecenie, słabnął i słabnął coraz bardziej. Legł pod jakimś wykrotem i odpoczywał, starając się nie myśleć o niczym, aby myślą nie powracać wstecz, gdzie czyhało na niego wspomnienie, ani nie wybiegać nią przed siebie, gdzie się czaił lęk.

Słońce już się miało ku zachodowi, bo drzewa miały szczyty tylko ubielone światłem, a w głębi lasu mrok stawał się coraz głębszy i pachniał stęchlizną.

Janek przymknął oczy i ciężko dyszał. Już sen zaczął nad nim kołować krogulczym lotem, kiedy go nieoczekiwanie odpędził głos, napełniony grozą i wściekłością. Usłyszawszy go, chłopiec podniósł głowę, nie rozumiejąc, skąd ten głos pochodzi. Nie mógł jednakże pojąć: głos ten przemawiał równocześnie ze wszystkich stron i z dołu, i z góry, jak gdyby cała puszcza przemówiła. Był to ryk, jaki wydaje burza albo las cierpiący pod smaganiem nawałnicy.

Głos drżał gniewem i walił się ze wszech stron:

- Człowieku, który leżysz pod drzewem!

Wstań natychmiast i odejdź precz!

Chłopiec otworzył szeroko oczy, zrozumiałwszy, że las do niego gada.

Nie zatrwożył się, lecz smutno zapytał:

- Kto i czemu mnie wypędza?

- Wypędza cię ten, co jest czysty i bezgrzeszny!

- Kto jest ten, co jest czysty i bezgrzeszny?

- Las i ziemia, i woda.

- Za co? za co?

- Za to, że zdradziłeś serce, które cię kochało. Wiatr widział, jak kamienowałeś słowami człowieka, że się zwał jak dąb. Wiatr nam powiedział!

- O, lesie! - zawołał chłopiec. - Uczyniłem, co uczyniłem, a Bóg mnie osądzi. A ty pozwól spocząć...

- Odejdź, bo cię każe kasać zmijom.

Chłopiec pochylił głowę na piersi i milczał przez chwilę. Potem powstawszy zakrzyknął:

- Czy ty, który mówisz, widzisz moje serce?

- Ty nie masz serca! - zwał się zewsząd taki głos jak lawina.

- A przecież nawet zwierz dziki ma tutaj schronienie!

- Ty jesteś gorszy, niż dziki zwierz! - ryknął głos taki, że się czuby drzew zachwiały, jakby targnięto wichrem. - Precz! precz! precz! Las ci nie da schronienia, ziemia ciebie nie nakarmi, źródło ciebie nie napoi. Odejdź stąd, odejdź stąd!

Chłopiec nie mówił już nic.

Spojrzał na niebo przez gęstwinę liści i poszedł za słonecznym swoim przewodnikiem. Nie skarżył się. Nie płakał. Zaciął usta i cierpiał w milczeniu. Jakże wytłumaczy temu groźnemu duchowi lasu sprawę zawiłą i tajemną? Musi to jednak uczynić, bo jeśli las pomstę na nim wzięć zechce, to go głodem i pragnieniem na śmierć zadręczy. Zatrute mu nagnie owoce, a źródłom każe ujść pod ziemię.

- Muszę zachować spokój, bo mi nie wolno umrzeć! - mówił w duszy. - Gdybym zapłonął gniewem, zabije mnie... Gdybym się opierał, zadręczy mnie... Spokoju! spokoju! spokoju!

Szedł i szedł, lecz takim krokiem, jak gdyby na plecach wielki dźwigał ciężar.

Na zachodniej stronie wybuchnęły na niebie pożary, a żywa krew purpurowa lała się z chmur ogromną rzeką. Słońce, jak kula rozżarzona, zapadało w czerwone morze. Zdawało się, że świat cały brodzi we krwi; że się na zachodniej stronie wielka odbyła bitwa dnia z nocą i że to słońce, w samą najjaśniejszą pierś ranne, broczy krwią, zanim zemrze na czarnym posłaniu, gwiazdami wyszywanym.

Janek szedł prosto na to pobojuwisko. Dobył się z leśnej głębi i wstąpił na jakąś drożynę, wiodącą przez rozległe chaszczce, wśród których musiała czaić się noc, bo teraz z nagłą się podniosła i zalała wszystko dokoła jak powódź. Z odmętu rozlanego mroku, jak z ciemnej wody podczas zalewu, sterczały jedynie drzewa wysokie, widne na jaśniejszym tle nieba. Rosa padała gęsta, chłodząc parność powietrza. Z rzeźwością nocy przybyło Jankowi nieco sił. Na spieczonych wargach poczuł chłód i wilgoć. Nie ustawał w pochodzie, mówiąc sobie twardo w duszy:

- Będę tak szedł i szedł, aż padnę.

Oczy miał bystre i ciął spojrzeniami ciemność, w której nagle dojrzał dwa ruchome, zielone światła. Posuwały się one po prawej stronie nisko przy ziemi, gasły i znowu zieleńły się w niewielkim oddaleniu, jak gdyby wprost w jego kierując się stronę.

- Wilk! - pomyślał chłopiec.

Spojrzał w lewo i ujrzał takie same zielone, jadowitą zielenią lśniące się płomyki.

- Drugi! - szepnął.

Obejrzał się i ujrzał trzecie i piąte, i dziesiąte. Płonęły, jak świece, aby mu oświetlić drogę na śmierć.

Chłopiec przystanął i one przystanęły, wlepione w niego nieruchomie. Ruszył i one ruszył.

- Pilnują mnie! - pomyślał.

Idąc, usiłował świetnym słuchem uławić jakikolwiek szmer, lecz nic nie usłyszał, wilki bowiem chodzą, jak duchy. Dziwił się więc, że go nie napadają, będąc w wielkiej gromadzie. Nie bał się, bo strach daleko poza nim pozostał, zresztą nigdy nie lękał się zwierza.

Znowu przystanął i rozejrzał się dokoła. Mnogie zielone oczy też przystanęły i migotały, jak dalekie gwiazdy.

Chłopiec przysiadł na zwałonym pniu, rozważając, co ma uczynić.

- Jeśli pójdę - rozmyślał - one pójda za mną i zagnają mnie na śmierć. Jeśli zostanę... Nie dokończył, bo powietrze zadrżało od rozpaczliwego wycia. Jak gdyby to był głos komendy, zaraz rozległo się drugie i trzecie, i dziesiąte, aż się wszystkie w piekielnym złączyły chórze. Mężne serce miał chłopiec, lecz poczuł w nim lodowaty chłód śmierci. W tym dzikim głosie był jakby niezmierny płacz i narzekanie, z głębi trzewiów dobyte, przeciągłe, straszliwie smutne, a groźne i dzikie zarazem. Samą ziemią, słuchającą wśród nocnej ciszy, musiał wstrząsnąć dreszcz trwogi, kiedy ten głos potępieńczy, jakby targający się w niewysłowionym bólu, wspinać się począł ku górze, ku wielkiej, ciemnej nocy. Zdawało się, że krew musi zalewać te wyjące gardziele, że nabrzmiały cierpieniem, że usiłują wyrzucić z siebie głos, co je drze pazurem i cierniami je orze. Jak gdyby piekło wysłało swoje chóry diabelskie, aby ziemię porazić mrocznym lękiem; jak gdyby noc rozpętała wszystkie nieczyste moce, co zmiłowania błagają - tak się niosło to wycie opętane, tuż przy ziemi z wielu tryskając miejsc, lecz ponad ziemią związane w jeden głos niewysłowiony, zwięzający się i cieniejący gdzieś w górze i w niebo godzący już jak gdyby ostrzem noża. Głos ten, z trwogi i rozpaczony narodził, siał na ziemię nowy lęk i nową rozpacz. Było w nim coś tak okropnego, że chłopiec, choćby chciał, ruszyć się nie mógł. A czuł, że gdyby się poruszył, poszedłby wprost na te głosy jak urzeczony i razem z nimi zacząłby wyc... Natężył więc wszystką moc, wolę w sobie zgarnął i ścisnął, całą w sobie ludzką naprężył istotę, aby odegnać straszliwy, śmiertelny czar tych głosów.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, krzyknął przeraźliwie.

A jak czasem wicher, potężnie wyjący, nagle o ziem uderzy, a boleść głos mu odejmie; jak olbrzym, wściekle ryczący, z nagła ugodzony śmiertelnie, urwie krzyk w połowie - tak owo wilcze urwało się wycie. Przez niedługą chwilę echo niosło głos zamierający, wnet jednak cisza zaległa chaszczę.

Chłopcu aż zadzwoniło w uszach.

Zielone światełka zamigotały żywiej i zbliżyły się ku niemu ruchomym kręgiem.

- Hej, wilcy! - krzyczał chłopiec - stać tam i milczeć! Teraz mówi człowiek!

Przypełznął ku niemu bulgocący, zdławiony, jakby posoką oblany skowyt, zły i gniewny.

- Hej, wilcy! Czy jest wśród was taki, co rozumie ludzką mowę? Jeśli jest, niech się zbliży!

Z zielonego kręgu wysunęły się dwa światełka i szły ku niemu.

Janek wpił się w nie spojrzaniem, uczyniwszy wprzód ręką ruch taki, jakby chciał rozgarnąć ciemność, jak wodę, i dojrzeć kudłate widmo, co stało tuż przed nim nieruchomo, ze zjeżonym grzbietem.

- Czego chcesz? - warknął wilk.

- Czy na mnie polujecie? - pytał Janek głosem jasnym i mocnym.

- Dowiesz się w czas!

- Tedy ci mówię: odejdźcie, wilcy! Nie uczyniłem krzywdy ani wam, ani nikomu.

Wilk warknął:

- Skrzywdziłeś człowieka, którego wilk nie ukrzywdziłby najsroższy. Zginiesz!

- Dobrze, zginę i przysięgam, że się bronić nie będę. Lecz cię zaklinam...

- Zamilcz, na nic mi twoje zaklęcie!

- Zaklinam cię na rzymską wilczycę, twoją pramatkę!

Wilk zawył głucho i krótko.

- Zaklinam cię na żelaznego wilka, co się śnił Giedyminowi, twojego praojca!

- Mów! Strasznie mnie zagadnąłeś! - warknął wilk.

- Odpowiedz mi: skąd wiesz, że skrzywdziłem starca, ojca mego?

- Wiatr opowiedział lasowi, las powiedział nam, my oznajmiłszy to wszystkim ziemi.

- Mówię ci, wilku: nieprawdę mówił wiatr, las mówił nieprawdę i wy oznajmiście nieprawdę wszystkim ziemi. To, co się stało, stać się musiało. A ja przysięgam, że co uczyniłem, uczyniłem dla dobra starego człowieka. Innej nie miałem rady.

Wilk wydał z gardła głos bulgocący i rzekł:

- Prawda jest w twoim głosie, lecz nie wiem, czy prawda jest w twoim sercu. Lecz że wiesz o dostojnej matce wszystkich wilków i że wiesz o żelaznym naszym ojcu, chcę ujrzeć prawdę w twoich oczach. Czy masz odwagę spojrzeć mi w oczy?

Janek zawahał się przez krótką chwilę, lecz natychmiast ruszył przeciwko wilkowi. Zbliżył twarz do jego głowy tak blisko, że czuł jego gorący oddech. Wilk utopił zielone spojrzenie w jego oczach, jakby mu chciał zajrzeć w głąb duszy. Wreszcie opuścił głowę, zagasił oczy i rzekł:

- Wolny jesteś!

Janek bez trwogi położył mu rękę na siwym łbie.

- Jak dowiedziałeś się o tym, że mówiłem prawdę?

- Tego nie dowiesz się nigdy! Teraz idź spokojnie... Oznajmię wszystkim ziemi, że jesteś sprawiedliwy... Teraz idź!

- Opadłem z sił; nie uczynię kroku. Pozwól mi zostać!

- Twoja wola... Ja ci jednak powiadam: idź przed siebie kroków niewiele... A kiedy ujrzysz dwie brzozy, tam spocznij... Znajdziesz tam wzgórze niewielkie, na którym rośnie dzika róża. Jest to miejsce takie, na którym odpoczniesz tak, jak nie odpoczywałeś nigdy...

- Pójdę! - rzekł Janek.

Nie było przy nim nikogo.

Zimny wiatr gonił po mrocznym niebie chmury, jakby chciał uczynić drogę na przyjście słońca. Liście drżały cichutko i lękliwie.

Chłopiec szedł, szukając dwóch brzozy w szarzyźnie mroku. Ujrzał je wreszcie po prawej stronie dzikiej dróżki, którą dawno nikt nie chodził, bo napadła na nią czereda niepoliczona chwastów i ostów.

- Wszystko mi jedno, gdzie spocznę - mówił - bo mi już nikt nie zagrozi śmiercią.

Zszedł z drogi i ujrzał małe wzniesienie, strojne różą dziką, osypaną kwieciami. Mrok rzedniał, a powietrze uczyniło się jak zgrzebne, szeroko tkane płótno, przez które przecieka daleka, mętna jeszcze jasność. Niebo wyglądało, jak staw nieogarniony, zarosły rzeszą, co pochłonał gwiazdy.

Ziemia, którą noc zasnęła smętkiem, już oddychała nadzieją słonecznej radości, lecz ją dopiero ptaki miały oznajmić po porannej modlitwie. Jeszcze drzewa wyglądały jak widma wyniosłe, a krzaki jak gromada niepoliczona brodatych karłów, niezgrabnych i niekształtnych.

Janek stanął między brzożami i rzekł półgłosem:

- Na tym kopczyku oprę głowę.

Legł na rośnej ziemi, a głowę ułożył na małym wzniesieniu.

Wielkie znużenie zaczęło z niego spływać, powoli, powoli. Dusza wzburzona cichła, tak jak woda wichrem zmacona. Spłynęła na niego błogość i kojący spokój.

- O, jak mi dobrze, o, jak mi dobrze! - szepnął cichutko.

Sen dobry zamknął mu łagodnie oczy, a brzozy nie zaszemrały nawet, aby go nie obudzić. Tylko tak cichutko, że tylko serce dziecięce usłyszało, ozwało się spod ziemi tchnienie głosu:

- Dziecino moja, śpisz na sercu matczynym... Tu leży matka twoja... Szczęśliwa matka, która ma takiego syna... Och, śpij, biedactwo moje jedyne... Odpocznij, odpocznij, boś znużony bardzo... A kiedy pójdiesz, ja pójdę z tobą, tak jak zawsze byłam z tobą... Spij, śpij, słodko śpij!...

Janek uśmiechnął się przez sen, po raz pierwszy od wielu godzin.

A ptaki zaczęły śpiewać cichutko, cichuteńko...

Rozdział siódmy

w którym musimy się uśmiechnąć, bo zbyt wiele było z nami smutku

Kiedy słońce złotym i gorącym swoim krzykiem obudziło chłopca, podniósł się wypoczęty, silny i jakiś radośniejszy, tylko przeraźliwie głodny. Spłynął na niego dobrotliwy spokój, a zgryzota, którą z sobą dźwigał, stała się lżejsza. Coś mu się majaczyło, jak gdyby przez sen słyszał jakieś głosy, lecz nie mógł sobie przypomnieć, co do niego mówiły? Tkliwie jednak spojrzął na dwie smutne brzozy, na krzak dzikiej róży i na to wzgórze malutkie, podobne do grobu. Przyszło mu to na myśl, kiedy nie mógł od niego oderwać oczu.

- Jeśli to czyjś grób samotny - pomyślał - to niech w spokoju śpi ten, co zasnął w cieniu dzikiej róży. Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie, a kwiaty wiekuiście niech ponad nim się kwieją.

Pożegnał to miejsce smutnym uśmiechem i poszedł na poszukiwanie pożywienia.

Nikt go już nie gonił, a las, jak gdyby wczorajszą pragnąc nagrodzić mu krzywdę, nachylał ku niemu Jagody dojrzałe i soczyste. Źródło zaszemrało kryształowym szmerem, a kukulka, jak zegar, wybijała mu godziny.

- Wielki czas w drogę! - rzekł chłopiec.

Z gałęzi uczynił sobie kij i jak pielgrzym, co do Jeruzalem wędruje, iść począł upartym krokiem w zachodnią stronę. Leśna droga uszła nagle gdzieś w puszczy, jak rzeka wpada do zielonego morza, a jego wiodło słońce bezdrożem i pustką, przez okolice dzikie i niezamieszkałe. Groza tych miejsc spała teraz, zwarzona upałem, noc jednak musiała wydawać się straszna na tym bezludziu, gdzie czasem jedynie skała, osmagana przez deszcze i wichry, rzeźbiona piorunem i burzą, czyniła pozór ludzkiego kształtu. Ptaki omijały to pustkowie. Może gdzieś w komyszach i jarach spał dziki zwierz, co dopiero nocą wyjdzie mordować. Zły to jakiś był kraj, jadowita jakaś ziemia, rodząca tylko kamienie, piołuny i osty. Wisiała nad nią wielka, śmiertelna cisza, do białości rozżarzona w słonecznej spiece.

Chłopiec przyspieszył kroku, aby przebyć to cmentarzysko, którego kresu dojrzeć nie było można. Szukając miejsc, w których spał leniwy cień, Janek przemyczał się wśród skał baczny i czujny. Skały, z rzadka dotąd rozsiane, tłok czyniły teraz coraz większy i skupiały się w coraz to liczniejszej gromadzie. Wreszcie wszedł w gardziel kamienną, żarłocznie najeżoną zębiskami i spiczastymi kłami skał. Po obu stronach wyrosły dwie oślizgłe, od mchów zielone skalne ściany, a wśród nich wiódł przesmyk z nagłą pociemniały, wiodący w dół.

Janek przystanął, nieufnie spoglądając przed siebie.

- Zła to jest droga - pomyślał. - Jeśli napotkam jakąś przed sobą zdradę, nie będę się mógł poruszyć. Trzeba mi wrócić i pójść wierzchem tych zrębów.

Zaledwie uczynił krok w tył, łomot przeraźliwy targnął ciszą i wierzch ogromnej skały, mocą niewidzialną strącony, z hukiem wpadł w gardziel przejścia, zamykając je doszczętnie. Chłopiec spojrzał zadumanym

spojrzeniem.

- Powrót mam odcięty - rzekł. - Tylko przede mną droga jest wolna. Trzeba iść, którądy iść można...

Szedł przed siebie, czując, że droga się pochyła. Gdzieś wysoko płonął żywym ogniem upał, tu zaś było zimno i mroczno. Byстрыm, jastrzębim spojrzeniem usiłował dojrzeć, co się dzieje w oddali, lecz nie mógł dojrzeć niczego.

Droga wiła się wśród skał, tak jak czasem smutna i mroczna wije się opowieść o nieszczęśliwym człowieku.

- Do jakiegoś celu jednak ta droga prowadzi! - myślał Janek.

Za jednym zakrętem ujrzał, że skały nagle się rozstępują, a u ich podnóża czołga się leniwa rzeka, czarnymi jak smoła płynąca wodami. Do drugiego brzegu było niedaleko, a za nim znowu położył się kraj płaski, daleki i pusty, nad którym ku zachodowi toczyło się słońce.

Kiedy Janek rozejrzał się, szukając mostu, kładki lub brodu, spostrzegł, że w niewielkiej oddali siedzi nad brzegiem rzeki, jakby stróżując, jakaś postać. Uradował się, że nie jest sam w tej czarnej głuszy, zakrzyknął więc głośno:

- Hej tam! dobry człowieku!

Postać, dzierżąc w uścisku halabardę, z głową pochyloną na piersi, nie poruszyła, się, widać pogrążona we śnie.

- Może to tylko kamień? - pomyślał Janek.

Poszedł ku temu kształtowi i, spojrzawszy ciekawie, krzyknął tak, że gdyby to był nawet kamień, to też by się zerwał na równe nogi. Stało się to tym łatwiej, że osoba, zbrojna bardzo groźną halabardą, była czymś żywym, co przypominało człowieka. Jak gdyby go źmija dźgnęła, porwał się ten ktoś i skoczył na trzy łokcie w górę, co mogło być albo oznaką przeraźliwego zdumienia, albo strachu. Przedziwna to była figura; człowiek i nie człowiek, bo miał kształty ludzkie, lecz z wielką ilością zbytecznych dodatków w postaci długich, kosmatych uszów i koźlich kopyt w tym miejscu, w którym człowiek zwykle miewa pięciopalczaste nogi. Figura ta była niepomiernie tłusta, tak że gołym okiem i naprędce nie można było zauważyć zbytniej różnicy w jej wymiarach na wysokość i na szerokość. Gdyby beczkę sadła ustawić na dwóch kabłąkowatych nogach, a w rękę mocno kosmatą wrazić halabardę, taki sam sprawiałaby ucieszny widok. Dziwaczne to monstrum miało oczy wylupiające, jak gdyby za wszelką cenę pragnęły wyrwać się z tej głowy, która, sądząc z miny - nie była siedliskiem mądrości; mimo srogich min, kosmatych uszów i koźlich nóg, mimo halabardy wreszcie, nie było w tej nalanej sadłem figurze zbytniej grozy. Gęba tego drapichrusta wyglądała

pocziwie, choć zgrzytał zębami i, nastawiwszy swoje krwiożercze narzędzie, zakrzyknął:

- Werdo!

- Całuj psa w nos! - odrzekł mu Janek, patrząc na niego z obelżywym uśmiechem.

- Werdo! werdo! - wrzeszczało sadło, zbrojne halabardą.

Wojownik wyglądał wprawdzie pocziwie, lecz jego mordercze narzędzie, niewiele od swojego pana mądrzejsze, mogło jednak rozplatać ludzki brzuch, aby się dowiedzieć, co zawiera? Toteż Janek, choć zawsze lubił figle, miał się na bacności. Niezbyt by to było dowcipnie, aby, uszedłszy srogim wilkom, zginąć od głupiej halabardy, która, przejęta wrzeszczącą wściekłością swego pana, usiłowała szybkim i zwinnym ruchem dźgnąć Janka w sam środek brzucha. Chłopiec uskoczył, chwycił mordercze narzędzie za drzewce i wyrwał je z rąk nieszczęsnego wojownika.

- Teraz ty, monstrum piekielne, odpowiadaj: werdo! - zawołał wesoło.

Tamten otworzył gębę z nadmiernego podziwu, a oczy całkiem wylazły mu na wierzch. Usiłował przemówić, lecz zdumienie jego było tak wielkie, że trzeba było dłuższego czasu, aby tę miłą, wesołą gębę najpierw zamknąć, a potem otworzyć do gadania.

- Gadaj! - krzyknął Janek - bo zobaczę, jak wygląda twój żołądek.

Nalana sadłem gęba wypuściła ze swojej czeluści potężne westchnienie, które też wydawało się tłuste, zamknęła się nagle, jakby kto zatrzasnął drzwi na skrzypiących zawiasach, po czym znów się otworzyła, ale w znośnej mierze, by móc z siebie wydać zastrachane słowo.

- Słuchaj - mówił Janek - jeśli ci głos i uciekł do brzucha, to ja go tym szpikulcem wydobędę i tak cię wypatroszę jak barana albo raczej jak kozę, bo więcej do kozy jesteś podobny. Będiesz ty gadał, czy nie?

- Będę... - rzekła figura głosem z galarety, bo chociaż Jedno z siebie tylko wydała słowo, było ono roztrzęsione i drżące.

- Nie bójże się, małpi królu! - rzekł Janek łagodnie. - Ładny z ciebie wojownik! Kto ty jesteś?

- Stra...strażnik!

- Dobry strażnik! - zaśmiał się chłopiec - a czego ty strzeżesz?

- Wejścia do piekła...

- Ejże! A gdzie jest to wejście?

- Ta czarna rzeka wpada do piekła...

- A nie łżesz ty?

- Nie łąę...

- A czemu nie łąesz?

- Bo się boję... Gdybym się nie bał, to bym ci nigdy tego nie powiedział...

- Patrzcie, patrzcie! Otóż dowiedz się, luby małpoludzie, że ja wszystko wiem i dlatego tylko ciebie pytam, aby się przekonać, czy mówisz prawdę. Jeśli choć jedno słowo skłamiesz, rozplątam cię jak rybę i za twoje koźle nogi powieszę cię na gałęzi.

- O ja nieszczęsny! - ryknął tamten.

- Aha! i wylupiaste oczy wydrę ci z głowy, a uszy obetnę, zasuszę i będę nosił na sznurku.

Tłusta figura drżała jak w febrze i patrzyła w Janka, jakby każdej z tych zapowiedzianych tortur chciała przyjrzeć się z osobna.

- Gadaj teraz dalej! Czegoś tu pilnował?

- Ciebie!

- Mnie? - zdumiał się chłopiec. - A cóż ty o mnie wiedziałaś, o wylupiastooki?

- Przebacz mi! Ja nie wiedziałem, ale inni wiedzieli...

- Jacy inni?

- Moźni panowie. Straszliwie moźni panowie. Kazali mi tu stać i czuwać, abyś nie przepłynął przez rzekę.

- Dziwne, dziwne! - rzekł Janek sam do siebie. - Czy miałeś mnie zabić?

- Nie! miałem ci tylko przeszkodzić w drodze.

- Aleś nie przeszkodził!

- Bom zasnął. Objadłem się i sen mnie zmorzył. Gdybym nie spał i gdybym miał halabardę, to byś był w mojej mocy.

- Przecież ją miałeś!

- Tak, ale zbudziłeś mnie zbyt nagle i coś mi się ze strachu w głowie popsuło.

- A mnie się zdaje, że ty w ogóle jesteś pomyłony.

- Ja jestem lew! - ryknęła figura.

- Więcej ty jesteś koza, niż lew.

- Koza też, ale i lew też!

Janek nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Patrzył na ten polec słoniny przyjaźnie i bez gniewu. Zbyt śmieszna to była figura i wcale niegroźna.

- Czy ty jesteś diabeł? - zapytał.

- Jeszcze nie.

- Jak to, jeszcze nie?

- Bo ja jestem dopiero diabelski praktykant. Tysiąc lat muszę i być w terminie i dopiero, kiedy mi ogon wyrośnie, zostanę diabłem. Muszę się bardzo zasłużyć i czymś odznaczyć.

- Dzisiaj właśnie byłeś bohaterem!

Diabelski praktykant jęknął całym brzuchem bardzo boleśnie.

- To mi może złamać karierę! - zakrzyknął. - O ja nieszczęśliwy!

- Ty jesteś głupkowaty, a nie nieszczęśliwy. Stare diabły powinny ci złoić skórę i wytopić z ciebie na piekielnym ruszcie beczkę tłuszczu.

- Och, nie mów tego! -nie mów tego!

- Czy wszyscy diablówie są tacy głupkowaci? - Nie, nie wszyscy. Są między nimi i bardzo mądrzy. - I to oni kazali ci mnie napastować? - Tak, oni. Ale gdybym nie był taki obżarty... - Jest tu gdzie co do zjedzenia? - zapytał Janek żywo. - Jest ogromne mnóstwo! - ryknął diabelski praktykant. - Daruję ci życie, jeśli pokażesz mi jedzenie... - Och, wystarczy tylko podnieść kamień. - Pod kamieniem chowasz jedzenie? - Ja nie chowam, ono tam samo żyje. - Żyje? Cóż to za jedzenie? - Glisty! - zakrzyknął diablik z triumfem. - Udław się swoimi glistami, bęcwale! - rzekł mu Janek. Diabelski praktykant spojrział z podziwem na człowieka, który nie oszalał z radości, usłyszawszy o przysmaku tak wybornym.

- Chciałem cię ugościć! - powiada diabelski terminator strasznie pocziwie.

Janek rzekł mu z uśmiechem:

- Ludzie tego nie jadają.

- A mnie mówił jeden stary diabeł, że widział na własne oczy, jak w dalekiej ziemi ludzie jedli białe tłuste robaki, które nazywają makaroni.

- Daj im, Boże, zdrowie! - zaśmiał się Janek.

Praktykant skręcił się, jakby cierń połknął, i zaczął wyć.

- A tobie, bęcwale, co się znowu stało?

- Powiedziałaś takie słowo, że mnie aż zatknęło... Nie mów tego nigdy!

- Jakie słowo? Aha, O Panu Bogu nie możesz słuchać! Czekać, dam ja ci łupnia. Masz swoją halabardę, już mi niepotrzebna. Już wiem, jak cię ogłuszyć, diabelski pachółku!

Cisnął mordercze narzędzie na kamienie i patrzył pilnie, co tamten uczyni. Praktykantowi i zamigotały oczy i już, już gotów był do skoku, aby ją porwać, ale chłopiec rzekł powoli:

- Chwała Bogu na wysokościach!

Diablik podskoczył na siedem łokci w górę i padł tak, że aż usiadł.

- Dajże pokój, synu kozy, bo nie poradzisz. Żebyś jednak nie próbował porwać tego jakim chytrym sposobem, muszę temu przeszkodzić.

- O straszliwy matołku! - zaśmiał się Janek w duszy. - Ja wszystko wiem! - rzekł głośno.

- Jeżeli ty wszystko wiesz, to mi powiedz, po co oni tu przyjdą?

- Chytry ty jesteś, ale ja jestem chytrzejszy. Sam, bezogoniasty, nie wiesz i chciałbyś się dowiedzieć ode mnie.

- Nieprawda, bo ja wiem!

- Nieprawda, bo nie wiesz!

- Kto nie wie? Ja nie wiem?

- Takiemu chłystkowi diabli się nie zwierzają, co zamierzają czynić! Mnie - to co innego! - mnie by się zwierzyli, ale tobie! Mleko masz pod nosem, kielbie we łbie, a ogona ani śladu. I ty miałbyś wiedzieć, po co tu przyjdzie siedmiu diabłów?

Praktykant poczerwieniał od wielkiej złości, uważając jednak, że tego za mało, przewrócił oczy białkami do góry.

- A ja wiem! - krzyczał - najpierw napiją się wody z rzeki, potem zakopią cię w ziemi aż po szyję.

- Nieprawda, tylko do brzucha - rzekł słabym głosem chłopiec, pilnie słuchając.

- A nieprawda, bo po szyję, abyś nie mógł iść dalej; ty byś może chciał umrzeć, ale nic z tego, ty snę tylko będziesz męczył.

- A ja im na złość umrę wtedy z głodu!

- Nie umrzesz, bo ja cię będę karmił... Ho! ho! A kto teraz mądrzejszy?

- Ty jesteś mądrzejszy, przyznaję. Ty nawet i to wiesz, że miałem tu być uwięziony przez rok i niedziel sześc.

- Jak byś zgadł!

Janek spochmurniał i zaczął pilnie rozmyślać. Nie chciano, widać, jego śmierci, chciano tylko przeszkodzić mu w tej błędnej podróży. Szczęście to jednak wielkie, że, licząc na jego młodość i niedoświadczenie, nie nasłano na niego jakiegoś starego, doświadczonego diabła, tylko tego pocziwego bałwana z wylupiastymi oczyma. Był to pocziwiec wielki, ten diabelski niedorostek, diabeł pośledniejszego gatunku do straszenia prostaczków. Wesoło kłamiąc, Janek wydobył z niego wszystko, o czym chciał wiedzieć. Trzeba jednak dokonać rzeczy trudniejszej; trzeba przebrnąć przez tę paskudną rzekę. Jankowi było to obojętne, czy wpada ona w piekło, czy też tłamsi swoje smoliste, gęste wody bez piekielnych przeznaczeń; na razie to było ważniejsze, że żyją w niej krokodyle i że bez pomocy tego diabelskiego brzdąca, ociekającego sadłem, nigdy jej nie przepłynie. Dotąd wypytywał go, drażniąc jego wielkie o sobie mniemanie, spojrzawszy jednak na niego dokładnie, pomyślał, że w tych pocziwych, zalanych tłuszczem oczach, tyle właśnie jest sprytu i roztropności, że dziecko mogłoby tego biedaczynę przywieść na hak. Postanowił więc rozmawiać z nim inaczej.

- Luby praktykancie! - rzekł - jesteś nie tylko przedziwnie mądrym diabłem, ale najprzystojniejszym chyba na świecie.

- Owszem - uśmiechnął się tamten - nie mogę się skarżyć.

- Co bym to dał za to, żeby mieć takie zgrabne jak ty nogi!

- A czemu mnie nazwałeś kozim synem, ha?

- A czemu mnie chciałeś zamordować? Co się w złości powie, to się nie liczy. Proszę cię jednak, abyś mi odpuścił.

- Mogę to zrobić... Co mi tam!

- Gdybyś mi jeszcze powiedział swoje imię, byłbym szczęśliwy.

- Mogę ci powiedzieć, bo to nie jest tajemnica... Nazywam się...

- Stój! nie mów jeszcze!

- He? A dlaczego?

- Bo jest to pewnie imię tak groźne i straszliwe, że jeśli je z nagła usłyszę, mogę się wykopyrtnąć z samego strachu. Musi to być imię świetne jak błyskawica, dudniące, jak grzmot, a niszczące jak piorun. Pozwól, abym się oparł na wszelki wypadek o skałę.

Diabelski praktykant napuszył się mocno i tak się nadał, że się niemal stał okrągły. Cmoknął

tłusto i rzekł łaskawie:

- Aż tak straszne moje imię nie jest. Dobrze jednak, że się strachasz. Ja się zowię Piszczalka.

- Och! och! och! - zakrzyknął Janek.

- Czy się zląkłeś?

- Nie! jestem tylko oszołomiony. Myślałem, że imię twoje zahuczy grzmiotem, a tymczasem zakwiliło ono jak słowik. Nie ma na świecie bardziej nadobnego imienia. Najpiękniejsza dziewczyna, najcudowniejsza księżniczka nie mogłaby się nazywać wdzięczniej. Piszczalka! Imię twoje śpiewa i gra. Przypomina ono wiosnę i kwiaty, rzewnych pastuszków i niewinne jagnięta. O, nadobna Piszczalko! Gdyby mi dano do wyboru królestwo albo to imię, wybrałbym Piszczalkę.

- Tak powiadasz? - zapytał uszczęśliwiony praktykant. - Czy moje imię jest tak rzadkie?

- Nie ma takiego drugiego!

- A jakże ty się nazywasz?

- Ja? Mówić nie warto... Strasznie się nazywam, okropnie... Nazywam się tylko Janek.

- Ładne to nie jest, ale nie martw się. Trudno, nie każdy może się nazywać Piszczalką.

- O cudna Piszczalko! Pozwól, że powtórzę to sto tysięcy razy, bo raz jeden to za mało.

- Możesz sobie powtarzać, ale tylko do zachodu słońca... Żal mi cię, ale cóż robić. Musiałeś ty zbroić coś okropnego, jeżeli cię chcą zakopać w ziemi.

- A wiesz, nadobna Piszczalko, dlaczego to chcą uczynić?

- Jeszcze nie wiem, ale jeżeli mi powiesz, to może będę wiedział.

- Wybornie to wywiodłeś. Otóż, luby Piszczalko (co za imię! co za imię!), pytam ja ciebie, jeżeli w ziemię wetkniesz roślinę, to co się z nią stanie?

- Wyrośnie...

- Jaka mądrość, co za głowa! Skąd ty o tym wszystkim wiesz? Otóż jeżeli mnie na rok i sześć niedziel wsadzą w ziemię, to i ja wyrosnę, ale nie tylko wyrosnę, ale puszczę korzenie i zamienię się w drzewo. Inaczej być nie może, bo już nieraz to się przydarzyło, o czym musiałeś słyszeć, ty, który wszystko wiesz.

- Oczywiście, że słyszałem i wiem.

- A teraz spojrzij dookoła. Czy widać tu choćby jedno drzewo?

- Nie, nie widać.

- Diabłowie chcą przeto zrobić ze mnie drzewo. W tym rzecz. A na co im to drzewo? Czy u was w piekle palą drzewem?

- Nie, u nas pali się siarką. Drzewo nie jest potrzebne.

- A ja ci mówię, że jest potrzebne, a zaraz ci powiem, na co. Ty się nazywasz Piszczalka (co za imię! co za imię!). Piszczalka jest to precudowne muzyczne narzędzie, które wydaje z siebie tryle piękniejsze niż skowronek i słowik i choćby razem śpiewali, nie dadzą rady piszczalce. A z czego się wykręca piszczalki? Z drzewa, na wiosnę. Wykręca z moich gałęzi, kiedy będę drzewem, ze sto piszczalek, a wtedy, kochany, luby, nadobny Piszczalko, co się z tobą stanie? Dotąd byłeś dumą piekła, a potem będą tobą pomiatali. Był łąpserdak ulini sobie piszczalkę i staniesz się pośmiewiskiem. Rozumiesz teraz?

- Rozumiem, rozumiem, ale skąd ty wiesz, czy ty się zamienisz w drzewo?

- Mnie jedna cyganka powiedziała, że będę miał liście. Czy człowiek może wypuścić liście?

Piszczalka zamyślił się, co było niepotrzebną stratą czasu, gdyż gdyby nawet tłukł głową o kamień albo dla lepszego skutku kamieniem o głowę, żadnego by to nie miało wpływu na wewnętrzny stan głowy.

- Jakże więc - mówił Janek - czy już co wymyśliłeś?

- Wymyśliłem niesłychanie wiele, nie wiem tylko, którą wybrać radę, aby mnie nikt nie skrzywdził.

- Jedna jest tytko rada: pomóż mi uciec przez rzekę.

- O, nie może to być!- zakrzyknął Piszczalka.

- Czemuż to tak krzyczysz? Dlaczego nie może być?

- Boby mnie diabli obłuszczyli ze skóry za to, że cię zratowałem.

- Piszczalko, nadobna Piszczalko, wiesz, co ci powiem: uciekajmy razem. Ja się udaję w wielką podróż, ujrzymy kawał świata, będzie nam razem miło i przyjemnie.

Praktykant spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem.

- He? - zapytał.

- Piszczalko, nie wydawaj z siebie takich smutnych tonów. Bierz kozie nogi za pas i zmykajmy za rzekę.

- Ty możesz - wyjąkał Piszczalka - bo nad tobą diabli nie 'mają władzy, ale mnie tak złoją, że

cień ze mnie zostanie.

- Ale ty byś rad stąd zwiął?

Praktykant obejrzał się z bladą trwogą i szepnął:

- Podobasz mi się, - więc ci powiem. Piekło mi nie służy.

- Nie służy ci, a wyglądasz, jak byś nic innego nie robił, tylko jadł i spał.

- Właśnie dlatego. Mam trochę ciała, a wciąż mnie jeszcze karmią.

- Ho! ho!

- Co to, znaczy? Dlaczego zawołałeś ho! ho!

- Bo coś mi się wydaje, że cię tak umyślnie tuczają, aby z ciebie potem wytopić smalec dla najstarszego diabła.

- Ja też tak myślę, bo mi się ciągle przyglądają i głowami kręcą. Dlatego też wciąż mnie wysyłają na ziemię, abym w piekielnym gorącu nie wytapiał z siebie tłuszczu.

- Mówię ci, luby Piszczako, zmykaj póki czas.

- Ciszej mów, bo jeszcze kto usłyszy... Może bym i uciekł, ale jak?

- Wyrzeknij się diabłów i chodź ze mną.

- Pójść, tobym poszedł, ale diabłów się nie wyrzeknę. Sam kiedyś diabłem będę.

- A gdybyś wypowiedział takie słowa, które ja wymawiam, kiedy się modłę...

- Przestań! Ja tego nigdy nie powiem...

Janek pomyślał szybko i spojrzał na niego spod oka.

- Dajmy więc temu pokój... Mam jeszcze z jaką godzinę czasu, nim słońce zajdzie. Czy diabli przedtem nie przyjdą?

- Nie mogą przyjść, bo się boją słońca.

- A ty się nie boisz?

- Ja nie, bo ja jeszcze nie jestem diabłem...

Za młody jestem...

- To zaraz widać. Ty, miły Piszczako, nawet jeszcze dobrze mówić nie umiesz.

- Ja nie umiem mówić? Przecie gadam tu z tobą i gadam.

- Et, co tam takie gadanie!

- A jakże można inaczej?

- Gadasz jak łapserdak. Wielcy panowie gadają tak szybko, że słowa jak strzały lecą, a król to tak prędko, że tego już nikt zrozumieć nawet nie może.

- Ja także potrafię prędko...

- Może być, ale tak prędko, jak ja, nie potrafisz!

- A cóż ty jesteś, król?

- Król, nie król, ale gadam, jakby wiatr pędził. Założmy się, że ty tak nie zdołasz!

- Dobrze, założmy się! A o co?

- O dwa zęby. Jeśli ja wygram, to ci wyrwę dwa zęby, a jeśli ja przegram, to ty panie. Ja będę mówił szybko, a ty za mną powtarzaj. Słuchasz?

- Słucham!

Praktykant umieścił swoje wylupiate oczy na wargach Janka i pilnie patrzył. Chłopiec począł trzepać:

- Piszczalka jest to najpiękniejszy diabeł, strasznie mądry i niezmiernie poczciwy.

Diablik powtórzył to tak, że aż zafurczało.

- Dobrze mówisz! - rzekł Janek - ale teraz będzie jeszcze prędzej: taki jest tłusty, jak prosię, więc go diabłowie na skwarki przetopią i będą na nim smażyć grzanki dla diabelskiego wojewody.

Piszczalka powtórzył, ale niepewnie.

- Coś się, braciszku, jąkasz! - zaśmiał się Janek.

- Bo ty gadasz nieprzyjemne rzeczy - dąsał się Piszczalka.

- Słusznie! Toteż ci teraz powiem przyjemniejsze. Słuchasz?

- Słucham, tylko gadaj!

Janek zaczął strasznie prędko:

- Jestem sobie biedny diabeł, ale pragnę z całej duszy służyć Tobie, Panie Boże, i cudownej Matce Boskiej!

Piszczalka oczy w słupek postawił i powtórzył to jednym tchem.

Nagle podskoczył, zawył i jakby go chwyciły konwulsje, począł się tarzać po ziemi i gębę wycierać o kamienie. Ciskał się, jak ryba na piasku, krzyczał, wrzeszczał i rozpaczał. Wreszcie , osłabnął i zaczął ocierać pot z twarzy.

Janek spojrzał na niego z litością.

- Biedaku! - rzekł - bardzo cię to tknęło?

- Bardzo... jęknął Piszczalka.

- A już ci lżej?

- Zdaje mi się, że lżej.

- Zaraz ci zupełnie przejdzie. Przebacz mi, Piszczalczko, ale cóż miałem robić? Ale za to wygrałeś dwa moje zęby, boś tak gadał, że sam król lepiej nie potrafi. Weźmiesz zęby?

- Nie.

- Z serca ci dziękuję. A czegoś chcesz?

Piszczalka podniósł się z ziemi, lecz nie powstał zupełnie, lecz klęczał.

- Powtórz to raz jeszcze...

Janek spojrzał zdumiony.

- Chcesz, żebym powtórzył?

- Powtórz...

- Słuchaj, Piszczalko. Pierwszy raz podstępem kazałem ci to powiedzieć i może źle uczyniłem. Niemiłe Panu Bogu takie nabożeństwo. Ale teraz zastanów się... Jak się czujesz?

- Jest mi dobrze. Powtórz!

Janek przyklęknął i zaczął mówić:

- Jestem sobie biedny diabeł, ale pragnę z całej duszy służyć Tobie, Panie Boże...

Piszczalka wlepił w niego pocziwe oczy i powtarzał nabożnie.

Rozdział ósmy

w którym krokodyle rzewnie płaczą, a diabli zgrzytają zębami

Spieszmy się! - przynagłał Piszczalka. - Jestem ja wprawdzie człowiekiem i to poważnym człowiekiem, ale z diabłami żartów nie ma.

- Wybornie! - rzekł Janek - rozkazuj, miły; towarzyszu, bo z tej strony rzeki ty jesteś filozofem. Gadaj, czy rzeka głęboka?

- Najwyższemu diabłu będzie po szyję.

- A najwyższy diabeł bardzo wysoki?

- Nie bardzo. Ma sto trzysta łokci.

- Czy mu nie wstyd? Ale to nic! Woda gęsta, przepłynąć można. Teraz jednak, jako człowiek pobożny, przyznaj się, czy o tych krokodylach to prawda, czyś tylko nałgał?

- Krokodyle są i to straszne.

- Ile ich może być?

- Dobrze nie wiem, ale ze dwie kopy najmniej.

- Za dużo tałajstwa jest na świecie. To nam nie dadzą przepłynąć?

- Mnie dadzą, ale z ciebie będą jatki.

- Piszczalczko, zrób tak, aby zatańczyły, jak im zagrasz!

- Kiedy one nigdy nie tańczą.

- Ja też, nie chcę, aby tańczyły, tak się tylko mówi.

- Czekaj, mam myśl! krzyknął Piszczalka.

- Na Boga! Łapże ją i trzymaj z całej mocy.

- One są mądre, ale na mądrzejszego trafiły.

- Gdyby żyły sto tysięcy lat, to by nie mogły trafić na mądrzejszego. Ale czy to tylko wymyśliłeś?

- O, nie! Znacznie więcej... Czy się boisz?

- Ej, nie bardzo...

- To dobrze. Stań tu nad brzegiem, a ja zejść niżej i wyprowadzę tę hałastrę na ląd. A kiedy wyjdą, dam ci znak. Wtedy skacz w wodę i pływaj co siły.

- A ty, Piszczalko?

- Ja przepłynę później, tylko mnie strach oblata, bo nie umiem pływać. Mogę pójść na dno.

- Gdybyś, miły Piszczalko, nie miał głowy, przepłynąłbyś jak korek.

- A czy głowa jest taka ciężka?

- Nie każda, ale zdarza się i taka, że ołów przy niej jest jak puch. Ale ty i z głową nie utoniesz, tyle mając sadła na sobie. Patrz, jak to nie ma tego złego, co by na lepsze nie wyszło. Idźże, przyjacielu, łapać krokodyle.

Piszczalka, jakby odrodzony, z uśmiechem na gębie, pobiegł w podskokach w dół rzeki. Stał nad wodą i zaczął drzeć się jak opętany:

- Hej tam, krokodyle, krookodyle!

Zakotłowała się czarna woda, poruszyło się nadbrzeżne błoto, w którym nieruchome, jak kłody, leżały potwory. Jak gdyby zaraza wionęła powietrzem, takie brzydkie buchnęły zapachy. Słychać było kłapanie zębisk i bicie ogonów. Z odmętów dobyły się podłużne, straszne, żarłoczne pyski. Zamigotały oczy złe, chytne i podstępne.

- Krokodyle! Hej, krokodyle! Wyłazić na brzeg!

Wypełznął z błota najpierw zwierz ogromny, stary, ze świdrującymi oczyma.

- A czego ty nas wołasz? - zagrzmiął rykiem.

Zdobycz, ogromna zdobycz! - darł się Piszczalka.

Czarna woda zaczęła nagle tak bulgotać, jak gdyby wrzała na piekielnym ogniu. Gromada potworów zaczęła pełzać na wyścigi, jeden po drugim, kłapiąc zębami. A stary zaczął huczeć:

- Czego tak się śpieszycie, synowie Beljala? Miejsca, miejsca dla tego, co pamięta faraonowi... Bogdaj wam ogony odpadły, żebyście połamali zęby! Ratuj mnie, młody diable, bo mnie tu na śmierć zadcpczą... Stary jestem i niedołężny, nim dojdę, te pyski żarłoczne wszystko : zeżrą... Patrz, ja już płaczę! Niewinnymi łzami płaczę. Bogdaj was błoto zadusiło, zarazo egipska... Nie uszanują łez, niczego nie uszanują... Żeby wam największa piramida spadła na głupie głowy! Czego się tak ciśnicie? Dla wszystkich wystarczy, powiedz im, młody diable, że dla wszystkich wystarczy! Puśćcie najpierw nieszczęsnego sierotę, aby się pożywił! Miejsca dla śnie, biedaczyny!

Żeby z was złupili skórę! Żeby wam nogi odpadły! Gdzie zdobycz, powiedz, luby diable, gdzie jest zdobycz?

- Wśród skał, niedaleko stąd wśród skał! - ryczał Piszczalka.

- Niedaleko wśród skał, wśród skał! - rechotał stary krokodyli drab. - Powoli, hołoto! Żeby wam zęby strupieszały! A dużo zdobyczy?

Dwadzieścia koni i dwudziestu jeźdźców spadło w przepaść! Spieszcie się, krokodyle!

- Dwadzieścia koni!... Żebyście się zatchnęli... Ach, nigdy nie jadłem, konia!... Dwudziestu jeźdźców! Och, och! Płaczę, rzewnie płaczę. Takie nieszczęście! Biedni ludzie... Czy już skruszeli przynajmniej, bo nie lubię świeżego mięsa... O biedaczku!... Spadli, powiadasz? Chwyć, młody diable, kamień i bij po głowie tego, co się tam tak śpieszy! Zęby mu brzuch rozpęknał się, nim dolezie! Dokąd się tak śpieszycie, żeby wam szakale obgryzły ogony!... Och, jak mi ciężko! Łzy mi zalewają oczy! Puszczajcie poczciwego staruszka, bo wam nogi połamię ogonem!

Stary ryczał, rzeził, płakał i pędził, co sił.

- Tam, tam, za zakrętem - wołał Piszczalka - leżą jedni na drugich. Prędzej, prędzej!

Krokodyla hałastrą śpieszyła się, nawzajem we wściekłości gryząc się w ogony i szczerząc straszliwe zęby. Piszczalka przystanął w bezpiecznej odległości i wciąż je zachęcał do wyścigów, kiedy zaś ostatni krokodyl, jakiś niedołączny połamaniec, wylazł na brzeg i biegał za innymi, wyszukał spojrzaniem Janka w oddali i krzyknął:

- Skacz, bracie, w wodę!

Chłopiec spojrział w czarny odmęt, przeżegnał się i, zamknawszy na moment oczy, cisnął się weń głową. Wyplął po chwili i mocnymi ramionami począł rozgarniać ciężką i aż lepką ciecz, błotnistą i ohydnie woniejącą. Rzeka nie była szeroka, lecz siły zaczęły go opuszczać, kiedy przemierzył zaledwie jej połowę, bo go zaczęło coś gryźć i kasać. Spojrział na ręce i zrozumiał, że to niezliczone ilości pijawek przyłgnęły do jego ciała.

- Lepsze to, niż krokodyle! - pomyślał i zaczął bić wodę potężnie.

Do brzegu było niedaleko, a brzeg był niski, więc Janek, jedną ręką zgarniając z drugiej pijawki, zebrał resztę sił i płynął w tej smole, ciężko dysząc. Nagle posłyszał poza sobą przeraźliwy krzyk i chluśnięcie wody.

- To Piszczalka udaje rybę! - pomyślał wesoło, zbliżając się już do brzegu. - Byle dopłynął, bo z jego kozimi nóżkami będzie mu ciężko. Co mu się stało?

Chwyciwszy ręką odłam skały i dysząc z nadmiernego wysiłku, lecz już bezpieczny, obejrzał się.

- Ratuj! ratuj! - krzyczał Piszczalka serce rozdierającym głosem.

Dopłynął do środka rzeki i albo mu sił zabrakło, albo uległ pijawkom, gdyż tłukł rękoma o wodę, lecz się nie posuwał przed siebie.

- Nie dopłynię! - szepnął Janek.

- Ratuunku! - wołał tamten.

Janek zaciął zęby i bez chwili namysłu ogromnym susem skoczył do wody i zaczął płynąć ku niemu. Rozpacz pomnożyła jego siły, ogarnęło go jakieś zapamiętanie, aby uratować nieszczęsnego Piszczalkę. Dopłynął do niego i chwyciwszy za długie, kosmate uszy, zaczął ciągnąć przed siebie.

- Nie drzyj się! - zawołał ostatkiem tchu.

Pracował teraz, jakby ręce i nogi miał z żelaza. Tym mu było ciężej, że Piszczalka zgubił w czarnej wodzie resztki niewielkiego rozsądku i wrzeszczał, jakby go z kosmatej odzierano skóry. Dał się ciągnąć bezwolnie, sam żadnego nie czyniąc ruchu. Nagle, kiedy już Janek myślał, że razem z nim pójdzie na dno, Piszczalka przestał krzyczeć i dał tak potężnego susa, jak najzwinniejszy szczupak. Ulżyło to Jankowi, więc parli przed sobą wodę, bo i chłopiec zrozumiał, co się stało. Na opuszczonym przez nich brzegu ryk nappełnił powietrze.

- Krokodyle! - wrzasnął Piszczalka.

- Prędszej, prędszej! - dyszał Janek.

- Łapcie ich, łapcie ich! - ryczał najstarszy krokodyl. - Zęby was afrykańska zaraza wytłukła... W wodę, w wodę! Jeszcze ich dognamy... Tego diabła najpierw, najpierw tego diabła!... Gońcie ich, gońcie ich, żeby wam skaprawiały ślepią... Koni nie było, jeźdźców nie było!... Bogdajecie błoto żarli! Prędszej, prędszej... bo was przeklnę! Ja nic nie widzę, bo mi łzy zalewają oczy, ale wy się śpieszcie, mumie egipskie! Zęby wasze dzieci powyzydychały, zanim się urodzą... Och, och! Uciekną, oni uciekną!

Piszczalka pierwszy wypelznął na brzeg, za nim Janek. Otwartymi ustami chwyтали powietrze, zgarniając z siebie olbrzymie czarne pijawki. Ledwie jednak zachwycili trochę oddechu, słowa do siebie nie mogąc przemówić z nadmiernego wysiłku, poczęli biec. Goniło ich pełne płaczu narzekanie starego draba i ryk reszty krokodylów. Stary krokodyl, wzywając cały świat na świadka swojej krzywdy, obrażał go równocześnie przeraźliwym wrzaskiem:

- Trzymaj! Łapaj!

- Łap małpę za ogon! - pomyślał Janek. Nie ustawali w gonitwie, bo chociaż nie obawiali się już krokodylów, lękali się rzeczy gorszej; krokodyle mogły rykiem wywołać diabłów z jakiejś czeluści. Wprawdzie opowiadał Piszczalka, że diabły po tej stronie rzeki władzy nie mają, lecz miły Piszczalka nie miał rozumu ani na tym, ani na tamtym brzegu. Już go chciał zagadnąć, kiedy ujrzał, że się biedaczysko słania na wiotkich kozich nóżkach.

Odpocznijmy! - zakrzyknął mu w biegu.

Jeszcze nie! jeszcze nie! - rzeził Piszczalka świszczącym głosem. - Tam... dopiero tam...

- Gdzie?

Piszczalka, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, wyciągnął rękę i coś wskazywał.

Janek nie rozumiał, co to ma oznaczać, ale pobiegł dalej. Oddech świszczał w Piszczalce, jakoby nią był naprawdę, a ktoś nieumiejętnie na niej grał; Janek poskoczył, chwycił go za ramię i, dobywając ostatku sił, włókł za sobą.

Straszliwe wycie rozległo się poza nimi, w wielkiej oddali.

- To diabli wyją! - krzyknął Piszczalka. - Prędzej tam... tam... Módl się, abyśmy dobiegli.

Janek nie pytał o nic, tylko szeptem modlić zaczął.

- Biegną... słyszę tupot... - rzeził Piszczalka.

- Wspomóż nas, Panie, i ochroń nas. Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko... Widzę krzyż!...

Za nimi podniosły się głosy, jak gdyby tabun cwałujących koni bił kopytami grudę ziemi. Dudniało głucho, a razem goniło ich wycie wściekłe i rozjuszone. Piszczalka był blady, jak trup, Janek miał spokój na twarzy, usta zacięte, a błyski w oczach.

- Ależ gonia! - szepnął.

- Krzyż, krzyż, gdzie jest krzyż?

- Tam, na prawo... Dobiegniesz?

- Muszę... Gdybym nie mógł dobiec, zabij mnie... Tak lepiej będzie dla mnie...

Janek podparł go silniej. Zmarszczył czoło, na twarzy miał zaciętość.

- Ocalę cię! - krzyknął.

Poczuł na ustach słony smak krwi; pot zalewał mu oczy i lepiał włosy. Serce chłopięce pracowało ostatnim tchem; ciążyło mu nadmiernie odzienie, przesiąkłe błotnistą wodą piekielnej rzeki. Gdyby nie Piszczalka, zwisający mu z ramienia, dobiegłby szybko do krzyża ostatnim wysiłkiem i tam by padł. Za cenę życia jednak nie porzuciłby tego biedaczyny, nieszczęsnego diabluka, co dziwną losów koleją w śmiertelnym wyścigu dążył do krzyża, aby się w jego ukryć promieniach. Janek z niepokojem słuchał rzeżącego jego oddechu, kiedy zaś spojrział na jego twarz, w jedno blade zmienioną przerażenie, wielka litość napełniła jego serce.

- A jednak ja cię ocalę, biedaku! - pomyślał.

W tej chwili kamień ze świstem przeleciał tuż nad ich głowami.

- To gorzej! - krzyknął Janek. - Był jeszcze dziesięć kroków... Krzyż... krzyż...

Rozumiał, że nawała diabelska do krzyża się nie zbliży, lecz doleczą tam kamienie, które zaczęły gwizdać coraz częściej. Równocześnie wzrastał się i wrzask goniących. Diabli musieli pojąć, że ich ofiary usiłują dobiec do krzyża, więc wściekłość wyła w ich krzyku. Widać, że się zachęcali wzajemnie, a jeden głos chrapliwy i jakby krwawy przewodził i rozkazywał, ponad inne się wznosząc.

Znowu posypał się grad kamieni, lecz, o dziwo! Janek spojrzał i zdumiał: kamienie, zamiast upadać daleko przed nimi, bo z wielką i wściekłą ciskane były siłą, nagle, jak gdyby uderzywszy o niewidzialną ścianę, padały prostopadle na ziemię. Bystrze pojął jednak tajemnicę tego zjawiska: oto krzyż był tuż - tuż, a dokoła niego jakby zaczarowane święte koło, którego nie mogło przebyć nic, co było diabelskiego; dlatego kamienie uderzały jak o mur niezdobytej twierdzy i padały bezsilnie.

Zrozumiał to zapewne i Piszczalka, bo przerażenie jego jeszcze bardziej wytrzeszczyło oczy z nadzwyczajnego zdumienia i nikły promyczek nadziei zamigotał na zestrachanej twarzy.

Diabelska czereda była o dwadzieścia już kroków za nimi, lecz przed nimi nagle zajaśniał krzyż wyniosły, w żywym ciosany dębie, tak że u podstawy zielone wypuszczały się pędy. Stary być musiał i sędziwy. Chłopcy dopadli go najostatniejszym tchem i padli jak nieżywi.

A jak burza, rozwścieklona i oszalała, tysiąc wściekłych psów wiatru przed sobą goniąca, obłędny rękoma rwąca czuby drzew, nagle zawyje i trąbą powietrzną zagrzmi, że aż ziemia pęka od przerażeń - takie wycie ozwało się poza nimi.

Janek jednym ramieniem objął podstawę krzyża, drugim cisnął do siebie drżącego towarzysza; potem spojrzał w stronę, skąd gnali diabli i zadrżał. W tej samej chwili zamknął oczy ze zgrozy, lecz nie wytrzymał i spojrzał znowu. W odległości niewielkiej, w mroku ledwie wstającym, ujrzał gromadę diabłów; było ich ze stu co najmniej, zbitych w ciżbę kotłującą się, jak czasem przerażone kotłują się woły. Kilku z nich, porykując z wściekłości, darło pazurami powietrze, jakby chciało rozedrzyć ten mur niewidzialny; inne diabły biły kopytami o ziemię, inne gryzły ją w szaleństwie gniewu, ogonami wałąc się po bokach, jak tygrysy. Oczy migotały takim blaskiem, jakim czasem świeci próchno. Kosmate cielska pokryte były płatami piany. Szał ich taki ogarnął, że się gryzli nawzajem, jak rozwścieklone psy, warcząc głucho i przeraźliwie.

Najmężniejsze serce byłoby omdlało na ten widok; toteż Janek czuł, że i jego lęk chwyta, i serce mu ziębi lodowym oddechem. Silniej przycisnął do siebie Piszczalkę i zaczął się modlić szeptem. Lęk tajał powoli, Piszczalka jedynie drżał mocno, twarz ukrywszy na Jankowej piersi.

- Nie bój się! - szepnął Janek. - Oni tu przyjść nie mogą.

Piszczalka zaczął pochlipywać cichutko. Janek, odjąwszy rękę od krzyża, zaczął go gładzić po głowie.

- Nie becz - mówił - pod dobrą jesteście strażą... Ależ wyją! Czy długo tak mogą wyć?

- Przez całą noc, aż do pierwszego piania koguta.

- To gorzej, bo nam się rozum od tego śpiewu pomiesza. Słuchaj no. Piszczalka, czy ci diabłowie są bardzo potężni?

- Nie - szeptał były praktykant - w tych stronach potężnych diabłów nie ma. Tutaj jest dokoła pustkowie i trochę bagien, więc mało roboty. To są mizerne diabły, ale też straszne. A najgorszy to ten, co wyje głośniejsze od innych.

- Któż to taki? Kapitan?

- Tak, to diabli wojewoda. On jest krewny ciotki żony najstarszego diabła, co mieszka o dwadzieścia tysięcy mil stąd. To straszny diabeł! Jego się wszyscy boją, bo okropnie kąsa.

Raz wyrwał trzem diabłom ogony i bicz sobie z nich ukręcił. O! o! on właśnie tak wyje...

- Miły jegomość. A jak jego zwa?

- Barabasza...

- Może by tak z nim pogadać?

- Oj, oj! - wrzasnął Piszczalka.

- Czego tak ojejkasz? On mi nic zrobić nie może, to sobie możemy pogadać. Przytul się do krzyża, a ja podejść bliżej ku niemu.

- Nie zbliżaj się do niego! Zginiesz!

- Jakże mogę zginąć?

- On umie rzucać ogień z pyska na sto trzy łokcie...

- W takim razie czemuż go teraz na nas nie ciśnie?

- Bo koło krzyża nie może...

Janek miał zawsze wesołość w duszy, która po raz pierwszy omdlała w nim, kiedy kupował oczy. Zapaliła się w nim teraz jasnym ognikiem, więc mu się naraz zachciało pogadać z diabłami; uprowadził im obiecującego praktykanta, z którego w najbliższym czasie postanowił wybornego zrobić chrześcijanina, chciał się więc co nieco pochwalić przed diabelskim zgromadzeniem. Próżno go pocziwy Piszczalka trwożył i zaklinał; Janek ułożył go pod krzyżem, sam zaś ostrożnie zaczął iść ku diabłom, wciąż mając wrażenie, że dusza jego opuściła zwykle swoje mieszkanie i umieściła się przezornie na ramieniu, skąd łatwiej uciec. W piętach też czuł swędzenie. Musieli o tym wyjąć diabłowie nie wiedzieć, bo, jak gdyby zdumieni wspaniałą odwagą Janka, przestali wyć, jak na

komendę; paszcze szeroko otwarli i wybałuszyli ślepie.

Janek przystanął w bezpiecznej odległości i, sam się swojej dziwując odwadze, zaczął do nich gadać. Słowa jego zataczały się cokolwiek ze strachu i z trudem z wyschłego dobywały się gardła.

- Dobry wieczór, mości Barabaszu! - zakrzyknął.

Diabli zbili się w gromadę, a jeden, rudy na łbie i z kosmatym ogonem, wysunął się przed nich i zacharczał:

- Dobry wieczór, młodzieńcze... A pójdź no tu bliżej!

- Nie chce mi się iść, bom trochę zmęczony. A waszmościowie jak się czują?

- Nieźle, nieźle!

- Ale ja lepiej biegam, co?

- Owszem, owszem, młodzieńcze... Ale czemuż to tak uciekałeś?

- Ja uciekałem? To się tylko tak, zdawało... Chciałem, aby mi na wietrze wyschło ubranie, bom się kąpał w rzece i zapomniałem zdjąć szatki.

- Zbliź się tylko, a zaraz ci je wysuszymy.

- Pewnie ogniem z gęby... To bardzo musi być śmieszne!

- Aha! bardzo śmieszne... Nie zbliżysz się? Tchórz cię obleciał?

- Istotnie, że coś tu tchórzem pachnie. Czy to aby nie waszmościowie wydajecie takie brzydkie fetory? Tak mi w nosie wierci, jakby małpy ogoniaste były w pobliżu. Co wasze o tym myśli, mości Barabaszu?

Rudy diabeł w nagłej pasji uderzył się ogonem po bokach i rzecze głosem dudniącym od wściekłości:

- Słuchaj no ty, ludzkie szczenię! Nie dognaliśmy cię dziś, ale dognamy cię jutro. Będziemy cię prześladować do skończenia świata... Wyzioniesz ducha, a wtedy z sobą pogadamy! Ale ty jesteś dla nas drobna zwierzyna. Szkoda czasu na takie łowy!

- O, jakże mi smutno! - zakrzyknął Janek.

- Milcz! nie czas na krotchwile... I słuchaj.

- Zamieniam się w ucho!

- Uprowadziłeś z sobą jednego z naszych wychowanków.

- Coś mi się wydaje, że przez pomyłkę mówisz prawdę, mości Barabaszu!

Diabeł zazgrzytał zębami, a inne diabły zaczęły mruzczyć i obnażać kły w bezsilnej wściekłości.

- Tedy ci powiem: oddaj nam Piszczalę, a sam idź, dokąd ci się podoba. Darujemy cię zdrowiem!

- Jaśnie wielmożny diabelski wojewodo! - rzekł Janek z wielką powagą - daj mi czas do namysłu.

- Jak długo?

- Tysiąc dwadzieścia lat! - odrzekł Janek Wycie przeraźliwe, jak nagle rozprężony bicz, uderzyło powietrze i przecięło je na odlew.

Barabasz buchnął ogniem z pyska i zaczął tłuc kopytem ziemię.

- Cicho tam, diabelskie ścierwa! - wrzasnął charkotem.

Znowu się uciszyło, diabły usiłowały wzrokiem zamordować chłopca, który, niby mocno zdziwiony, powiada:

- Czemuż to waszmościów tak obeszło?

- Łotr z ciebie na wielki kamień - zacharczał Barabasz. - Ale my się jeszcze kiedyś porachujemy... A teraz gadaj: oddasz Piszczalę?

- Jako żywo, nie oddam! Śpiewacie tak pięknie, na cóż wam jeszcze piszczalka?

- Słuchaj - rzekł diabeł niby przymilnie - na co ci on? Sam z głodu zdechniesz i nie dojdiesz tam, dokąd dojść zamierzasz. A jeśli go nam wydasz, podpiszemy układ, że ci w niczym nikt przeszkadzać nie będzie.

- Tylko tyle?

- Może chcesz pieniędzy? Damy ci dwie beczki dukatów. Trzy, cztery beczki!

- Obejdzie się! ja sam umiem robić złoto.

- Damy ci takie lusterko, w którym zobaczysz wszystko, co się na świecie dzieć będzie za sto tysięcy lat.

- Nigdy nie byłem ciekawy...

- Damy ci taki instrument, który najwięksi nasi wymyślili mędracy, że kiedy do niego zagadasz, to cię usłyszy ten, co się znajduje o tysiąc mil stąd.

- Ładny to musi być instrument, ale ja nie mam znajomych o tysiąc mil stąd, więc nie będę miał z kim gadać.

Diabeł stęknął i gadał coraz niecierpliwiej:

- Damy ci takie płótno, na którym cień żyje i porusza się, i przemawia ludzkim głosem.

- Wolałbym uczciwą koszulę dla Piszczalki, bo biedaczysko trzęsie się z zimna.

- Szczeniaku! - ryknął diabeł - więc czego chcesz?

- Pragnąłbym bardzo, aby który z panów diabłów pobiegł ku rzece i poszukał mi guzika, bo mi się jeden od portek oderwał.

- I za to oddasz Piszczalkę? - zdumiał się diabeł.

- Tak tanio nie cenię mojego przyjaciela.

- Oddasz, czy nie oddasz?

- Nie oddam, miłe czorty!

Znowu ryk buchnął, ale wnet zgasł, jakby diabłowie osłabli.

Barabasz toczył krwawymi oczyma, długo coś mamrotał, jakby szukając sposobu na tego dziwnego chłopca. Rzekł wreszcie:

- Wydajesz się mądry jak diabeł, a jesteś głupi jak psi ogon, który się wierci i wierci, a sam nie wie po co. Czy wiesz, kim jest Piszczalka?

- Wiem, że to jest miły i uczciwy chłopak.

- Hu! hu! - zarechotali diabli.

- Oto widzisz - ryknął Barabasz - jak niezmierna jest twoja głupota. Piszczalka to jest diable szczenię. Kiedy będziesz spał, udusi cię. Zdradzi cię na jawie. Sprowadzi na ciebie węże. Obląka cię w drodze i zawiedzie na bagna i topiele. Diabeł zostanie diabłem!

- Mylisz się, o ogoniasty! Piszczalka nie udusi mnie, ani mnie nigdy nie zdradzi. A ty, skoro to mówisz, jesteś głupszy nie tylko od psiego ogona, ale od swojego własnego, w którym hodujesz pewnie pchły, bo wciąż nim kręcisz.

- Łżesz! - ryczał Barabasz. - Piszczalka jest diabłem!

- Już nie jest diabłem - rzekł Janek poważnie. - Chłopiec ten, przez was otumaniony, wyrzekł się piekła i teraz wyznaje Boga Jedyneho. Patrzcie, diabły, siedzi tam oto, przytulony do krzyża, co ponad nim świeci. I nigdy już od niego nie odejdzie. Bóg się nad nim zmiłował i wyrwał go z waszej

czarciej mocy. Od jutra będę go uczył pacierza.

Diabli nawet nie zawyli, bo im złość odjęła mowę. Pyski im się tylko powykręcały straszliwie; ze ślepiów złym błyskiem strzeliła rozpacz. Barabasz dygotał cały od nadmiernej wściekłości, rozczapierał tylko i niecierpliwym ruchem znów chował pazury. Nagle cisnął się strasza ruchem przed siebie, wydawszy zduszony okrzyk. Janek drgnął i chciał się rzucić do ucieczki, lecz ujrzał, że rudy diabeł jak gdyby o ścianę z żelaza uderzył, odpadł - i w tył z jękiem się potoczył.

Gromada wydała głuchy, gardłowy pomruk.

Barabasz podniósł się powoli, spojrzął na wzrokiem okropnym i spojrzeniem długim, jak gdyby go sobie chciał zapamiętać, po czym skinął na swoją hałastrę i odszedł w noc. Za nim cicho, jak wilcy, odeszli dąbłowie. Janek patrzył za nimi, obawiając się, czy mu jakiej nie gotują zdrady lub zasadzki. Powracał w stronę krzyża mocno zamyślony; diabłów poraziła, widać, wiadomość o nawróceniu Piszczalki, lecz to, że w tym głuchym milczeniu odeszli, zwiastowało zawziętość piekielną.

- Jeśli to są diabły potężne, to będzie bieda - myślał. - Jeśli to zaś tylko szaraczkowie, może się z nimi jakoś uda. Sądząc po przyjacielu Piszczalce, nie są to filozofowie. A cóż on tam robi, biedaczyna?

Piszczalka wciąż jeszcze dygotał.

- Odeszli? - pytał.

- Tak. Słyszałeś wszystko?

- Słyszałem... Ty jesteś mocniejszy, niż oni wszyscy razem.

- Myślisz, że powrócą?

- Chyba nie. Po co by mieli wracać?

- No to będziemy spali. Przytul się do mnie, przyjacielu, to się trochę ogrzejesz.

Janek usiadł obok nieboraka, który nagle chwycił jego rękę i ucałował.

- Piszczalko! - zawołał Janek - czy oszalałeś od wielkiego strachu?

- Nie - mówił tamten szeptem - ja ci tylko chciałem podziękować za to, że jesteś taki niezmiernie dobry. Dawali ci za mnie skarby i bogactwa, cudy ci niezmierne dawali, a tyś mnie nie wydał.

Janek zaczął go gładzić po nieszczęsnej głowie.

- Jakże bym ja ciebie - mówił - mógł wydać na męki? Straszne by oni z tobą wyprawiali rzeczy. Mnie toby tylko zamordowali, ale i ciebie, biedaku, czekałby los okropny. Wyśpij no się

teraz, bo ledwie zipiesz...

Ale Piszczalka miał coś jeszcze na sercu.

- To, co ci oni mówili, żebym cię mógł zdradzić albo wyprowadzić na bagna, to wszystko nieprawda. Nigdy, nigdy tego nie uczynię!

- Ja ci wierzę, chłopcze!

- Będę ci służył do ostatniego tchnienia. Ratowałeś mnie w rzece, ratowałeś mnie od diabłów... Za to pójdę z tobą na koniec świata. Będę ci wierny, będę ci posłuszny. Oddam za ciebie życie.

- Miły mój! - rzekł mu smutno Janek. Nie wiesz, z kim chcesz iść na koniec świata... Nie mów tego, zanim się nie dowiesz, że za mną idzie w ślad nieszczęście, a przede mną jest męka i cierpienie.

- Kto ty jesteś? - pytał cicho Piszczalka.

- Ja jestem skazaniec - odrzekł Janek.

Zaczął mu opowiadać o sobie surowym głosem. Mówił krótko, zasług swoich nie sławiąc, takimi słowami, aby biedna go mogła pojąć głowa. I tak kończył:

- Byłoby mi lżej, gdybym wiedział, co się dzieje z ojcem moim. Nigdy się jednak nie dowiem... A może to i lepiej. Może mnie przeklina, jak złego węża. Może woła na mnie pomsty, mniemając, że go zdradziłem. Och, ojczy! najdroższy mój ojczy! Słodką mi będzie śmierć, bo za ciebie na nią idę. Ale mnie nie przeklinaj, ale mnie nie przeklinaj!... Ach, ty płaczesz, Piszczalko?

Tamten otarł szybko ręką łzy i rzekł cicho:

- Serce się we mnie odmieniło i jakiś inny jestem... Dlatego płaczę... Dziwnie przyjemne są łzy... Dotąd płakałem wtedy tylko, kiedy mnie bito, teraz płaczę, choć mnie nikt nie bije...

- Dobrze jest móc płakać!... - mówił Janek zadumany. - Jego oczy umieją płakać.

Piszczalka zerwał się nagle.

- Co ci się stało?

Coś mignęło w czerności nocy.

- Nic - nic! Hej, hej, puchaczu! - zaczął krzyczeć wpatrzony w ciemność.

Cichy szelest skrzydeł miękko musnął ciszę nocy.

- Kto mnie wołał? Czego chciał? - ozwał się głos z góry.

- Czy ty jesteś puchacz, który mieszka na czarnej skale?

- Ja jestem, który mieszkam na czarnej skale.

- Wiem! Masz tam gniazdo i dzieci.

- Mam gniazdo, mam dzieci, a ciebie nie znam.

- Jestem straszliwy i potężny. Mogę skruszyć czarną skałę i zburzyć twoje gniazdo, a wtedy zginą twoje dzieci.

Puchacz huknął przeraźliwie i zaczął krążyć nad nimi, jak czarny duch.

- Ale nie uczynię tego, jeśli zrobisz, co ci każę!

- Widzę, że masz postać diabła. Prędko mów!

- Czy znasz ruiny we wschodniej stronie?

- Znam. Tam mieszka mędrzec. On jest ślepy...

- Tak. Polecisz tam natychmiast, zobaczysz, co on porabia i wrócisz z wieścią do mnie.

- To daleko!

- Masz skrzydła. Leć, a przed północą powrócisz.

- Czy ty jesteś diabeł?

- Jestem straszliwy diabeł!

- A dlaczego siedzisz pod krzyżem?

- Słusznie mówisz! Pójdę stąd czym prędzej na czarną skałę i zatrzęsę nią tak...

- Nie kończ, lecę!

Ciemność połknęła ogromnego ptaka. Janek objął Piszczalkę i uściskał go, słowa jednego nie wyrzekłszy. Mijały godziny, noc się stała potężna i czarna. Nagle z jej najgłębszej czeluści ozwał się głos, który się wydawał w czerni nocy czarny.

- Gdzie jesteś ty, który masz kozłe nogi?

- Tu jestem! Byłeś w ruinach?

- Byłem.

- Widziałeś mędrca?

- Widziałem, ale on już nie jest ślepy.

- Wiem, ja to sprawiłem. Co robi mędrzec?

- Długo patrzył w gwiazdy, a potem ukląkł przy łożu i mówił głośno.

- Do kogo mówił?

- Nie wiem, bo nikogo drugiego nie było.

- Co mówił?

-Mówił tak: „O Boże jedyny, daj szczęście synowi mojemu najdroższemu. Ochroń to dziecko i nie pozwól, aby cierpiało.”

- I nic więcej nie widziałeś?

- Widziałem, że mu z oczów płynęło coś, co jest jak krople dżdżu... Czy dobrze się sprawiłem?

- Jesteś wspaniałym puchaczem! Odlatuj w noc! - krzyknął Piszczalka.

Potem rzekł cichutko do Janka:

- Czy słyszałeś, dobry bracie?

Rozdział dziewiąty

w którym niedźwiedź łowi ryby, a śmierć łowi dwóch przyjaciół

Było to nad podziw, jak szlachetny Piszczalka chudł w podróży; można było mieć nadzieję, że po pewnym czasie wydarzy mu się rzecz niebywała, o której nigdy marzyć nie mógł: że zobaczy własne nogi. Dotąd pod kopułą brzucha nigdy ich dojrzeć nie mógł. Ten wielki skwarek topniał szybko. Tłusta część miłego Piszczalki zostawała na rozmaitych drogach i bezdrożach, naprzód zaś dążyła postać wychudzona, pełna jednakże wzniosłego ducha. Kiepski diabelski praktykant zmieniał się szybko w młodzieńca, który bystrość łączył z dowcipem. Były to wprawdzie próby jeszcze nieudolne, lecz połączone z wielką nadzieją rozwoju. Wsłuchiwał się pilnie we wszystko, o czym rozprawiał Janek, a że posiadał uszy o niezwyklej pojemności, coraz jaśniej zaczęło świtać w biednej, poczciwej głowinie. Stawał się powoli żarliwym chrześcijaninem, słuchając chciwie tego, co mu o sprawach Boskich mówił jego nauczyciel. Kiedy jednak żarliwy uczeń, pragnąc jak najwspanialej uczcić Pana Boga, zaczynał śpiewać godzinki, piękny jego zamiar najdziwaczniejsze miewał skutki; ptaki przerażone odlatywały obłąkanym lotem, a zwierzę dziki, nie rozumiejąc, co tak beczy, huczy, piska, jęczy i pryca, pomykał w ostępy. Piszczalka mniemał w prostej duszy; że im głośniej będzie wrzeszczał, tym łatwiej usłyszą go na wysokim niebie, toteż głosem brzękliwym i popękany, drżącym od nadmiernego wysiłku, a cokolwiek beczącym z powodu przyrodzonych właściwości śpiewaka, atakował niebo z furią i zapamiętaniem. Uśmiechały się niebiosy, słysząc tę muzykę okropną, a jednak tak rzewną. I Pan Bóg uśmiechał się zapewne najśłodszym uśmiechem. Janek, który tego dziwnego towarzysza z całego serca pokochał, patrzył na niego rozrzucony, prosił go jednak czasem o mniejszą żarliwość w śpiewaniu.

- Cudny masz głos, Piszczalko - mówił - lecz nieco zbyt donośny. Czy nie myślisz, że śpiewasz zbyt głośno?

- Pragnę uczcić Pana Boga! - rzecze z dumą Piszczalka.

- Pan Bóg usłyszy, choćbyś w sercu tylko śpiewał.

- Tak, ale ja chcę także przerazić piekło!

- Czy być może!

- Tak; pomyśl sobie, jakie tam musi być zamieszanie, kiedy ja śpiewać zaczynam! Wiesz, o czym ja zawsze myślę? Myślę, że diabli dlatego nas nie gonią, bo się mojego śpiewania przelękli. Zawsze miałem głos dziwnie piękny, ale nie miałem sposobności, aby go wyćwiczyć. Czy chcesz, abym ci zaśpiewał?

- Owszem, ale nie teraz, ale kiedy nas wilcy opadną albo kiedy napotkamy obronne mury miasta, wtedy cię poproszę o jakąś pieśń wyborną. Wilcy uciekną w popłochu, a mury się rozlecą.

- Ach! ach! - wykrzykał Piszczalka w upojeniu. - To ja mam aż tak piękny głos?!

Tak oni sobie gadali, wędrując wciąż na zachód. Żywił ich las dobrotliwy i dla wszystkich łaskawy. Piszczalka odwykał powoli od piekielnych potraw i coraz rzadziej połykał ropuchę albo robaki, we wszystkim starając się naśladować ukochanego chłopca. Przywiązał się do niego rozpaczliwą miłością, jak do brata i jak do ojca równocześnie. Przywiązanie śmiesznego zwierzątka diablej struktury zmieniło się powoli w uczucie głębokie, silne i wdzięczne rodzącej się duszy. Zaczynał rozumieć, że ten chłopiec to nie tylko człowiek silny, którego opiece bezpiecznie powierzyć się można, lecz zarazem istota najczulsza, miłująca, ofiarna i wierna.

Toteż czasem spoglądał na niego z zachwytem i uwielbieniem, jak dobry Piętaszek na Robinsona Kruzoe, i już by tego nie mógł pojąć, żeby się mieli rozdzielić kiedykolwiek. Rozmyślał o tym Janek i mówił sobie w duszy:

- Co się też z tobą stanie, nieboraku, kiedy ja gdzie przepadnę? Jak sobie dasz radę, biedaczyno kochany, kiedy mnie kiedyś pochwyca i albo na śmierć powiodą, albo na sroższe niż śmierć skażą męczarnie?

Czynił tedy usilnie wszystko, by tę mizerną duszyczkę oświecić, a zahartować to kosmate ciało. Dusza dojrzewiała powoli, ciało natomiast hartowało się niezwykle szybko. Słońce ich paliło, a wiatr smagał; obmywały ich deszcze, a noce kapały ich w zimnym mroku, jak w owej piekielnej rzece, którą przebyli. Diabli nie byliby ich teraz dościgli tabunem goniący, choćby nawet krzyża nie było w pobliżu. Janek umiał biec jak jeleń, a obok niego gnał truchcikiem, kozią modą, neutrudzony Piszczalka, pokrzykując w biegu, w tym zapewne mniemaniu, że kto więcej krzyczy, ten dalej zabiegnie. Sypiała w wykrotach, w rozpadlinach lub w wysokiej trawie, czego Piszczalka dziwnie nie lubił, zaprawiając bowiem umysł w myśleniu wielkim, wygłaszał wtedy mądre, lecz pełne goryczy sentencje.

- Dziwne to jest - mówił, brodząc wśród bujnych traw - mam kozie nogi i niby jestem koza, a nie jestem koza!

- Ejże! - śmiał się Janek.

- Bo gdybym ja był koziego rodu, to bym przecie jadł trawę, a ja trawy nie jem.

- A szczaw lubisz?

- Lubię.

- To jednak masz w sobie coś z kozy.

- He? A przecież i ty jadasz szczawiowe liście.

- Zjadłeś mnie! - zaśmiał się Janek. - Może ty naprawdę jesteś lew!

- Jest to bardzo prawdopodobne - mówił z niezmierną powagą luby Piszczalka. - Czy chcesz, abym zaryczał?

W tej chwili ryk ogromny, jak grzmot, przewalił się powietrzem.

Oni przystanęli, a Janek położył palec na ustach. Zapadli w krze i szukali spojrzeniem, skąd się ryk potoczył.

Niedaleko w płytkiej wodzie stał zwierz ogromny i potwornie kudłaty, który coraz to się nachylał i rozgarniając olbrzymimi łapami wodę, coś z niej na brzeg wyrzucał. Musiała mu się podobać ta robota, bo ryknął po raz drugi, jakby z wielkiej kontentacji.

- Boję się! - szepnął Piszczalka. - Co to jest?

- Niedźwiedź... Nie bój się, wiatr idzie od niego... Byle nas tylko nie ujrzał...

- A co on takiego robi?

- Łowi ryby. To jest wielki majster do tej roboty... Ej, gdybyśmy tak dostali jedną rybkę!

- Czy to można zjeść?

- I ryby można, i niedźwiedzia można.

- Może bym ja podpełznął i zabrał mu jedną?

- Ani mi się waży!

- Czy on taki straszny?

- Kiedy głodny, to straszny. Ani byś zipnął, gdyby cię dopadł.

- To trzeba poczekać, aż odejdzie. Może co zostawi dla biednych podróżnych.

- Długo by trzeba czekać. On dopiero zaczął i będzie jadł śniadanie. Nie ruszaj się, aby gałązka jaka nie trzasnęła.

- A zjadłbyś rybę?

Janek spojrzał tylko beznadziejnym wzrokiem i pokiwał głową.

Nagle stało się coś strasznego. Janek zbladł i struchlał: oto Piszczalka, nabrawszy w piersi tchu, dobył z niej tak przeraźliwego głosu, zaśpiewał pieśń nabożna wprawdzie, lecz głosem lak opętanym, że popłoch powstał w naturze. Janek usiłował zamknąć mu usta ręką, lecz Piszczalka, jak gdyby wpadłszy w szaleństwo, wyciągał z brzucha tony tak przedziwne, jak gdyby je ciągnął za włosy, a one, odzierane żywcem ze skóry, beczwały strasliwym płaczem. Najstarsza koza świata, pozbawiona zmysłów i mająca cierń lub żarzący się węgiel w żołądku, nie zdołałaby beknąć przeraźliwiej.

Janek w nagłym przerażeniu spojrzał w stronę, w której sterczał niedźwiedź, usiłując dojrzeć,

czy już idzie na nich śmierć kudłata z czerwonym, szeroko rozwartym pyskiem. Spojrzał i własnym oczom nie wierzył. Niedźwiedź, jakby z nagła uderzony maczugą w łeb, zachwiał się, po czym ze śmiertelnym strachem w ślepiach szukał dokoła miejsca, skąd się dobywa ten głos, jakiego nigdy nie słyszał. A nie widząc opętanego śpiewaka, porażony natomiast śpiewaniem, któremu nie mogło zdzierżyć mężne serce niedźwiedzie, zakołysał się, niepewny, co począć, wreszcie, sromotnie okropnemu głosowi tył podając, padł na cztery łapy i uciekł w galopie.

Janek, jeszcze blady z przestachu, patrzył na Piszczalkę z oczarowanym podziwem, on zaś, nadobnie melodię nabożnej pieśni zakręciwszy, do ostatniego wyśpiewał ją słowa, po czym oczy przymknął w zachwycie i dopiero dech z siebie puścił, już niepotrzebny. Za czym nabrawszy powietrza zwyczajnym trybem, do poziomych, a nie do wzniosłych potrzebnego celów, gromko zakrzyknął:

- Ha, co? Wiedziałem ja, że pięknie śpiewam, ale tegom się nie spodziewałem!

Janek kręcił głową, ale na razie nic nie rzekł. W pierwszej chwili chciał stłuc Piszczalkę na kwaśne jabłko, ale jeszcze gniew mu nie zszedł z twarzy, a niepokój z serca, kiedy się już uśmiechnął.

- Słuchaj no, ty pogromco niedźwiedzi! Jeśli jeszcze raz uczynisz coś podobnego, to ci taką kurtę skroję, że cię babka rodzona nie pozna!

- Kiedy ja nie mam babki - rzekł Piszczalka żałośnie.

Janek odwrócił się nagle, aby nie pokazać roześmianej gęby, a chciał udawać gniew.

- Niech cię licho porwie! - krzyknął.

A Piszczalka w płacz.

- Czy ja źle uczyniłem? Przecie chciałem zjeść rybę!

- Rybę, rybę, a niedźwiedź mógł zjeść nas!

- Dlatego ja przecie śpiewałem, żeby nas nie zjadł.

- Jakże to?

- Chciałem go wrzucić i widać tak bardzo wrzuciłem...

Janek wybuchnął śmiechem.

- Wiesz, Piszczalko, co ci powiem. Oto większego cudaka nie było i nie będzie na bożym świecie. I to ci jeszcze powiem, że cię Kocham...

- Och! och! - wrzasnął Piszczalka - muszę ci za to zaśpiewać.

- Kocham cię - ryknął Janek - ale wyrwę ci język. Chodźmy łapać ryby! Muszę zobaczyć stworzenie, które nie śpiewa.

- To musi być bardzo smutne stworzenie! - bąknął Piszczalka nadąsany.

Przyglądał się jednak ciekawie zielonym, żarłocznopyskim szczupakom, wyrzuconym na trawę i ciskającym się wysoko.

- Niby krokodyl, a przecie nie krokodyl! - rzekł wreszcie.

- To tak jak ty: niby koza, a przecie nie koza - gadał wesoło Janek.

- Gadaj zdrów! A jak to się je?

- Można od głowy, można od ogona.

- To łap ty od ogona, a ja od głowy! Tylko czemu to się tak rzuca?

- Zaraz przestanie. Ale na surowo ryb jeść nie można; trzeba rozpalić ogień.

- Rozpalić ogień? Nie tak dawno jeszcze brałem suchy patyk do gęby i wyjmowałem płonący, ale od czasu, jakem się z tobą zadał, już nie umiem tej sztuki.

- Zbieraj gałęzie, a ja ci pokażę inną.

Uzbierali paliwo, znaleźli płaskie kamienie, a Janek sztucznym sposobem za pomocą próchna, mchu i suchych gałęzi rozniecił ogień; potem, jak kucharz doskonały, upiekł niedźwiedzi łup i zaczęli zajadać smacznie, po raz pierwszy od wielu dni. Piszczalka dokazywał cudów znamienitych, nie zwracając najmniejszej uwagi na ości.

- Na Boga! - wołał Janek - udławisz się!

- Czym?

- Tymi ości...

- Iii! - machnął ręką Piszczalka - jadało się rozżarzone węgle... Ale to smaczniejsze. Musimy my pójść za tym niedźwiedziem i kazać mu łapać ryby. Może go jeszcze dognamy.

- Tego, co raz słyszał twój śpiew, przyjacielu, już nie dognamy.

- To dziwne!

- Chyba, że zdechł niedaleko stąd - dokończył Janek.

- Dlaczego by zdechł tak od razu?

- Aby cię nie usłyszeć w życiu po raz drugi, piekielny śpiewaku.

Tak sobie miłe odrzucając słowa, odpoczywali w cieniu, nad wodą, aż przyszedł sen, towarzysz miły, i utulił ich w ramionach.

Dopiero kiedy słońce omdlało, moc swoją złocistą w południe uroniwszy, przyjacielska para ruszyła w drogę, w tę samą, co słońce zdążając stronę. Powietrze było parne i nagrzane, nasycone ostrym zapachem traw i omdlewającą, miodną wonią kwiatów. Koniki polne grały nieustannie. Czasem bystrym, spłoszonym lotem śmignął przez powietrze dziki gołąb. Wysoko, pod samym lazurem wisiał nieruchomo orzeł, jak gdyby, wbiwszy szpony w błękit, zaczął się na złotego ptaka - słońce. Cisza gorąca i do białości przed niedawnym czasem rozpalona zaczynała senne i znużone otwierać oczy, czekając tej przedwieczornej godziny, w której wszystko żywe wydaje westchnienie ulgi i kiedy zazwyczaj wiatr skądciś od mórz przylała. Wody płynęły leniwo, jak gdyby im ciężko było dźwigać na sobie srebrną słoneczną łuskę.

Wędrując tak tym światem pachnącym Janek zapominał, że kędyś daleko czeka na niego nieszczęście i zgryzota. Nie chciał myśleć o tym, pieszcząc w sercu tę wiadomość jedynie, którą mu przyniósł puchacz. Ojciec jego żyje, widzi, patrzy w niebo i nie przeklina go. Ach, nie tylko że go nie przeklina, lecz się za niego modli ta dusza najczystsza, to najśłodsze serce. Nie uwierzył tedy słowom, złym, jadowitym słowom, lecz poza nimi dojrzał miłość zboląłą, co musiała uczynić to, co uczyniła. Nie wiedział zapewne z jakiego powodu i w jakim celu, czuł może, że jakaś okropność zmieniła jego ukochane dziecko w żmiję. To było dla niego najważniejsze. Patrzył więc jasno na świat jasny i szedł śmiało, ogorzały, silny, promiennooki, uśmiechnięty. Patrzył wesoło na swego towarzysza, który na cienkich nóżkach dreptał przy nim, bajać trzy po trzy, wypytując o wszystko, jak ciekawe dziecko, ożywiony i szczęśliwy.

- Janku - powiada - mówiłeś mi, że czasem człowieka gryzie sumienie.
- Tak, luby Piszczalko.
- Teraz już wiem, dlaczego nie mogłem spać!
- Czemuż to?
- Bo mnie sumienie gryzło...
- To dziwne - rzekł Janek - przecież nie uczyniłeś nic złego.
- Uczynić, nie uczyniłem, ale mnie gryzło.
- Sumienie?
- Pewnie to się nazywa sumienie. Czy ja wiem? Zresztą zobacz, bo mnie jeszcze gryzie.
- Jakże ja to mogę zobaczyć? Sumienie gryzie duszę.
- To dziwne, bo mnie gryzie w lewą łopatkę.
- W łopatkę? Ach, drapichruście jeden, dam ja ci sumienie! To nie sumienie, to pchła.

- Mnie to też przychodziło na myśl - odrzekł Piszczątka z godnością.

- Bęcwał jesteś! - zaśmiał się Janek. - Ale trzeba nam będzie znaleźć miejsce na nocleg. Coś mi się zdaje, że w powietrzu pachnie burzą. Noc już niedaleko. Wejźmy w tę kotlinkę i tam zostaniemy do rana.

Kotlinka była jakaś smutna i pusta. Otaczały ją łyse głązy, z których deszcze zmyły urodzajną ziemię, tak że tylko tu i ówdzie zadzierzystymi palcami korzeni trzymała się ich uporczywie mizerna jakaś brzózka byle tylko ocalić życie. W kotlince było ciemno, choć noc dopiero pięła się na niebo po czubach drzew wysokich.

- Coś mi się wydaje, że są tu jakieś groty - rzekł cicho Janek.

- Lepiej jednak ich unikać - równie cicho powiedział Piszczątka - bo może zwierz dziki ma tu swoją kryjówkę.

Legli więc pod skałą na miękkich, srebrzystych mchach, jeszcze ciepłych po wielkim upale, a noc ich szybko nakryła jak czarnym, baranym kożuchem. Gwiazd nie było widać, bo chmury musiały zalać niebo.

- Strasznie parno! - rzekł chłopiec.

- A my wleźliśmy w piec, aby nam było cieplej - zaśmiał się cicho Piszczątka.

- Tu lepiej niż w szczerym polu, bo mamy przynajmniej osłonięte plecy. Noc krótka, za kilka godzin już nas tu nie będzie. Jak tu dziwnie ciemno; nie widzę własnej ręki. Cicho!

Zatrzymali w piersiach oddechy, pilnie nasłuchując.

- Coś mi się przesłyszało - mówił Janek szeptem - jak gdyby ktoś się ku nam zbliżał.

- Zdawało ci się. To albo sowa przeleciała ponad nami, albo obok przemknął jaki zwierz. Spać mi się nie chce!

- Spaliśmy w dzień, to ci się odechciało. I mnie też sen odleciał. Gdyby nie ta ciemność, to byśmy lepiej zrobili, idąc dalej.

- Czy my tak daleko będziemy szli? - pytał Piszczątka.

Chłopiec nie odpowiadał przez dłuższą chwilę.

- Ja muszę iść daleko - odrzekł wreszcie. - Opowiadałem ci, dokąd wiedzie moja droga.

- A może tam nigdy nie zajdziesz?

- Muszę!

- Rozumiem, ale co się stanie, jeśli dojdiesz do krańca ziemi i nie znajdziesz tam tego miasta? Przecie ziemia gdzieś się kończy.

Janek znowu nie odpowiadał, jakby coś ważył w myśli, po czym rzekł cicho:

- Coś bym ci powiedział, przyjacielu, gdybyś mi przysiągł, że nikomu tego nie zdradzisz.

- Komu ja mogę powiedzieć?

- Może się zdarzyć, że spotkamy ludzi. Czy przysięgniesz mi, że nigdy, aż do śmierci, nie powtórzysz nikomu wielkiej jednej tajemnicy?

- Nigdy i nikomu nie powtórzę! Raczej zginę, raczej wydam ostatnie tchnienie.

- Wierzę ci. Otóż słuchaj - mówił niemal szeptem - ziemia nigdzie się nie kończy. Tego jeszcze nikt nie wie na świecie, tylko mój ojciec o tym wie. Jest to tajemnica straszliwa... On mi powiedział, że ziemia jest okrągła, że jest to kula niezmierna, co w przestworzu wędruje... Witalis wie o tym od wielu lat, lecz lęk go napełnił, kiedy miał o tym ogłosić światu całemu. Zatrwożył się, czy się nie myli, więc jeszcze bada i docieka... A kiedy już będzie pewny, że ziemia jest okrągła... O Jezu!

Janek nie dokończył, lecz krzyknął głosem zdławionym „o Jezu!” i ucichł.

- Co ci się stało? - zawołał Piszczalka.

Zamiast odpowiedzi usłyszał szamotanie się i ostre poświsty oddechów. Wzrokiem, aż do bólu wysiłonym, ujrzał Piszczalka ciemniejsze od zawieszistej nocnej ciemności trzy lub cztery cienie, które się kłębiły nad Jankiem. Jakby go zmija dźgnęła, cisnął się Piszczalka w ciemny wir i chwyciwszy jakiś kształt ludzki przypominający nogę, zaczął ją kasać i gryźć. Serce zapaliło mu się płomieniem. Ktoś albo mordował Janka, albo go dusił, bo słyhać było jego rżenie. Piszczalka, życie własne za nic mając, walczył w ciemności jak szaleniec, zaniósłszy się równocześnie płaczem z wielkiej rozpacz.

- Janku! Janeczku! - wołał, wciśnięty między jakieś postaci zwinne i szybkie.

- Precz, kozo! - wrzasnął ktoś niewidzialny.

Ten ktoś równocześnie rozmachem nogi ugodził w brzuch Piszczalkę, który zaskowyczał tylko z nadmiernego bólu i, odpadłszy daleko, omdlał.

Cztery widma niosły Janka ostrożnie. Chłopiec nie dawał znaku życia i leciał im przez ręce. Przez szczelinę w skale zasłoniętą krzami weszli do ciemnej groty; szli jednak pewnie jak gdyby widząc w ciemności; mijali zawile korytarze, wciąż ku dołowi lekko opadające, jakieś sale w skale wykute, jakby katakumby, płaczące kroplami wody sączącej się z pował i ze ścian, aż doszli do komnaty obszernej, oświetlonej słabo oliwnymi lampami, ciężko dychającymi żółtym, jakby chorym światłem.

Pod jedną ścianą stał stół ogromny, w kamieniu kuty, a za nim siedziało siedmiu ludzi starych, z

sępimi twarzami. Z boku, osobną lampą oświetlony, siedział młodszy, z gęsim piórem w ręce, jakby gotowy do pisania. Starcy przybrani byli wszyscy czarno, głowy zaś mieli nakryte kapturami. Patrzyli spojrzeniem bladym, jak gdyby zblakłym w wiecznej ciemności. Usta ich wszystkich były zacięte, nielitościwe.

Ci czterej, co przynieśli Janka, przystanąwszy, zapytali starców spojrzeniem, co z nim mają uczynić? Ten, który w środku siedział, widać w zgromadzeniu najstarszy, wydał z siebie głos; był to głos krzekliwy, jakby żabi.

- Oprzyjcie go o studnię! - zaskrzeczał.

Janek, do trupa z bladości podobny, ciężko oddychał.

- Żyje? - zapytał najstarszy.

- Żyje, tylko nieco przyduszon! - odrzekli - ci, co go przynieśli.

- A pół człowiek, pół koza?

- Omdlały leży albo też zdechł.

- Dobrze, odejdźcie!

Pachoły zniknęły w zaczajonym mroku i odeszli, ciężko dudniąc po kamieniach.

Najstarszy, nie odwracając głowy, rzekł:

- Ty, który znasz sztukę pisma...

- Słucham cię, panie!

- Weźmij lampę i, obudź go płomieniem.

- Czy zaświecić mu w oczy?

- Nie, przypał mu stopy.

Całe zgromadzenie patrzyło szklanym, bladym wzrokiem, jak ten młody, odłożywszy pióro, ujął lampę i zbliżywszy się do Janka najpierw twarz jego oświecił, potem przyklękawszy żywym płomieniem zaczął mu palić stopy.

Chłopiec jęknął i otworzył oczy. Patrzył chwilę, jak gdyby nieprzytomny i jakby z upiornego obudził się snu. Nagły dotkliwy ból twarz mu wykrzywił, lecz chłopiec zaciął szczęki i tylko drżał, jakby na mrozie. Spojrzał dookoła, wodził powoli wzrokiem po strasznym zgromadzeniu i po sępich twarzach. Nagle wstrząsnął się i zaczął czegoś szukać niespokojnym wzrokiem.

- Zamordowali Piszczatkę! - pomyślał z rozpaczą.

Chciał się zerwać, ale nie mógł. Gardło miało obolałe i oparzone stopy.

Oni milczeli długo, przyglądając mu się wzrokiem natarczywym i złym; ten zaś, który dzierżył pióro, spoglądał na niego z ukosa, jak gdyby nie ważył się patrzeć wprost.

- Na męki mnie wezmą... - myślał Janek gorączkowo. - Boże, bądź miłościw duszy mojej!

Wtem najstarszy, brwi krzaczaste nastroszywszy, zagadnął:

- Czy możesz mówić?

- Mogę,.. - odrzekł Janek.

- Kto jesteś i dokąd zdążasz?

- Jestem podróżny, a idę bez celu... - rzekł Janek niepewnie.

Sępi starzec, znowu głowy nie odwracając, zaskrzeczał:

- Ty tam zapisuj wszystko. Za każde kłamstwo, które zapisane będzie, wytoczmy z niego krew.

- Zapisuję, panie!

- Wiedz - mówił najstarszy do Janka - że dawno mamy o tobie wieści. Długie lata żyłeś wspólnie z tym, co się zowie Witalis. Czy on jest twoim ojcem?

- On jest więcej niż moim ojcem.

- Czy ci strach pomieszał zmysły?

- On jest więcej niż ojcem, bo był dla mnie i ojcem, i matką.

- Czy wiesz o tym, że jest to człowiek obłąkany?

- On jest mędrcom .największym na ziemi! - zakrzyknął chłopiec.

- On jest obłąkany! - zaskrzeczał starzec. - Bracia moi, czy człowiek, co się zowie Witalis, jest obłąkany?

- Rzekłeś! rzekłeś! - zakrzyknęło sześć głosów. - On ma rozum pomieszany.

- Dlaczego ma rozum pomieszany, bracia moi?

- Bo wierzy w niebo! - zadudniło głosów sześć.

- Słyszałeś? - skrzeczał najstarszy. - Na świętego kreta! Ale to nie jest jego zbrodnia największa. Za to go czekają tylko męki, że zamiast czcić ziemię, czci niebo, które jest ułudą i igraszką obłąkanych oczu. Ty, który dzierżysz pióro! zapisz, że Witalis, szaleniec, skazany ma być na

męki.

- Kiedy, panie?

- Kiedy my zapanujemy na ziemi, a ten czas jest blisko. Napisz, że mają mu być wyłupione oczy, aby nie widział gwiazd, i język ma mu być odcięty, aby nie głosił ich przeklętej i fałszywej chwały.

Janek słuchał zdumiony, rozmyślając, czy dostał się w moc szaleńców, czy zbrodniarzy?

Spojrzał jednak bystrze, poczuwszy, że w nim wierci sępi wzrok najstarszego.

- Synu Witalisa, szaleńca! Czy mnie słyszysz?

Janek nie odrzekł, tylko zadrżał z gniewu.

- Powiadam tobie: nie ma nic, tylko jest ziemia! Ona jest nade wszystko, ona, która rodzi i zabija; w niej jest największa moc i ona płodzi złoto! Kto od niej odrywa spojrzenie, aby patrzeć na uludę, zwaną niebem, godzin jest śmierci. My, których tu widzisz, wierzymy w ziemię i w świętego kreta, bo w nim mieszka dusza ziemi. A dlatego jesteśmy potężni i najpotężniejsi! Nikt z nas nie widział nigdy słońca, które niech będzie przeklęte! Ziemia jest naszym bogiem! Za jej złoto zawojujemy świat! Wichrem ziemi zgasimy śmieszne ogniki zwane gwiazdami! Wyzwolimy duszę ziemi, która pożre słońce. Na świecie ma być ciemno, jak we wnętrzu ziemi! Na świecie ma być cicho jak we wnętrzu ziemi! Czy tak, bracia moi?

- Na świętego kreta, tak ma być! - wrzasło sześć głosów.

- A teraz - skrzeczał najstarszy - straszliwa jest sprawa z tobą i z szaleńcem Witalisem.

Janek zadrżał.

- Śmiertelna jest sprawa z tobą i z nim! Wyteż słuch i odpowiadaj! Gadałeś dziś w ciemności, a my przez ucho ziemi, w skałach drążone, słyszeliśmy każde twoje słowo.

- O Boże! - szepnął Janek.

- Mówiłeś, że Witalis odkrył, jakoby ziemia była okrągła, odpowiadaj!

- Mówiłem!

- Czy wiesz, że powiedziałeś najstraszliwsze bluźnierstwo, jakie tylko wypowiedziane być może?

- Nie wiem!

- Łotrze! - krzyczał stary sęp - jak śmiałeś to powiedzieć? Czy wierzysz w to szaleństwo, jakoby ziemia była okrągła?

- Wierzę!

- O! o! o! - zawyło sześć głosów.

A najstarszy, tocząc ślinę z ust, charczącym głosem mówił:

- Zanim zginiesz w mękach, dowiedz się, że ziemia jest płaska i pływa na niezmiernym morzu na grzbiecie ogromnego Lewiatana.

- Albo też żółwia! - zaskrzeczał jeden z sześciu.

- Tak, albo też żółwia, albowiem to jest jeszcze tajemnicą niezbadaną. Ten, co inaczej twierdzi, czyni zbrodnię. Ten zaś, który twierdzi, że ziemia jest okrągła, godzien jest śmierci po stokroć. Ziemia jest płaska!

- Skąd wy o tym wiecie? - zapytał Janek.

Zdumienie niezmierne na siedmiu starych ukazało się twarzach. Najstarszy uderzył chłopca spojrzeniem jak morderczym narzędziem.

- Bracia moi! - zakrzyknął - czy mam go zabić od razu?

Oni, przez chwilę pomyślawszy, rzekli:

Śmierć go nie ominie. Przedtem trzeba zabić w nim zwątpienie.

- Zabiję w nim zwątpienie! - rzekł najstarszy. - Niezmiernej doznasz łaski przed śmiercią - rzekł do Janka. - Bacz dobrze na to, co ci powiem. Oto ci, co chcieli zbadać tajemnicę nieba, budowali wieżę Babel, lecz niczego nie dowiedzieli, szaleńcy, bo nieba nie ma. Nie ma! słyszysz, nie ma! A my, którzy czcimy ziemię, zbadaliśmy tajemnicę ziemi, bo ziemia jest, bo jej możemy dotknąć. My wierzymy tylko w to, czego można dotknąć, głupcy zaś i obłąkani wierzą w to, czego nie ma. Wykopaliśmy studnię i przewierciliśmy cały krąg ziemi. Dotarliśmy aż do powierzchni tego morza, po którym ziemia pływa. Obejrzyj się!

Janek obejrzał się.

- Nachyl się i spojrzysz w głąb.

Nachylił się i ujrzał czarną, bezdenną czeluść studni, której dna nie mógł sięgnąć oczyma.

- Na kamieniu stoi wiadro pełne wody. Jest to woda z tej studni. Zaczerpnij jej rękoma i skosztuj!

Janek czynił to wszystko posłusznie.

- Jaki smak ma ta woda?

- Słony... - odrzekł.

- Tylko morska woda jest słona, przeto ta studnia sięga aż do morza, na którym pływa ziemia. Jakże teraz, głupcze sromotny, będziesz twierdził, że ziemia jest okrągła?

Janek spojrzał na niego poważnie i rzekł:

- Sam sobie przeczysz, stary człowieku!

Oni, dotąd spokojnie siedzący, porwali się z siedzeń, słysząc te słowa zuchwałe.

- Śmierć! śmierć! - krzyknęli.

- Dowiedz tego! - zawył najstarszy.

- Mówiłeś - rzekł Janek spokojnie - że ziemia pływa na grzbiecie Lewiatana albo żółwia...

- Tak jest od początku świata!

- Gdyby się wam tedy udało przewiercić płaskość ziemi, nie dotarlibyście do morskiej wody, tylko do grzbietu Lewiatana albo żółwia. Pod nim dopiero jest woda... Chyba, że przewierciliście też ciało Lewiatana albo skorupę żółwia.

Oni zatoczyli błędnie oczyma, a najstarszy krzyknął:

- Woda jest słona!

- Bo sól musi być w ziemi - odrzekł Janek. - Ziemia jest okrągła!

- Błuzni! błuzni! - zacharkotali.

Najstarszy podszedł blisko do Janka, który patrzył śmiało w jego wyblakłe oczy.

- Głupcem jesteś przeraźliwym i szalbierzem. Nauka nasza powiada, że to nie jest środek ziemi, ale jej koniec, i że w tym miejscu znajduje się szyja wielkiego i świętego żółwia, i dlatego z lewej i prawej strony jest puste morze, i dlatego sięgnęliśmy aż do jego wód. Czy wierzysz w to?

- Nie!

- Chłopcze! - zakrzyknął tamten - zginiesz!

- Za co mam zginąć?

- Bo przeczysz temu, co jest oczywiste i co jest prawdą jedyną.

W tej chwili zawrócił się do swojej braci i dziwnym coś z nimi gadał językiem. Oni pokrzykiwali i razem, z gwałtownością słów, ciskali z ust ślinę, wreszcie ucichli.

- Naradziłem się z największymi mędrkami ziemi - rzekł najstarszy - i oto, co ma się stać: jeżeli wskażesz drogę do Witalisa i jeżeli pomożesz nam spalić jego księgi, pójdziesz tylko w niewolę na wieczne czasy. Przedtem podpiszesz wyznanie, że ojca swojego uważasz za obłąkanego i że nigdy, do końca życia, nie będziesz twierdził, że ziemia jest okrągła. Czy to uczynisz?

- Nigdy!

- Bacz, co mówisz! Chociaż nie widzimy we dnie, lecz znajdziemy Witalisa. Będziemy ryć pod ziemią i w ten sposób dokopujemy się tam, gdzie on mieszka. Niedługo będziemy mieli taką potęgę, że łatwo to uczynimy. Wydaj go nam!

Janek pomyślał szybko, że te krety mogą ryć sto lat i nigdy tego nie dokażą. Na ziemię, widać, nie wychodzą, aby ich nie zabiło słońce. Mogą wychodzić tylko nocą, ale niedaleko. Wracać muszą pod ziemię, aby ich dzień nie zaskoczył. Uspokoił serce, ujrawszy ich nędzę.

- Wydaj nam Witalisa! - krzyczeli.

- Nie wydam go! - rzekł Janek.

- Mówimy tobie po raz trzeci: wydaj nam Witalisa i jego księgi!

- Nie wydam go!

Im mrok zły padł na twarz.

Najstarszy klasnął w ręce, aż się echo rozległo po pustych korytarzach. Głos ten, jak pies naszczekujący, przywołał czterech zbirów, którzy skłoniwszy się, czekali.

- Weźcie go! - rozkazał najstarszy - i głową na dół uwiążcie do koliska studni. Odejdziemy potem na nabożeństwo i spoczynek, a za godzin dwanaście powrócimy. Ty zaś, który dzierżysz pióro, zostaniesz na straży i będziesz słuchał, jeśli zechce w męce uczynić, czegośmy od niego żądali. Każdej zaś godziny będziesz go przypiekał lampą. Najpierw stopy, potem ręce a potem gorącej oliwy nalejesz mu do uszów i wylejesz mu na oczy, aby oślepnął. A co powie, zapisuj. A teraz pytam ciebie po raz ostatni: czy wydasz nam Witalisa?

Janek, blady jak zgłó, drżący i tchnieniem śmierci owiany, zachwiał się.

Nie odrzekł ani słowa.

Za chwilę poczuł, jak go krzepkie ręce wiążą dokoła.

Potem, zanim go mrok omdlenia ogarnął, ujrzał jeszcze, że ten, który pisał, zbliża się ku niemu z lampą i nachyla ją do jego oczów.

Rozdział dziesiąty

w którym szlachetny ratuje szlachetnego, a Piszczalka, we właściwe nie może utrafić porzekadło

Człowiek, który pisał, skraplał twarz Janka zimną wodą i pilnie w niego się wpatrując, mówił półgłosem:

- Obudź się, obudź, dzielny chłopcze... Masz sine, krwią nabiegłe pręgi od sznurów i - oby mi Bóg przebaczył - poparzone masz stopy. Z żelaza za to masz serce, którego nikt złamać nie potrafi. Ach, oddychasz... Jeszcze trochę wody na czoło i na skronie... Serce coraz równiej i coraz mocniej uderza... Będziesz żył, mały męczenniku.

Janek otworzył oczy i spojrzał błędnie.

- Gdzie ja jestem? - szepnął.

- Pod opieką dobrego człowieka - rzekł radośnie pisarz podziemnych ludzi.

- Więc mnie nie zamęczyli?

- Mało do tego brakowało... Tak, tak, usiądź i oprzyj głowę o zimny kamień cembrowiny. Dałbym ci się napić wody, lecz jest słońca... Co czujesz, mój chłopcze?

- Czuję męt w głowie i stopy mnie pieką.

- Ja je sam paliłem! - przejmującym, choć zduszonym głosem zawołał tamten.

Janek, teraz dopiero go poznawszy, zadrżał i wyciągnął oba ramiona, jak gdyby się chciał bronić przed widmem. On zaś rzekł:

- Nie bój się, dzielny chłopcze! Musiałem to zrobić, bo byliby mnie zabili, lepiej zaś, że ja to czyniłem oglądnie, niż oni, którzy by twoje nogi spalili na węgiel. Przebacz mi, bo mi się serce krajało. Teraz cię za to odjąłem od straszliwego koła i pragnę cię ocalić.

- Czy mogę ci wierzyć? - szepnął Janek.

- Czy masz co lepszego do wyboru? - mówił pisarz szeptem szybkim i gorączkowym. - Nie czas na to i nie pora, abym ci się wywodził i opowiedział ci historię moją. Wiedz, że szukając prawdy po całym świecie zawędrowałem i do tych kretów, do tych obłąkańców bez serca i bez sumienia. Wierzyłem w ich mądrość ciemną i dopiero dziś, słuchając ciebie, przejrzałem. Chciałeś umrzeć dla owej prawdy, którą ci odkrył Witalis, i to ją jasną czyni i taką świętą, że godną ofiary z mizernego życia. Wierzę ci, chłopcze! Objawienie jak błyskawica otwarło moje oczy! Więc cię ocalę...

- Sam zginiesz! - rzekł Janek.

- Choćbym miał zginąć! Ocalę cię i sam stąd ucieknę. Powiedz mi, gdzie mieszka Witalis, a zawędruję aż do niego i do nóg mu się rzucę, aby mi odkrył największą prawdę!

Janek spojrzał na niego ponuro.

- Zwodzisz mnie! - rzekł. - Chcesz, abym zdradził Witalisa, i niby ofiarujesz mi za to życie. Czynisz szalbierstwo z ich rozkazu.

- Chłopcze! - zakrzyknął pisarz gorąco - przysięgam ci na Boga!

- Na którego? Czy na tego, co mieszka w tych jaskiniach, na ich boga?

- Nie! Przysięgam ci na Boga Przedwiecznego, co mieszka na niebiosach. I to ci też przysięgam, że cię ocalę, chociaż nie powiesz mi nic o Witalisie.

Janek patrzył w jego oczy i ujrzał uczciwość.

- Wierzę ci - rzekł smutno. - Lecz choćbym pragnął, drogi do Witalisa wskazać ci nie mogę. Mógłbym ci powiedzieć za rok. Za rok, gdybym żył, sam bym cię zawiódł do najlepszego i najmędrszego z ludzi. Teraz mi nie wolno.

Śmierć posłałbym do niego, gdybym posłał kogokolwiek z wieścią o sobie. Nie pytaj, dlaczego. Ja ci z kolei przysięgam, że mówię prawdę. Jeżeli mnie ocalisz, ocalisz zarówno i jego życie, bo ja muszę dojść do kresu mojej drogi. Zapomnij o Witalisie! Dowiedziałeś się wielkiej tajemnicy. Ukryj ją na piersi i kiedy nikt nie dojrzy, badaj ją sam. Niedługo już zresztą, a Witalis całemu ją ogłosi światu. Czy mi wierzysz?

- Wierzę! Nie będę pytał. Ujdę stąd i powędruję do wielkiego miasta, dokąd dojdzie wieść o prawdzie Witalisa. Jesteś dzielny i silny! Wiesz, co czynisz... Niech ci Bóg błogosławi!

- Niech i tobie błogosławi!

- Czy możesz powstać? Oprzyj się na mnie... Mocniej, mocniej! Musimy uciekać...

- Schwytają nas.

- Może nie schwytają. Poszli na nabożeństwo, daleko stąd, aby czcić swojego świętego kreta. Wrócą dopiero za dwanaście godzin, a za godzin niewiele wstanie dzień. We dnie nie mogą wyjść na świat, a my będziemy daleko. W którą zdążasz stronę?

- Na zachód!

- Tedy ja pójdę na wschód i ślady będę zostawiał poza sobą, aby mnie gonili, a nie ciebie.

- Masz wielkie serce! - szepnął Janek gorąco.

- Ty masz większe! - zawołał pisarz. - Chodźmy!

- Czy straży nie ma?

- Nie. Oni słyszą tu wszystko, co się dzieje na powierzchni ziemi.

- Jakże wyjdziemy?

- Byle się doczołgać do wyjścia... byle do wyjścia...

- Czy jest jedno tylko?

- Jest drugie w przeciwną stronę, wiodące pod jeziorem, ale o wiele mil stąd. Tysiąc lat drażyli to przejście, więc jest długie. Oni właśnie w tamtym poszli kierunku... Uciekajmy!

- W imię Boże!

- Oprzyj się na mnie!

Janek syknął z bólu, na oparzonych stanawszy stopach.

Pisarz wziął jedną z lamp, mocnym płomieniem płonących, obejrzał się pilnie i szepnął:

- Teraz ani słowa! Musimy iść jak duchy... Nie oddychaj głośno...

Janek w gorączce podniecenia nie czuł dotkliwego bólu; usta miał spieczone i połowę życia oddałby za kroplę wody. Szedł jednak z rozpaczliwym męstwem, czujnie i lekko, jak kot. Pisarz szedł przed nim, osłaniając dłonią niespokojny płomień lampy. Czasem przystawał, tłumiał w sobie oddech i nasłuchiwał ze zmarszczonym czołem, i znowu szedł dalej. Błądził płataniną dróg, a niekiedy, lampę wysoko podniósłszy nad głowę, poznawał znajome groty i znowu ruszał pewnie przed siebie. Kiedy przeszli długą już drogę, z nagłą przystanął i położył palec na ustach. Janek przystanął za nim, jak cień, patrząc, co czyni. Pisarz przyłożył ucho do skalnej ściany i łowił jakieś oddalone głosy.

- Śpiewają! - szepnął najcichszym szeptem.

Janek przyłożył usta do jego ucha i nie głosem, ale tchnieniem głosu, zapytał:

- Czy daleko stąd?

Pisarz skinął głową i wskazał ręką za siebie.

- Cieszą się, że ciebie schwytali... Wielkie nabożeństwo... będzie długie... Naprzód!

W niektórych miejscach czołgali się, jak węże, aż doszli do obszernej groty. Pisarz podniósł lampę wysoko i ręką wskazał Jankowi dziwne urządzenia, maszyny jakieś, ogromne kadzie i drewniane rury.

- Akwedukty! - szepnął.

Podał lampę Jankowi, nakazał mu gestem milczenie, po czym począł ostrożnie, cichutko otwierać jakieś zasuwę. Łagodny szmer wody jednolitym spłynął dźwiękiem. Strumień szeroko rozlany zaczął płynąć w dół, więc w przeciwnym kierunku, niż ten, w którym oni uciekali.

- Teraz prędko stąd! - rzekł głośniej już pisarz.

Janek nie pytając o nic biegł szybko za jego chybotającym się cieniem. Zdyszani ubiegli szmat drogi, kiedy pisarz zatrzymał się znowu. Zaczął nasłuchiwać w milczeniu, potem się uśmiechnął. Z oddali dochodził szum.

- Usłyszają! - szepnął Janek.

- Ale wody nie przebrną - odrzekł pisarz.

- Co uczynią?

- Będą uciekali drugim wyjściem, jeśli zdążą. Możemy mówić głośno. Chodźmy!

Pięli się wciąż ku górze, wolniej już idąc, bo Jankowi coraz to brakło sił. Znowu jednak odpoczął, gdyż pisarz przystanął u wejścia do jakiejś bocznej pieczary i oświetlił ją od proga. Stały tam kadzie ogromne i brzuchate, beczki mniejsze i wiadra.

- Potrzyмай lampę! - rzekł pisarz.

Potem rozpiął czarny strój, oddarł nagłym ruchem płat koszuli, umoczył ją w cieczy, którą napełnione było jedno z wiader, i przytknął do płomienia lampy. Napojone olejem płótno zaczęło palić się żółtym, pryskającym płomieniem. On je cisnął w pieczarę, patrzył przez chwilę, wreszcie krzyknął:

- W drogę!

Znowu biegli szybko, a on mówił, chwytając podczas pędu oddech:

- Zapaliłem ich skład oliwy, która zaraz wyleje się ognistą rzeką... Byle nas tylko dym nie dognał, bo płonący strumień pocieże w dół... Najpierw woda, potem ogień... Myślę, że to wystarczy... Już niedaleko wyjście... Trzeba znowu iść ostrożnie, gdyż może być, że tam stoi strażnik.

- A jeśli stoi?

- Tedy umrze! Mam nóż...

- Nie zabijaj go! We dwóch damy mu radę, lecz po co zabijać?

Pisarz zwolnił kroku, przystanął i spojrzał Jankowi w twarz.

- Dziwny ty jesteś człowiek - rzekł powoli. - Dobrze, nie zabiję go.

- I słusznie. Byłeś u nich w gościnie.

- Nie. Byłem u nich w niewoli. Przez lat dziesięć badałem drogi, aby ujść. Cicho!

Zaczęli iść ostrożnie, jak koty. Powiał ku nim wiatr lekki, lecz świeży. Świat się ku nim zbliżał.

- Zgaś lampę! - szepnął pisarz.

Posuwali się w ciemności, rękoma dotykając ścian skały; wreszcie pisarz poczuł pod ręką mokre od nocnej rosy gałęzie. Nawykły do mroku, rozejrzył się baczenie.

- Nikogo! - szepnął. - Bogu Najwyższemu dzięki!

Nagle wpił się palcami w ramię Janka.

- Ktoś jęczy!

Janek wytężył słuch i zadrżał.

- Znam ten jęk! - szepnął. - Prędzej! Prędzej!

Pobiegł w ciemności, kierując się cichym skowytem, pełnym płaczu i żałości. Pisarz biegł za nim. Janek jak żbik rzucił się na jakąś mizerną postać na skale leżącą i chwycił ją w ramiona.

- Żyjesz? - krzyknął.

- Jeszcze żyję! - zapłakał Piszczalka. - Ale teraz mogę umrzeć, bo ty żyjesz...

- Kto to? - zapytał cicho pisarz.

- Towarzysz mój... biedaczyna... Pobili go ci z podziemi.

- I nie zamordowali?

- Nie! Myśleli, że to zwierzątko.

- Nie mogę go dojrzeć. Bóg z nim! I Bóg z tobą, dzielny chłopcze... Niedługo już świt. Ty idź na zachód, ja na wschód podążę. Uściskaj mnie.

Padli sobie w objęcia i ściskali się gorąco.

- Winien ci jestem życie - mówił Janek serdecznie - obym ci się mógł wywdziękzyć!

- Już mi się odwdziękujesz, bo winien ci jestem prawdę. Bądź zdrow, chłopcze z wielkim sercem! Obym cię jeszcze spotkał w życiu!

- Będę się modlił o to - rzekł Janek. - Lecz cię błagam, o przezacny! Nie mów nikomu o mnie! Nie powiadaj, że mnie widziałeś... Nie rzeknij nikomu, co się ze mną stało... Czy mi przyrzekasz?

- Na zbawienie duszy!

- Bóg ci zapłaci. A teraz pomóż mi podnieść tego biedaczynę i zarzuć mi go na plecy.

- Chłopcze! - zakrzyknął pisarz. - Co zamierzasz?

- Musimy uciekać przynajmniej do wschodu słońca, toteż uciekam.

- Z ciężarem na plecach? Siły cię uszły, nogi masz poparzone, pręgi na rękach i na nogach!... Padniesz! Zostaw go tu. Jeśli to nawet nie człowiek...

Janek położył mu rękę na ramieniu i rzekł miękko:

- Ocaliłeś mnie, narażając się na śmierć. Jakże mi teraz będziesz odradzał, abym nie ocalił towarzysza, który mnie miłuje?

- Trudno cię nie miłować... - odpowiedział tamten słowem gorącym.

- Więc mi go pomóż dźwignąć!

Pisarz podniósł Piszczalkę i zarzucił go na plecy Janka.

- Żegnaj! - zawołał.

- Niech ci Bóg da wszystko najlepsze! - odrzekł Janek z trudem i ciężko stąpając wsiąkał w ciemność.

Daleko na niebie blade ukazało się pasemko. Ujrzawszy tę pierwszą zapowiedź wschodu, Janek zawrócił na miejscu i poszedł w przeciwną stronę.

W mętnej szarości świtania ujrzał wyjście ze skalistej kotliny i szedł ku niemu uparcie.

Stopy piekły go coraz dotkliwiej, a śmiertelne znużenie szło za nim w trop, jak szakał za umierającym wielbłądem, co smutnymi i przedziwnie pięknymi oczyma kresu swojej ostatniej wędrówki wygląda. Kurczowo trzymał ręce Piszczalki, co cicho pojękując zwiślał mu z pleców jak wór.

Oddech Janka stał się świszczący, a wzrok mętniał.. Światło, gdzieś poza nim rodzące się, lało się coraz szerzej mleczną powodzią. On jednak szedł i szedł, bo chciał się doczekać słońca. Pozostawił za sobą w podziemiach i ogień, i wodę, ale dowierzał tylko słońcu. Gnał swoje biedne, zmęczone serce jak rumaka skrwawionego uderzeniami ostrogi. Jeszcze kilka chwil, jeszcze tylko kilka chwil!

Szedł jakimś stepem bujnym i kwiecistym; sponad stepu podnosiły się srebrzyste mgły, którymi

przez noc był nakryty. Widział przed sobą bezmiar, słyszał tylko dzwoniącą ciszę. Nagle w jej niezmierny spokój wplątało się cichutkie brzęczenie.

- Pszczoły! - pomyślał Janek. - Słońce wstało...

A wśród stepu, co się ze srebrnego uczynił zielony, ujrzał równocześnie wstęgę, co w dalszym ciągu była srebrna.

- Woda! - pomyślał żywiej.

Skierował się w tę stronę, przyklęknął i lekko zsunął Piszczalkę z pleców. Poczłogał się ku wodzie, nabrał jej w złożone dłonie i na kolanach powróciwszy przytknął dłonie do jego ust.

- Lepiej ci? - spytał.

- Lepiej... - szepnął Piszczalka.

-Uśnij! - rzekł krótko.

Znowu z trudem poczłogał się ku strumieniowi, nachylił się. i pił, pił bez końca.

Podniósł się, zatoczył i padłszy obok towarzysza usnął kamiennym snem.

Po kilku godzinach otworzył oczy i patrzył na świat takim zdumionym spojrzeniem, jakby go widział po raz pierwszy. Długo nie mógł pojąć, gdzie się znajduje. Przetarł oczy, spojrział jaśniej i w jednym mgnieniu przypomniał sobie wszystko.

- Byłem w piekle - rzekł - a teraz znowu jestem na świecie.

Nagle zaniepokoił się, gdyż Piszczalki przy nim nie było. Obejrzał się szybko, posłyszawszy srebrny plusk wody, i uśmiechnął się. Piszczalka przemyślnym sposobem, uczyniwszy w poprzek płytkiego strumienia zastawę z gałęzi i darni, łowił ryby niedźwiedzią modą.

- Hej, Piszczalka! - zawołał Janek - złowiłeś co?

Brzydka gęba Piszczalki stała się piękną, przystrojona w uśmiech szeroki i szczęśliwy.

- Złowiłem! - darł się wniebogłosy - rozpalaj ogień!

Cokolwiek zgięty we dwoje, od czasu do czasu chwytając się ręką za obolały żywot, Piszczalka przybiegł do Janka i rzuciwszy mu się na szyję, ścisnął go, płacząc i śmiejąc się równocześnie. Twarz mu pomazał łzami, całując ją nieustannie; potem do nóg mu się zwałił i całował jego ręce.

- Potem, potem wszystko mi opowiesz! - a teraz jeść! jeść!

Siedzieli wnet przy ognisku, a Janek opowiadał powoli, coraz to sobie przypominając

szczegóły ostatniej historii.

Piszczalka płonął, bladł i czerwieniał, wydawał dziwaczne okrzyki, łzami świadczył swoje rozrzewnienie, a gardłowym bulgotem swoją wściekłość, kiedy słuchał, jak palono stopy jego ukochanego Janka. Spojrzał na nie i nagle z rykiem rzuciwszy się, zaczął je całować.

Janek oderwał go z trudem i przytulił do piersi.

- Daj spokój - mówił wzburzony - daj pokój! Zagoi się prędko, tylko że ja nieprędko będę mógł chodzić... Będziesz musiał sam łowić ryby... Przestańże buczeć, bo cię wypatroszę jak kielbą.

- Ja już jestem wypatroszony! - zawołał cienko Piszczalka.

- Na Boga! opowiedz mi, co się z tobą działo?

- Źle się działo - mówił Piszczalka ocierając wielkie łzy. - Z tobą działo się strasznie, a ze mną źle. Ja nie nad sobą płaczę, tylko nad tobą...

- Uspokój się, mój drogi, przestań płakać...

- Ja bym chciał, ale te łzy same lecą... Już, już, zaraz będzie koniec...

- Gadajże, bardzo cię skrzywdzili?

- Bardzo! Dwa razy mnie skrzywdzili!

- Jakże to, więc wrócili po ciebie?

- Nie! Wcale nie wracali.

- A mówiłeś, że dwa razy!

- Dwa razy, ale za jednym zamachem. Bo najpierw ten plugawy zbój zakrzyknął: „Precz, ty kozo!” i to była pierwsza krzywda. Bo czy ja jestem kozo?

- Broń Boże!

- Więc czemu ten bałwan tak mnie nazwał?

- Czy ja wiem. Aha! ciemno było...

- Słusznie, bardzo było ciemno. Znacznie mnie pocieszyłeś!

- A jak cię skrzywdzono po raz drugi?

- Bardzo boleśnie. Ten pacholek ugodził mnie ciężkim butem, a tak wymierzył, że trafił prosto w żołądek.

- Biedaku!

- Pomyśl tylko: w żołądek! Tyle jest miejsc, w które mógł uderzyć, a ten bęcwał musiał właśnie utrafić w żołądek. Takie już moje nieszczęście... Czy uderzył cię już kto kiedykolwiek w żołądek?

- Nie, nigdy dotąd!

- W takim razie nie możesz tego nawet pojąć, jakie to jest delikatne miejsce. Ach, jeszcze jedno mi powiedz: prawda, że noc była strasznie ciemna i nie było gwiazd na niebie?

- Ciemno było, choć oko wykol, i ani jednej gwiazdy!

- Tak i ja myślałem. Pomyśl teraz, jakie to się dziwne dzieją sztuki! Kiedy mnie uderzono w żołądek, ja najwyraźniej zobaczyłem gwiazdy. Co wspólnego ma żołądek z gwiazdami? Czy ja jadłem gwiazdy? Nie, ja jadłem ryby. Czy to nie dziwne?

- Bardzo dziwne! A potem omdlałeś?

- To za mało powiedziane! Ja potem w ogóle umarłem.

- Przecie żyjesz!

- Temu nie przeczę, że teraz żyję, ale długi czas musiałem być umarły. Skała, na którą upadłem, i ja - niczym nie różniliśmy się od siebie, Można mnie było wtedy wziąć, usmażyć na węglach i zjeść, a ja byłbym niczego nie wiedział. Ożyłem wtedy dopiero, kiedy mnie znowu okropnie zabolalo.

- O biedaku, biedaku kochany! I cóż się z tobą działo?

- Chciałem podnieść się, ale nie mogłem. Znowu mi się uczyniło słabo, ale już nie umarłem, tylko omdlałem, bo szybko otwarłem oczy. I zacząłem szukać ciebie...

- Szukałeś mnie?

- A cóżeś ty myślał? Zniknąłeś tak, jakby cię ziemia pochłonięła.

- Tak też było naprawdę. Nie mogłeś mnie znaleźć.

- Ale szukałem długo. Zaciąłem zęby i rzekłem sobie: „Raz kozie śmierć!”

- Jak rzekłeś?

- „Raz kozie śmierć!” To bardzo śmieszne porzekadło.

- Bardzo śmieszne, istotnie, ale jeżeli gniewasz się, że cię ten zbój nazwał kozą, czemu siebie sam kozą, mianujesz?

- He? - zdumiał się Piszczalko. - Na myśl mi to nawet nie przyszło. Z tego można sądzić, jak uderzenie w żołądek miesza najmędrszemu nawet zmysły i zamąca rozsądek. Już nigdy nie wypowiem tego porzekadła!

- Wybornie! I co dalej?

- Poczłgałem się ku skałom i wołałem ciebie. Nikt nie .odpowiadał. Wtedy zacząłem, widać w zapamiętaniu, drapać skały i kęsać kamienie. One jednak nie drgnęły.

- I ja tak myślę! - rzekł Janek - ale zacny z ciebie przyjaciel.

- Nie wart byłbym świńskiego ogona, gdyby było inaczej.

- Cóż dalej?

- Co dalej? Coraz smutniej! Zlizałem odrobinę rosy z liści i czołgałem się we wszystkie strony, myśląc, że cię zamordowali i porzucili wśród skał. Powiedziałem sobie, że jeśli znajdę ciebie umarłego, to się też zabiję.

- Och, Piszczalko, Piszczalko!

- Nie byłbym postąpił inaczej.

- Szczęście to, że mnie znalazłeś!

- Rozpacz mnie potem zdjęła ogromna i nie wiedziałem, co czynić. Leżałem bolący wśród nocy i rozmyślałem.

- O czym to rozmyślałeś, przyjacielu?

- O smutnych rzeczach... Było mi wszystko jedno, bo wiedziałem, że umrę. Myślałem roztropnie, że kogo tak mocno, jak mnie, uderzą w żołądek, ten długo nie pożyje.

- A jednak żyjesz!

- Przy tobie to nie sztuka. Ciebie to się chyba i śmierć boi. A gdybyś mnie był tu nie przyniósł, to i tak byłbym się wykopyrtnął. Tam jednak, na tej skale, śmierć już była przy mnie. Nie ma co! Piszczalko - mówiłem sobie - trzeba będzie umierać na pęknięcie żołądka. Gonili my śmierć, a teraz dogoniła ona nas! Przypomniało mi się inne porzekadło, któregoś ty mnie nauczył.

- Które to?

- Powiedziałem sobie: „Miły Piszczalko! Przyszła koza do woza!”

- Co to miało oznaczać?

- Jak to co? To, że przyszedłem do śmierci, aby się poddać, niby że koza do woza.

- Znowu się mianowałaś kozą!

- Bij mnie! Uduś mnie! - zakrzyknął Piszczalka. - Czy widziałeś większego ode mnie głupca?

- Widzieć, nie widziałem, ale może się zdarzyć większy - śmiał się Janek.

- Wszystkiemu winien obolały żołądek. Nie może inaczej być!

- A czy w głowę nikt cię nie uderzył?

- W głowę nie!

- To już chyba naprawdę musi być winien żołądek albo też u ciebie i głowa, i żołądek niewiele się od siebie różnią.

- Żołądek jest zawsze ważniejszy! - rzekł z wielką powagą Piszczalka.

- A to jakim sposobem?

- Takim sposobem, że ja mogę choćby przez dziesięć dni o niczym nie myśleć, a jak przez jeden dzień nie zjem czego, to mnie mdli i życie ze mnie ucieka.

Janek aż się położył ze śmiechu na trawę.

- Czemu się śmiejesz? Ja się nad tym głęboko zastanawiałem i to musi być prawda. Pomyśl tylko: teraz mam w brzuchu ryby i jest mi dobrze, a w głowie nie mam ryb i nic mnie to nie obchodzi.

- Piszczalko! mylisz się - wołał Janek - ty i w głowie masz ryby. Ty zawsze miałeś w głowie ryby i będziesz je mieć zawsze.

- Ej! - dziwił się Piszczalka - czy to źle, czy dobrze?

- Dobrze, dobrze! Za to w sercu masz czyste złoto. A bogdajże cię! Chodź, niech cię uściskam, chłopcze złoty!

I znowu ściskali się gorąco, szczęśliwi, że są razem, -najwięksi na świecie przyjaciele.

Wielką potem uczynili naradę, co im czynić należy.

- Iść nie mogę - mówił Janek - póki nie wydobrzeję. Trzeba będzie kilka dni popasać, a ja się boję, żeby nas tu nie wytropili ci spod ziemi.

- Obyś nie powiedział w złą godzinę! Pluń trzy razy!

- Zrób to za mnie, ty poganinie. Wiesz, Piszczalko, co zrobimy?

- Nie wiem; żołądek mnie gniecie, więc myśleć roztropnie nie mogę.

- Spójrzysz no tam na prawo.

- Patrzę, ale nic nie widzę. Aha! wyspa.

- Tak, mała wysepka. Woda szeroko rozlała, ale dostać się tam można. Gdybyśmy się tam dostali, można się ukryć.

- Myślisz, że nas nie znajdą?

- Schowajmy się tak, aby nas nie dostrzegły nawet jastrzębie.

- A jeżeli oni widzą lepiej niż jastrzębie?

- Oni widzą tylko w nocy, będziemy więc spali we dnie, a czuwać będziemy w nocy. Poza tym woda nas ochroni.

- Dobrze to wymyśliłeś!

- Bo mnie nie bili w żołądek, tylko chcieli usmażyć moje nogi. Powlecmy się, Piszczalko, na nowe leże. Tylko co my tam będziemy jedli?

- To, co tu: ryby.

- Jeśli się to rybom spodoba, nie mam nic przeciw temu.

Przeprawiwszy się jednak z wielkim trudem przez rozlewisko na wysepkę, znaleźli tam i owoce dzikie, i szczaw. Do zachodu słońca Janek, nie mogąc ustać na poranionych stopach, leżał na trawie jak wódz złożony chorobą, a dzielny rycerz Piszczalka budował wedle jego poleceń szałas z gałęzi i sitowia. Wesoły był i szczęśliwy. Pod wieczór, kiedy najlepsza ku łapaniu ryb pora, Piszczalka, sporządziwszy wedle wskazówek mądrego chłopca przemyślny kosz z wikliny, zanurzał go w chłodnej wodzie i szybko na wierzch dobywał.

- Jest co? - wołał Janek.

- Była jedna, ale wyskoczyła. Uciekła koza z powroza!

- Czy to nowe o kozie przysłowie?

- Tfu! - splunął Piszczalka pełen gniewu. - Czy ta koza dziś się ode mnie nie odczepi?

- Lgnie swój do swego!

- Jest ryba! - ryknął w tej chwili Piszczalka.

- Schowaj na jutro - polecił mu Janek.

- Na jutro? Czemu to na jutro?

- Dzisiaj jedliśmy do syta. Zresztą masz, przyjacielu, obolałe brzucho.
- Taka mała rybka chyba nie zaszkodzi zresztą już mi dobrze.
- Ryba ma ze dwa łokcie!
- To zjemy połowę...
- Ani nawet ogona.
- Ona przez noc ucieknie, to mądra sztuka!
- Schowaj ją w koszu, daleko od brzegu, to nie ucieknie.
- Będzie się rzucać i nie da nam spać!
- Tym lepiej, bo my nie będziemy spali.
- Prawda, ale to jakaś żarłoczna ryba, patrz, jakie ma zęby!
- To cóż z tego?
- Ugryzie mnie albo ciebie.
- Piszczalko, czy chcesz, abym ci oberwał jedno ucho?
- Co to ma wspólnego z rybą?
- Nic nie ma wspólnego, ale ci je oberwę, abys przestał gadać o tej rybie. A najlepiej będzie, jeśli ją wrzucę do wody.
- Nigdy! - ryknął Piszczalka - nigdy! Niech już lepiej zostanie na jutro. Niech już zostanie!
- Nareszcie!
- A szkoda, taka piękna ryba...
- Znowu zaczynasz?
- Słowa jednego już nie powiem. Kiedy jestem bardzo głodny, nie lubię mówić. Gdybyś mi pozwolił zjeść rybę, to bym gadał, ale że nie pozwalasz... Już, już nic nie powiem. Co mam teraz robić?
- Noc zapada, więc będziemy czuwali do świtu. Nasłuchujmy pilnie i patrzmy dookoła. Noc jasna się zapowiada, a wody są lśniące. Musimy tak zapaść w krze, żeby nas oko żadne ujrzyć nie mogło i ucho usłyszeć. Ani pary z gęby! Zrozumiałeś, Piszczalko?
- Co nie mam zrozumieć? Mądrej kozie, dość dwie... Tfy! czy ja zwariowałem z tą kozą? -

chciałem rzec: mądrej głowie dość dwie kozie... Gwałtu, ratuj! Rozum mi się pomieszał!

- Cicho, na Boga! Czego się drzesz?

- Powiedz, jak chciałem powiedzieć?

- Mądrej głowie dość dwie słowie.

- To, to właśnie chciałem, powiedzieć. O ja nieszczęśliwy!

- Rozmyślaj o tym, tylko nie krzycz. Wyteż oczy i uszy! Gdybyś dojrzał niebezpieczeństwo, nie mów ani słowa, zaklinam cię, tylko mi daj znak w milczeniu. Rozumiesz?

- Rozumiem! Mądrej głowie... Nie, dalej nie powiem.

- Tym lepiej. Usiądź tu, w tym gąszczu. Ja ukryję się opodal. O, jaka noc spokojna i śliczna! Daj, Panie Boże, aby spokojnie przeminęła. Gwiazdy wychodzą na niebo, a na niebie ani chmurki. Noc krótka. Odwagi, Piszczalko!

- Ja się nie boję! - ozwał się szept spomiędzy krzów.

- Siedzisz?

- Siedzę!

- Patrz i słuchaj!

- Mam sto oczów i tysiąc uszów.

- Twoje uszy starczą za więcej nawet. Ja idę w tamte chaszczę...

Noc się uczyniła błoga i słodka: aby tym dwom biedakom nie było smutno, odbijała we wodzie gwiazdy i kapała w niej czarne cienie drzew. Wiatr zapadł w szuwały i spał wśród nich, nie oddychając. Zapachniał rozgrzany step i też zasnął w wielkim spokoju, w mrok się owinąwszy, jak w czarną chustę. Sowa, szpieg płomienooki, przeleciała czasem, śpiące powietrze zaledwie puchem skrzydeł musnąwszy. Granatowe niebo pochyliło się nad ziemią cicho śpiącą i patrzyło w nią milionami złotych oczów dobrotliwie i łaskawie.

Janek poczuł wielką ulgę i zaszyty w krzaki czuwał. Rozmyślał o tym, co mu się minionej wydarzyło nocy, i czasem aż zadrzał; odganiał jednak od siebie wszystkie myśli, aby nie patrzeć w to, co minęło, lecz czujnym spojrzeniem widzieć to, co może nadejść. Przez rozbłysk wody widział odległy brzeg, na którym prócz nocy nie było nikogo. Słyszał jedynie znajome szmery i szelesty, którymi ona jedynie przemawia, i Było tak cicho, że słyszał też stuk swojego serca.

Godzina jedna przeszła wśród gwiazd i odeszła we wieczność. Przeszła za nią druga, jeszcze smutniejsza, że odchodzi.

Janek nie zmrużył nawet powieki. Leczyła go rzeźwość nocy, a jej chłód, od wody idący, kołował ból jego poparzonych nóg.

Nagle drgnął.

Jakiś odgłos niezwykły, potem jakieś splątane słowa zmąciły ciszę nocy. Zaczął nasłuchiwać i serce w nim zamarło.

- Duszą go! - pomyślał z rozpaczą.

Podniósł się bez szelestu i począł się czołgać jak wąż w tę stronę, w której czuwał Piszczalka. Usłyszał najwyraźniej znowu jakieś zdławione słowa i jakby charkot ściskanego za gardło człowieka. Pełznął szybko, gnany niepokojem, ze ściśniętym sercem. Nie zdradził się nawet szelestem. Rozumiał, że jeśli Piszczalka wpadł w potworną moc, już go nie uratuje, lecz chce przynajmniej poznać niebezpieczeństwo. Czy to oni, ci spod ziemi, czy wróg jakiś nowy, nocą również napadający?

Zbliżył się do gęstwiny krzaków i zaczął nasłuchiwać.

- Tak! to głos Piszczalki. Coś mówi. Ale co? Ale z kim?

Wyteńczył słuch i wreszcie ułowił niewyraźne słowa.

- Raz kozie śmierć! - gadał Piszczalka.

A zaraz potem rozległo się chrapnięcie wielce melodyjne, połączone z wcale przeraźliwym świstem przez nos.

Jankiem zatrzęsała złość, jak czasem wiatr olszyną zatrzęsie.

- Śpi, szelma, i gada przez sen! - pomyślał. - Poczekaj, dam ja ci kozę!

Podpełznął ku niemu i już, już miał go uszczypnąć w kosmatą nogę. Kiedy jednak dojrzał tego biedaczynę zwiniętego w kłębek, do obolałego brzucha przyciskającego rękę, znużonego ponad miarę i śniącego o tym pewnie, że go idzie ratować, poczuł Janek wilgoć w oczach.

Położył mu rękę na rozpalonym czole i uśmiechnął się przez łzy.

- Spij, śpij, sieroto - szepnął. - Fan Bóg czuwa nad nami... Biedaczysko kochane... Ot, widzisz, Piszczalko: przyszła koza do wożą i zasnęła.

Śmiejąc się cichutko, odbył powrotną drogę na swoje stanowisko i pełnił straż za dwóch.

Zasnął dopiero po wschodzie słońca. Ledwie jednak godzinę jakąś odpoczął, poczuł, że go ktoś budzi. Zerwał się i chciał krzyknąć, lecz Piszczalka położył mu rękę na ustach i dawał znaki, aby milczał.

- Co się stało - zapytał go Janek oczyma, widząc jego bladość i przestkach.

Piszczalka, kuląc się wśród krzaków, pokazał coś ręką w oddali.

- Idą! - szepnął najcichszym szeptem.

Przez gęstwę liści ujrzeli kilka postaci.

- To oni! - szepnął Janek.

Stepem szedł korowód nieszczęśników, steranych i wymizerowanych. Na czarnej odzieży i na rozmierzwionych włosach mieli ślady spalenizny; w rękach dzierżyli 'długie kije, szukając nimi drogi, jak ślepcy. W świetle słońca nie byli groźni, ani nie wyglądali strasznie. Zmierzali w przeciwną stronę, kierując się ku stepowi, jakby szukając nowej kryjówki.

Nagle ten, co szedł na samym przodzie, potknął się i krzyknął, wpadłszy w rozpadlinę. Irani przystanąwszy, nasłuchiwali. Tamten zaczął mówić coś wielkim charkotem i wskazywać na ziemię. Wtedy oni odrzucili kije i włącząc w rozpadlinę, zaczęli w niej gorączkowo grzebać rękami.

- Co oni robią? - spytał szeptem Piszczalka.

- Włączą znowu w ziemię, jak ślepe krety. Głupcy nieszczęśliwi! Patrzą w słońce i nie widzą go...

Tamci jednak zaczęli wieść spór, bo pomieszali chrapliwie głosy, czegoś sobie dowodząc, a wreszcie jakby osądzivszy, że w zwyczajną wpadli rozpadlinę, po omacku znaleźli kije i poszli dalej.

- Odchodzą! - krzyknął Piszczalka.

- Idą szukać jakiejś kreciej dziury, aby się skryć pod ziemią. Szczęśliwej drogi!

Patrzyli za nimi długo, aż tamci zniknęli na widnokręgu.

Piszczalka podskoczył.

- Ha! - zakrzyknął radośnie - nareszcie będę mógł zasnąć następnej nocy!

- A tej nocy nie spałeś?

- Oka nie zmrużyłem... Pilnowałem ryby!

- Pilnowałeś ryby? Dawajże ją czym prędzej. Raz rybie śmierć!

-Tak się nie mówi!

- A jak się mówi?

- Mówi się: „raz...” A właśnie, że nie powiem! - krzyknął rozsierdzony Piszczalka.

Rozdział jedenasty

w którym sztuczni ludzie usiłują zbadać wnętrze piersi żywego człowieka

- Śmiesznie to jest bardzo - rozprawiał Piszczalko wędrując na zachód - że my tak wciąż gonimy słońce. Bardzo nam dobrze było na tej wysepce. Odkarmiłem się cokolwiek, a tobie wydobrzały nogi. Czy można cię prosić, abys nie stawiał takich wielkich kroków?

- Spieszno mi, Piszczalko - odrzekł Janek - zmitrężyliśmy parę dni.

- A czy ty je liczysz?

- Tak. Wiem dokładnie, ile godzin upłynęło od chwili, kiedy opuściłem dom. I wiem - dodał smutno - ile jeszcze dni jest przede mną.

- Całe szczęście, że jakoś idziemy...

- Wciąż nam jednak coś staje na drodze.

Cudem jakimś udało się nam dotąd, lecz czy się powiedzie w przyszłości?

- Gdybyś usłuchał mojej rady, toby się powiodło.

- A jaką ty masz radę?

- Jeszcze jej nie mam, ale wciąż potężnie rozmyślam i wreszcie ją znajdę.

- Obawiam się, abys jej nie znalazł za późno.

- Przychodzi mi do głowy na ten przykład, że zamiast wędrować piechotą, powinniśmy jechać na koniu. Czy to nie jest wyborna rada?

- Istotnie, rada jest wyborna, ale skąd wziąć konia?

- O tym nie pomyślałem...

- Znałem ja kiedyś konia - mówił Janek - który był najpiękniejszym i najwierniejszym na świecie. Zwał się Huragan, a tak był mądry, że nie wiedziałeś, człowiek to czy zwierzę.

- Czy znał ludzką mowę?

- Rozumiał ją wybornie, sam jednak nigdy nie gadał. On mnie znalazł w lesie i z nim się potem chowałem. Dobrze to było, najlepsze konisko...

- Cóż się z nim stało?

- Zakończył życie, kiedy byłem mały. Serce mi się kraje, kiedy go wspomnę.

- A czy nie miał rodziny?

- Rodziny? Skądże ja mogę o tym wiedzieć?

- To szkoda, bo gdybyśmy teraz spotkali jakiego konia, można by go zapytać: - „Czy nie jesteś, szlachetny koniu, siostrzeńcem albo pociotkiem Huragana?” Można by szczęśliwie trafić, a wtedy miłe to zwierzę, zamiast wierzgnąć nieprzyjaźnie, macha ogonem i powiada: - „Mieliśmy babkę wspólną - siadajcie, panowie, mój grzbiet jest do waszego rozporządzenia!” - Czego się śmiejesz? Wszystko się może przydarzyć!

- Wybornie! Patrz, nadpływa chmura mająca kształt konia. Zakrzyknij no, Piszczalko, i zapytaj, czy to nie wuj Huragana?

Piszczalka skierował wzrok ku niebu i nagle przystanął.

- Wuj czy ciotka, wszystko jedno, coś mi się jednak zdaje, że cokolwiek jest ich zbyt wiele. Patrz, jakie chmury wałają! Nie lubię burzy, wrzasku z tego wiele, a wody jeszcze więcej. Dobra jest tylko taka woda, w której pływają ryby, a na co komu inna? Słyszysz, znowu huczy!

Na świecie pociemniało nagle, jakby strach padł na całą ziemię. Drzewa skuliły się w sobie i w strachu wielkim nie śmiały wydać nawet szmeru, a liście drżały bezgłośnie. Nagle drzewa, jak gdyby widząc, że czarna na nie wali się zagłada, uderzyły w płacz i zaczęły łamać z rozpacz ramiona. Wiatr, który gnał przed burzą, jak szakał przed królewskim lwem, co ma grzywę z chmur, a wzrok z piorunów - biegł ze skowytem - i ujadaniem, jakby nawołując, aby wszystko, co żywe, zeszło z drogi, bo tędy będzie toczył się lew ryczący.

Janek obejrzał się niespokojnie, a Piszczalka ze strachem.

- Trzeba się gdzieś schronić! - krzyknął, aby przekrzyczeć świst wichru.

- Ale grzmi! - wołał Piszczalka, przyśpieszając biegu.

Biegli bezdrożem ku czerniejącej w oddali wysepce drzew. Za nimi już gniew burzy rozsrożył się, a wichr, oszalały jak goryl w puszczy, chwycił drzewa za czuby i wrywając je z ziemi, włókł za sobą. Potem je ciskał, chichocąc, że niewinnym krzywdę śmiertelną wyrządził, i z diabelskiej uciechy padał gorącym pyskiem na ziemię, gryzł ją zębami i pazurami drapał, aż wstała chmura kurzawy. Musiał dojrzeć wreszcie dwie ludzkie istoty, biegnące co siłą, bo klasnął rozgłośnie w niezmierne dłonie, zawył przeciągle i walił się na nie z rykiem. W tej chwili Janek, potknąwszy się o jakiś korzeń, zwałił się twarzą na ziemię. Usłyszał pomieszany ze świstem jakby daleki krzyk Piszczalki. Janek wpił ręce w trawę i przyłgnąwszy do struchlałej ziemi, mocował się z wichrem, który się nad nim przewalał, kiedy zaś, uniósłszy nieco głowę, spojrzął przed siebie, serce w nim zamarło. Wichr, zwinąwszy się w trąbę, dopadł Piszczalki, ułapił go, opasał i ze śmiechem okropnym uniósł w górę na sto łokci. Podniósł go potem, spadającego znowu w powietrzu pochwycił i rzucał

nim, jak piłką. Grzmot huczał, wiatr ryczał, Piszczalka piszczał, tylko Jankowi odebrało mowę. Małe psy, za wielkim brytanem wichru goniące, naszczekując, zasypały mu oczy piaskiem i bryzgami ziemi, tak że i widzieć nic nie mógł.

- Już po Piszczalce! - myślał z rozpaczą. Chciał wstać, biec i ratować, lecz kiedy tylko ruch uczynił, wiatr, jak tryk oszalały, ducnął go w plecy i znowu zwałił na twarz. Potem go burza siekła biczami dżdżu, ale przez krótką tylko chwilę, jakby nie chcąc się zatrzymywać nad mizerakiem, aby go dobić.

Kiedy się uciszyło i lew ryczał wśród chmur na dalekim widnokręgu, podniósł się pobity i ogłuszony i ledwie mogąc ustać na nogach szedł, szukając śmiertelnych szczątków wiernego Piszczalki. Sam nie płakał, ale serce w nim pełne było szłochu. Przyszło to wszystko tak niespodziewanie, że pojąć nie mógł, jak i kiedy stało się to wszystko? Nie upłynęło jeszcze pół godziny, jak Piszczalka bredził wesoło, idąc przy jego boku. Leży gdzieś teraz biedaczysko, prasnięty o ziem, rozbity na miazgę, leży bez ducha, chłopczysko ukochane i najmilsze. Jankowi pociemniało w oczach, choć już słońce, we łzach niebieskich obmyte, jasno świeciło. Wlókł się w tę stronę, w którą burza gnała cwałem; zaglądał we wszystkie wykroty, pobitą trawę rozgarniał i szukał, szukał.

- Już go nie zobaczę! - rzekł do siebie głośno.

Nie miał już żadnej nadziei, lecz przyłożywszy dłonie do ust, zakrzyknął:

- Piszczalko! Piszczalko!

Nikt mu nie odpowiedział.

Powlókł się do owych drzew, w których gęstwinie chcieli się schronić przed burzą.

- Tam umrę chyba! - pomyślał.

Nagle przystanął i znieruchomiał, jak gdyby któryś z piorunów, co się w dal potoczyły, powrócił i trzasnął w niego z jasnego nieba.

- Ratunku! ratunku!

- Piszczalka! - wrzasnął. Janek i pędem pobiegł ku drzewom.

Począł hukać i nawoływać, gorączkowo rozgarniając stłamszone przez burzę poszycie lasku. Piszczalki nigdzie nie było.

- Gdzie jesteś, Piszczalko, gdzie jesteś?

- W niebie! - jęknęło coś ponad nim.

Janek zadarł głowę w górę i ujrzał przyjaciela, wplątanego między gęste gałęzie wysokiego drzewa.

- Żyjesz? - krzyknął w zdumieniu.

- Nie bardzo... ratuj!...

Janek, szalony niemal z radości, zaczął wspinać się na drzewo i dotarł wreszcie do przyjaciela. Piszczalka mało przypominał dawnego Piszczalkę: twarz miał pełną krwawych pręg i zadrapań, włosy w nieładzie, a ręce srodze posiniaczone. Z wielkim trudem zniósł go Janek na plecach, a że wilgoci dokoła było pod dostatkiem, obmył starannie wszystkie jego kończyny, wspinałomyślnie wliczając w to i głowę. Piszczalka patrzył z rozkoszą na Boży świat, badając ostrożnie, czy ręce i nogi ma całe. Upewniwszy się o tym, powrócił triumfalnie do życia, zapewniając przyjaciela, że zbyt wielkiej nie doznał krzywdy.

- Jakże się uratowałeś? - pytał go Janek czule.

- Zaraz ci opowiem, tylko wypuszczę ze siebie strach... Nigdy jeszcze nie bojałem się tak, jak przed chwilą.

- Żywcem leciałeś do nieba!

- Ja też tak myślałem, kiedy tam jednak zobaczyli mój śmieszny pysk, musieli mnie zapewne wylać od razu razem z deszczem.

- Ależ leciałeś!

- Widziałeś? - pytał Piszczalka z dumą.

I zaraz się puszyć zaczął.

- Musisz przyznać, że nie każdemu się wydarzy, że sobie po powietrzu lata.

- Pewnie, pewnie...

- Prawdę mówiąc, mogłem sobie tak cudownie wędrować przez cały świat i gdyby nie ty, byłbym poleciał.

- Ejże! To czemuś tak krzyczał?

- Ja krzyczałem? Zapewne te piorun zahuczał, a ty mniemałeś, że to mój głos. A jeśli krzyczałem, to z uciechy. Nie przypominam sobie jednak, abym krzyczał.

- Ja dziwię się, że w ogóle cokolwiek pamiętasz.

- Wszystko pamiętam! Najpierw to mnie podniosło tak wysoko, że pod sobą widziałem błyskawice.

- Piszczalko luby, łąać możesz, ale w miarę.

- Może odrobinę przesadzam, ale obok to widziałem. Potem dopiero spadłem niżej, to prawda, ale mi się żal zrobiło, więc znowu pofrunąłem wysoko.

- Czyżby?

- Zapytaj piorunów! - zawołał Piszczalka z niezmierną dumą.

- Uważaj, aby cię który z nich nie trzasnął za to, że tak łżesz!

- Pluń za siebie trzy razy, mówię ci, pluń trzy razy! - krzyczał Piszczalka.

- I co było dalej?

- Dziwne rzeczy. Rozejrzałem się po okolicy, ujrzałem ciebie pod drzewami...

- Ja wcale nie byłem pod drzewami!

- Nie byłeś? To nadzwyczajne. Musiałem tedy widzieć kogo innego.

- A kozę widziałeś pod drzewami?

- Kozę? Nie, nie widziałem.

- Słusznie, bo jej tam nie było.

- Widzę, że mi nie wierzysz... Pewnie i w to także nie wierzysz, że w oddali widziałem jakieś miasto.

- Miasto? Łżesz ty, czy prawdę mówisz? Gadaj, bo to ważna rzecz.

- Jak ciebie kocham!

- Teraz ci wierzę. A potem spadłeś?

- Opadałem sobie powoli, nie śpiesząc się, bo widok był ładny.

- To czemuś nie został w górze?

- Bo deszcz padał... Skryłem się więc między te drzewa.

- Resztę już wiem. A czy gębę też sobie podrapałeś dla własnej przyjemności?

- To ja mam gębę podrapaną? Czy to przypadkiem nie od piorunów?

- O kozodoju przebrzydły! - rzekł Janek - bogdajbyś był został na tym drzewie!

- Dlaczego to ja miałem tam zostać?

- Bo małpom przybyłby jeden krewny i to nie najgorszy! Od kiedyś ty się nauczyłeś tak łągać, niedoszły koczokodanie!

- A o tym mieście wcale nie żęłgałem! - zawołał Piszczaka triumfalnie.

- Twoje szczęście! Daleko jest to miasto?

- Z wysoka trudno rozpoznać, ale tak myślę, że do wieczora zajdziemy.

- Jakżeś poznał, że to miasto?

- Jakieś wielkie domy sterczą i jakieś wieże. W jedną to nawet piorun trzasnął, dlatego ją ujrzałem. Co to właściwie jest miasto?

- Jakby ci to powiedzieć? Jest to takie wielkie zgromadzenie ludzi, którzy się zeszli do kupy z wielkiej miłości, a potem nie mogą się od siebie oddalić, bo tak się nienawidzą.

- Bardzo to wdzięcznie wywiodłeś, ale ja to zrozumieję dopiero za sto lat.

- Lepiej późno, niż nigdy. A teraz czy możesz iść?

- Wolałbym lecieć przez powietrze, bom do tego przywykłem, ale kiedy nie można inaczej, trzeba chodzić piechotą. Powiedz mi, dlaczego głupia wrona ma skrzydła, a uczciwy człowiek łązi na piechotę?

- Za to ty masz ręce, a wrona ich nie ma.

- Sam nie wiem, co bym wolał. Na dobrą sprawę chciałbym mieć i ręce, i skrzydła.

- Postaraj się najpierw o głowę.

- Po cóż mam się starać? Przecie mam głowę!

- Kapusta także ma głowę, a bardzo się tym nie chwali.

- Co ma wspólnego moja głowa z kapustą?

- Więcej, niż myślisz! - śmiał się Janek. - Ale chodźmy! Szatki moje już obeschły. Wstawaj, bracie! Namartwiłem się przez ciebie niemało, ale mi już przeszło. Jakże ty wyglądasz, nieszczęsny pokrako!

- Spróbuj spaść spod chmur, a nie będziesz wyglądał przystojniej. Czy idziemy do tego miasta?

- Broń Panie Boże! Przejdziemy obok, aby nas jaka zła nie spotkała przygoda. Przyjrzymy mu się z daleka, a pójdziemy jak sierpem rzucił.

- Nigdy nie byłem w mieście...

- Obyś nie powiedział w złą godzinę.
- Bywało się w piekle, bywało pod samym niebem, należałoby więc być i w mieście.
- W drogę, Piszczalko! Prowadź mnie, bo znasz drogę. Czy to na zachód?
- Prosto na zachód... Stój!
- Co się stało?
- Chcę jeszcze raz spojrzeć na tę wysokość, z której spadłem.
- Piszczalko obrzydła! czy chcesz, żebym ci przetrącił nogę?
- Już nie potrzeba. Wal za mną!

Piszczalka szedł wielce dumny, że to on raz prowadził takiego mądralę jak Janka. Dreptał na swoich cienkich, kozich nóżkach, znowu wesoły i rozpromieniony. Przeskakiwał przez kamienie i w szaleństwie radości po wspaniałej przygodzie doszedł do tego, że próbował gwizdać. Nie osiągnął wprawdzie nadzwyczajnego w tej dziedzinie powodzenia, lecz samym usiłowaniem dokonania rzeczy tak trudnej znacznie się we własnym wywyższył mniemaniu.

Urwał nagle w połowie ton wysoki i równie przeraźliwy.

- Widzę miasto! - zakrzyknął.

- I ja je też dojrzałem - mówił Janek pilnie patrząc. - Podejźmy bliżej, bo mi się coś wydaje, czego bym nie pragnął.

Zaczęli teraz iść ostrożnie, wpatrzeni w mury jakieś dziwnie lśniące i na obronne wieże, surowe i potężne. Kiedy się znacznie zbliżyli, rzekł Janek cicho:

- Niestety, nie myliłem się. Rzeka ogromna płynie pod nim, a most jest jeden i do miasta wiodzie.

- Nie będziemy mogli obejść.

- Woda to jakaś straszliwa. Nie da się!

- Co robić tedy?

- Czy ja wiem? Po lewej stronie woda, po prawej woda, a zachód prosto. Boję się ja tego miasta...

- A jeśli tam mieszkają dobrzy ludzie?

- Daj to, Boże, ale czy dobrzy ludzie wznosiliby takie potężne mury i takie wieże? Czemu one

tak błyszczą?

- Słońce na nie pada.

- Widziałem mury w słońcu, ale tak nie błyszczały. Ej, Piszczalko, coś mi się zdaje, że te mury są z błyszczącej stali.

- Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - rzekł Piszczalka z powagą.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Janek zdumiony.

- Nic. Ale mi się przypomniało, że tak raz powiedziałeś.

- Gdybym nie był bardzo zmartwiony, to za takie gadanie stłukłbym cię na kwaśne jabłko... Patrz, patrz, jak to błyszczą!

- To źle, czy to dobrze?

- Nie wiem, może to nawet najgorzej.

- Pójdziemy tam?

- Nie! Już dzień ma się ku końcowi, bałbym się wchodzić w taką żelazną pułapkę na noc. Zapadniemy tu gdzie w chaszczach, a rano pójdziemy w imię Boże! Cicho! Co to słyszać?

- Tak wygląda, jakby kto młotem uderzał w żelazo.

- To zegary biją!

- Kogo biją?

- Nikogo nie biją, tylko wybijają godziny. Kiedyś ci to wytłumaczę...

- A czy to dobrze, czy źle?

- Z tego widać tylko, że jacyś mądrzy mieszkają w tym mieście ludzie, skoro umieją robić takie przyrządy, co wybijają godziny.

- A ja myślę, że to nie jest dobrze z tym wybijaniem. Raz mnie jeden stary diabeł wybił dwa zęby i to nie było przyjemne.

- Resztę ja ci ich wybiję, jeśli będziesz gadał od rzeczy. Skryjmy się teraz. Może znajdziemy jakie poziomki albo jadalne ziele, bom głodny. Nie odchodź, bracie, daleko i pilnujmy się wzajem.

Świejące mury dziwnego miasta poczęły gasnąć, a kiedy wieczorne zakrwawiły się zorze, zdawało się, że i miasto spłynęło krwią. Coraz to przylatał żelazny miarowy dźwięk i opadał na step. Janek naliczył ich dziesięć, potem jedenaście, potem dwanaście. Piszczalka spał już dawno,

nakrywszy się naręczami narwanej trawy i liśćmi łopuchów, on zaś rozmyślał, że będzie musiał przejść tę stalową twierdzę, w której może jakieś czai się nieszczęście. Nie ma jednak innej drogi. Musiał mu ją dobrze obmyśleć czarny człowiek, co sprzedawał oczy. Musiał on wiedzieć o krokodylowej rzece i o diablej czeredzie, musiał wiedzieć o podziemnych ludziach, a teraz gnał go, choć niewidzialny, w tę paszczę żelazną.

- Co mnie teraz czeka? - myślał Janek - czy przejdę tamtędy? Pomóż mi, Matko Przenajświętsza! Wszakże idę bez lęku, uczyniwszy ofiarę za tego, którego miłuję więcej niż życie. Nie uląłem się, nie zaparłem się, więc mi daj wytrwać. Oddał ode mnie wszelki strach i życie moje zachowaj, abym doszedł tam, dokąd dojsć przysiągłem!

Śmiało szedł nazajutrz o świcie ku mostowi gotowa na wszystko. Piszczątka, czując, że się ważne rozgrywają sprawy, dreptał za nim w milczeniu pilnie czasem patrząc w zadumaną twarz Janka.

Most wiódł do bramy żelaznej, bardzo potężnej, przy której ani żadnej nie było straży, ani ludzkiej nie widać było duszy. Ku wielkiemu ich jednak zdumieniu, kiedy się do niej zbliżyli, brama otwarła się w sposób niezwykły: jedna jej połowa zapadła się pod ziemię, druga uniosła się w górę. Tak to wyglądało, jak gdyby olbrzym ziewając paszczę szeroko otworzył. Za bramą widać było domy, też żelazne, prostokątne, bez okien.

Janek przystanął na moment, wnet jednak ruszył wprost w tę ulicę.

- Brama zamyka się! - szepnął Piszczątka.

Janek drgnął tylko, lecz się nie obejrzał. Pomyślał tylko, że wrócić nie można, więc trzeba iść naprzód.

Ulica była pusta, dlatego widać, że słońce wstało niedawno, więc mieszkańcy miasta spali jeszcze. Ktoś jednak musiał otworzyć bramę... Ktoś ich widział... Ktoś może patrzy w tej chwili z ukrycia... Dokoła jednak sterczały jedynie domy z żelaza czy ze stali, twarde, nieprzystępne, groźne i jakby wymarłe.

Wtem zaczął bić zegar.

- Szósta! - naliczył Janek, krocząc ostrożnie środkiem ulicy, aby - nikt zaczajony nie mógł go napaść zniemacka z za węgła.

Nikt ich jednak nie napadł zdradliwie. Kiedy przebrzmiał ostatni dźwięk zegara, miasto ożyło; domy zaczęły się obracać powoli, jak gdyby osadzone były na osi, słychać było szczeł żelaziwa, chrobotliwe przesuwanie łańcuchów, pełne żelaznych gniewów i zgrzytów, potem ciężkie, nieustępliwe, straszliwie pewne uderzenia młotów.

- Co to być może? - zapytał cicho Janek.

Ponieważ Piszczątka nie odpowiadał, chłopiec obejrzał się i krzyknął zduszonym krzykiem.

Piszczalki nie było, natomiast żelazna zagroda wzniosła się bezszelestnie tuż za Jankiem; mogło się zdawać, że dwa domy z dwóch stron ulicy zbliżyły się do siebie i zwały. Musiało to stać się tak szybko, że Piszczalka nie zdążył nawet krzyknąć. Albo też - rozmyślał Janek - pozostał nieco w tyle, przyglądając się niepokojącym domom i w tej chwili uderza może pięściami o żelazną ścianę. Żal mu się uczyniło serdecznie, lecz nie mógł wrócić na poszukiwania, bo wracać nie było którejdy. Pocieszał się, jak mógł:

- Większe ma serce ten biedaczyna, niż rozum - rozmyślał - ale sprytu mu nie brak. Może nie zginie, co daj, Panie Boże. Jeśli jest gdzie w pobliżu, może mnie usłyszy...

Przyłożył złożone ręce do ust i huknął z całej mocy:

- Piszczalka! ho! ho! Piszczalka!

Nikt mu nie odpowiedział, lecz po chwili dały się słyszeć jakieś odgłosy, jakby stąpania ciężkie i żelazne. Janek rozejrzał się niespokojnie i zdrętwiał: ze wszystkich stron, z otworów w ścianach domów, z zaułków i zakamarków poczęły iść ku niemu dziwne postacie.

- Ludzie to, czy nie ludzie? - pomyślał.

Postacie miały kształty ludzkie, lecz twarze nieruchome, oczy wlepione w jeden punkt; poruszały się miarowo, sztywnie i z chrzęstem. Podnosiły nogi wysoko, jak żołnierze na paradzie, i opuszczały je z siłą, tak że każdy krok przypominał uderzenie młota. Wszystkie zmierzały ku niemu bez pośpiechu, dokładnie wymierzonym krokiem, żadnego nie wydając głosu. Większe to na nim i przykrzejsze uczyniło wrażenie, niż gdyby ciżba rzuciła się na niego z krzykiem i ujadaniem. Nie mógł rozpoznać, czy wałą na niego z tym żelaznym uporem - w złości, czy w dobrych zamiarach. Obejrzał się niespokojnie i spostrzegł, że ze wszech stron idąc, otoczyli go kołem, przez które już by się wymknąć nie mógł. Sto oczów nieruchomych i bez żadnego wyrazu uderzyło go jednym spojrzeniem nieodpartym. Poczul, że idzie na niego żelazna, ciężka, martwa jakaś siła, ludzie z żelaza, bez czucia i bez myśli. Jeśli się nie zatrzymają, to go zmiażdżą naporem dziwnych ciał twardych i kanciastych; Janek najwyraźniej dojrzał, że twarze mają wyrzeźbane albo w drzewie, albo też w innym materiale, a na nich farbą jaskrawą uczynione rumieńce. Na głowach mieli hełmy, nie można więc było dojrzeć, czy mają włosy. Żadnego nie - nosili odzienia, można było rozpoznać przeto, że w miejscach, w których człowiek żywy posiada stawy i wiązania kości, oni mają jakby żelazne pudełka, w których chrobotwały żelazne tryby. Piersi i brzuchy uczynione były z wąskich płatów blachy, zachodzących jedno na drugie, kiedy się pochylali w ruchu. Każdy z nich rękę lewą opartą trzymał na piersi w tym miejscu, w którym słyszeć bijące serce człowieka, i raz po raz przyciskał nią wystający na zewnątrz gwóźdź żelazny, prawe ręce wyciągnęli przed siebie, rozczapierzywszy szeroko niekształtne palce, podobne do palców stalowej rycerskiej rękawicy, złożonych z trzech części i chrzęst wydających przy zginaniu. Dlatego Janek w pierwszej chwili pomyślał, że wałą na niego ciężko zbrojni, szybko jednak spostrzegł, że to, co mniemał zbroją, jest dziwnym tych stworów ciałem.

Zły to był widok i przeraźliwy w swej grozie. Żelazne szkielety z martwym wejrzeniem, głuchonieme i chrzęszczące, szły uporczywie, takie czyniąc wrażenie, że jeśli ich coś nie zatrzyma albo nie natkną się na przeszkodę, będą tak szły bezwolnie a nieustępliwie, aż do skończenia świata.

Cofnąć się ani w bok uskoczyć nie było sposobu, bo tego żelaznego ludu wyroiło się mnóstwo. Zwierali się oni kołem coraz ciaśniejszym, kiedy zaś jeden drugiego ramieniem już dotykał, wtedy z nagłą wszyscy jak na komendę przystanęli.

Janek rozejrzał się ostrym, badawczym spojrzeniem i zrozumiał, że nikt przebić 'nie zdoła się przez ten pierścień' z żelaza wykuty. Stał w środku, czekając, co się stanie. Oni tak dłuższą chwilę stali nieruchomo, jakby zakłęci, aż jeden z nich wydał z siebie ostry, krótki gwizd; na ten znak ci, co za nim stali, poczęli poruszać się naprzód, a znajdujący się z boków i przed nim, zawrócili i zaczęli miarowym iść krokiem. Janek musiał iść także. Bystro patrzył, czy nie uda mu się przemknąć jaką szczeliną, lecz oni szli gęsto, a ten, co stąpił z tyłu, dotykał ręką pleców idącego przed nim. Koło zmieniło się w żelazną wydłużoną pętlę, którą był ujęty bez nadziei.

Wiedli go przez smutne, bezludne ulice, ciszę tego dziwnego miasta napełniając chrzęstem i brzęczeniem blach. Janek, spod oka patrząc, widział tu i ówdzie takie same postacie, bez ruchu stojące, oparte o żelazne ściany domów lub leżące jakby bez życia. Rozmyślał, kim oni być mogą, lecz nie mógł pojąć. Prócz tego ostrego gwizdu żaden z nich nie wydał głosu; w nieruchomych oczach mieli zaciętość, lecz dotąd nie uczynili mu nic złego. Musiały to być istoty rozumne, gdyż wiedziały, co czynią, i sprawnie choć ciężko zamknęły koło, potem złamały szyk i wiedzą zapewne, dokąd teraz zmierzają, gdyż kierowały się raz w tę, raz w inną stronę. Kiedy zaś z bocznej ulicy wyszła podobna im gromadka, na noszach wielki jakiś dźwigając ciężar, przystanęły na chwilę, aby tamtym dać drogę.

Nie mieli żadnej broni, dość jednak było każdemu z nich wyciągnąć rękę i ugodzić w ludzką głowę, aby ją, jak uderzeniem miecza, rozszczępić na połowę.

Nagle jeden z tych, co z boku szli, zachwiał się i opuściwszy obie ręce byłby upadł, lecz za nim stępujący podtrzymał go. Znowu rozległ się gwizd. Wtedy odwrócił się jego poprzednik i żelazną ręką dotknął gwoźdźca czy śruby, wystającej z lewej strony piersi tego, co padał. Tamten, jakby ożył, natychmiast raźnie stąpił począł, tłukąc ziemię ciężkimi nogami.

Janek zdumiał.

- Na Boga! - pomyślał - to nie są ludzie żywi. To są sztuczne kukły, chodzące maszyny!

Nie wiedział, czy cieszyć się tym odkryciem, czy martwić. Jeśli to są automaty, przedziwną sztuką poruszane żelazne bałwany, tedy on ma nad nimi przewagę rozumu, za to oni, żelazne szkielety bez serc i bez ducha, mają nad nim moc tępą i nielitościwą. Szlachetnym swoim sercem nie przełamie ich żelaznego kręgu, nie wzruszy opowieścią o swoich niedolach, nie zdoła ich zakłócić na miłość; martwe ich oczy nie wyleją ani jednej łzy, choćby patrzyły na rzeczy najokropniejsze. Oni mogą zabijać jedynie ze straszliwym spokojem samym miarowym wznoszeniem ramienia. Raczej diabeł dałby się wzruszyć, oni nigdy.

Janek szedł posępnie, rozmyślając nad tym, co mogą z nim uczynić.

- Zabiją mnie - myślał posępnie - muszą bowiem mieć w sobie nienawiść do wszystkiego, co żywe.

Od razu zastanowił się, że jeśli mogą znać uczucie nienawiści, to może tym samym zdolni są do miłości. Zaczęło go to dręczyć i przypomniał sobie ze smutkiem słowa Witalisa, który mówił, że do szczytnej miłości zdolne są tylko duchy szczytne, wszystko inne zaś pragnie burzyć i zabijać, jak ślepy żywioł, śmierć przed sobą goniący. A ci, co go wiedą, nie tylko szczytnego, lecz żadnego w sobie nie mają ducha. Są to topory żelazne, którymi porusza siła jakaś nieugięta i nielitościwa.

- Bóg mnie chyba ocali! - pomyślał.

Oni przywiedli go tymczasem na obszerny pusty plac, na którym wznosiła się olbrzymia żelazna kolumna, a pod nią żelazny okrągły ołtarz ofiarny. Tam przystanęli i stali nieruchomo. Tak wyglądali, jakby ich opuściły resztki udanego życia, więc Janek, złudzony tym i pragnąc przekonać się, czy czuwają, zbliżył się ostrożnie ku nim, aby ujść. Ozwał się nagły gwizd, jeden, zaraz po nim drugi; wtedy dwóch z nich wyciągnęło ręce i z dwóch stron go ująwszy, wpili w jego odzienie palce jak szpony. Stał więc bez ruchu i czekał.

Mijały godziny. Janek czuł wielki głód. Zegar odmierzył południe, a oni stali wciąż nieporuszeni. Usiadł na ziemi, w czym mu nie czynili wstrętu. Ogarniała go senność i niemoc. Dzień się kończył, a oni stali jak martwi.

Wtem Janek złowił uchem odgłos miarowych kroków; zbliżał się on powoli z innej części miasta, wreszcie ukazał się orszak. Na samym przedzie na koniu jechał ktoś widać znaczny wśród nich, bo był o dwie głowy najmniej wyższy od wszystkich. Twarz miał całą wyłożoną, a oczy srebrne. Tamci mieli ciała z blach ciemnych, ten zaś był cały migotliwy i świecący.

- To pewnie ich król! - pomyślał Janek, znowu czujny i baczny.

Koń też nie był żywy; była to kształt konia mająca olbrzymia machina na czterech nogach, tak udana, że miała nawet ogon przyprawiony, lecz nie z włosienia, lecz zrobiony z płaskiej żelaznej deski, podobnej do steru łodzi. Potworne to zwierzę biło głośno nogami o ziemię, a kiedy ów siedzący na nim dotknął jego szyi, zastygło nagle bez ruchu. Zmartwieli też ci, co za nim szli gromadą. Jedni mieli twarze pomalowane na kolor żółty, inni na kolor zielony, wszyscy zaś strojniesi byli od tych, co złowili Janka. Ci z królewskiej świty byli zapewne kapłanami lub wodzami, a tamci byli strażą, pilnującą grodu.

Wtem ów, siedzący na potwornym rumaku, poruszył się. W tej samej chwili poruszyli się inni. On wskazał Janka i wydał z siebie głos śpiewny, wysoki i jasny:

- To człowiek! To człowiek!

Czterech z jego świty, pomalowanych na żółto, skinęło głowami, a jeden rzekł głosem prawie ludzkim:

- Tak nazywamy to zwierzę.

- Czy on żyje? - zaśpiewał król.

- On mniema, że żyje, ale to jest fałsz. Żyjemy tylko my!

- Czy on mówi? - zaśpiewał jeździec.

- Zaraz się przekonamy! - odrzekł żółty.

Skinął na straż i pokazał im coś na migi. Strażnicy wydali przeraźliwy gwizd.

- Król śpiewa, starsi umieją mówić, a pachołcy tylko gwizdzą - pomyślał Janek.

Poczuł równocześnie, że go silnie pchnięto, tak że się zatoczył w stronę owego króla.

- Człowiek! Człowiek! - zaśpiewał król, jak gdyby się mocno zdziwił.

Jeden z żółtych zbliżył się ku Jankowi, obszedł go dokoła i obejrzał dokładnie.

- Czy umiesz mówić?

- Umiem - odrzekł z drżeniem Janek.

- Mówi! mówi! - zaśpiewał król. - W jaki sposób on to potrafi?

- Jakim sposobem umiesz mówić? - zapytał żółty.

Janek spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Umiem - odrzekł - ale w jaki sposób, tego nie wiem.

- Czy masz maszynę w gardle, czy masz ją ukrytą w głowie?

- Nie mam żadnej maszyny...

- To niemożliwe! - zawarczał żółty - bez maszyny mówić nie można.

- Ja umiem bez maszyny.

- Ach, to ciekawe! Ach, to ciekawe! - zaśpiewał król.

- A w jaki sposób poruszasz się? - pytał ów kapłan czy wódz.

Janek nie umiał na to odpowiedzieć; zastanowił się i odrzekł dopiero po chwili:

- Mam duszę i mam serce...

Żółty zwrócił się do króla i rzekł pogardliwie:

- Jest to, panie świata, twór bardzo niedoskonały. To, co opowiadają o ludziach, jest zmyśleniem. Najdoskonalsi jesteśmy my. My nosimy w piersi jedną cudowną maszynę, która nas porusza i daje nam życie, a ten oto powiada, że człowiek ma w sobie aż dwie maszyny. Powiedz mi,

człowieku, gdzie są umieszczone owe maszyny, o których mówiłeś?

- Jakie maszyny?

- Patrz, władco świata - rzekł tamten znowu do króla - jak prostacki to jest twór. My przemawiamy jasno i ściśle. Ten zaś ledwie coś wyrzekł, już zapomniał, o czym mówił. Jak mizernie i nędznie przy nas wygląda! Ciało jego jest mdłe i miękkie - mówił dotykając Janka zimnym, twardym dotykiem - oczy źle osadzone, wciąż są w ruchu, nogi jego wciąż drżą, trwałego mu nie dając oparcia, a głos jego jest nikły. Jest to twór nędzny i bez siły. Mogę go pogruchotać jednym uderzeniem mojej wspaniałej ręki!

- O tak! o tak! - zaśpiewał król. - My jesteśmy potężni! potężni! och! potężni!

Żółty rzekł głośno, zwracając się do królewskiej świty:

- Zbliżcie się, bracia?

Tamci dotknęli piersi, coś w nich zaturkotało i wnet się zbliżyli.

- Wybadamy go, mądrość bowiem nasza musi znać wszystko. Powiedz nam, człowieku, jak nazwałś to, co ciebie porusza?

- Dusza i serce.

- Jak wyglądają te instrumenty?

- Dusza - odrzekł Janek drżąc - jest niewidzialna, a serce znajduje się tu...

Wskazał ręką miejsce, w którym gwałtownie tłukło się jego serce.

- To ciekawe, ach, to ciekawe! - zaśpiewał król, jak wyuczony ptak.

- Z czego zrobione jest to serce? - zakrzyknął żółty.

- Jest to ciało żywe... - rzekł Janek nie, pewnie.

Tamten, usłyszawszy to, ugodził go żelazną ręką w pierś. W oczach Janka rozkwitły dwie wielkie łzy.

- Och! och! och! - zdumieli się i żółci, i zieloni. - On jest napełniony wodą!

- To ciekawe, ach, to ciekawe! - śpiewał król.

- Wywarłem nacisk na jego piersi i wskutek tego wyciekła z jego oczu woda. Jest to przemyślny instrument, lecz na nic nikomu niepotrzebny. Czy maszynę do wypuszczania tej wody masz w głowie?

- Tak -rzekł Janek - lecz to ból sprawił, że łyzy pociekły.

- Ból? Czy to też maszyna? Więc ty masz w sobie więcej maszyn?

- Nie mam w sobie żadnych maszyn!

- Kłamiesz! - krzyknęli i żółci, i zieloni.

- To ciekawe, ach, to ciekawe! - zaśpiewał król.

- Kłamiesz! - powtórzył żółty - wszystko na świecie jest maszyną. Jest to rzecz najdoskonalsza, najpotężniejsza, najsilniejsza i nieomylna. My wierzymy tylko w maszynę uczynioną z żelaza i ze stali. Ona nas porusza, ona nam dała mowę, nią myślimy. Ha! ona jest nieśmiertelna! Na świecie, na tym nieszczęśliwym świecie, który nie wie, co to jest maszyna, istnieje podobno śmierć, czyli koniec. U nas nikt nie umiera. Kiedy jedna maszyna zetrze się, wkładamy w piersi drugą i zaczynamy nowe życie. My jesteśmy najdoskonalsi i najpotężniejsi! My zawładniemy światem! My w ten twój niedołączony i nędzny, w człowieka, wsadzimy maszynę i stworzymy władcę świata. Ty jesteś człowiekiem, a my jesteśmy maszynami. Zważ teraz: możemy cię zetrzeć w proch albo wrzucić cię w piec ognisty, aby cię przetopić. A ty nic przeciwko temu nie działaś!

- O tak, to prawda! - zaśpiewał król.

- Gdybym cię uderzył, rozbiłbym cię, jak gliniane naczynie! - warkotał żółty.

- Duszy we mnie nie zabijesz! - rzekł Janek z mocą.

- Duszy? Nie wiem, co to jest, lecz będę wiedział. Dlategośmy cię schwyтали. Dlatego brama przed tobą się otwarła, abyś mógł wejść.

- A gdzie jest ten, co był ze mną? - spytał nieśmiało Janek.

- Z tobą nikogo nie było - odrzekł żółty. - Za tobą szedł twój mizerny cień. Teraz go nie ma, bo słońce zachodzi i zapadło za nasze mury. Gdyby was było dwóch, wiedzielibyśmy o tym, gdyż na moście jest takie urządzenie, że dotknięte nogą pewnej długości i pewnej szerokości wydaje głos w środku miasta. Ty tylko dotknąłeś go nogą, nikt inny!

- Dobrze jest czasem mieć kozie racice - pomyślał Janek.

- A teraz my cię zbadamy. Nigdy nie mogliśmy złowić człowieka. Otworzymy twoje ciało i wyjmemy z ciebie całą maszynę, aby się jej przyjrzeć. Nasi mędrcy obejrzą wszystko dokładnie.

- To niemożliwe! - krzyknął Janek. - Jeśli otworzycie moje ciało, ja umrę.

- To ciekawe, ach, to ciekawe! - zaśpiewał król.

- Wsadzimy potem twoją maszynę z powrotem w twoje piersi i znowu będziesz żył.

- Ja już żyć nie będę! - wołał Janek przejmującym głosem.

- Wielki to będzie triumf - zakrzyknął tamten - że maszyna ludzka jest tak nieudolna. Wtedy wetknijemy ci w piersi maszynę naszą, najdoskonalszą na świecie. Dziś jeszcze przed zachodem słońca wyjmemy z ciebie to, co nazwałeś sercem, abyś me mógł uciec przez noc.

- Uczyńcie to jutro, dziś mnie pilnujcie!

- Nie! Po zachodzie słońca odpoczywamy i cudowne maszyny nasze, aby się nie psuć, ustają. Jest to prawo nasze. Na noc kryjemy się w domach stalowych, aby wilgoć nocy nie uszkodziła subtelnych instrumentów, które mamy w głowie i w piersiach. Jest to wielka mądrość nasza. Sami odpoczywamy, a pracują tylko nasze fabryki, które raz w ruch puszczane, nie odpoczywają nigdy.

- My jesteśmy wspaniali! - zaśpiewał król.

- Otwórzcie mu piersi! Słońce zachodzi... - warknęli wszyscy.

Pod Jankiem nogi zadrżały, lecz kiedy ujrzał, że żółty idzie ku niemu, uskoczył w bok, potem skrył się pod ogromnym brzuchem królewskiego konia. Zaszli go jednak z dwóch stron, więc jak wąż się wyślizgnął i miotał się na wszystkie strony, ratując bezcenne życie i nie dla siebie je ratując. Tamci powolni i niezgrabni szli ku niemu gromadą i byłiby go zgnetli, lecz ten, co z nim gadał, zakrzyknął:

- Nie zdepczcie go! Jest nam potrzebny!

Znowu uczyniło się przestronniej i znowu zaczęła się gonitwa. Janek był blady i pot zimny wyszedł mu na czoło; śmigał jak błyskawica, ciskał się na wszystkie strony, jak osaczony przez chmarę dzikiego zwierza.

- Prędszej, prędszej, słońce zachodzi! - zakrzyknęli ci, co mieli twarze zielone.

- Prędszej, prędszej! - zaśpiewał król.

- Ratuj mnie, Panie Jezu! - wołał Janek tchem ostatnim.

Rzucił się jeszcze kilka razy, raniąc sobie ręce o żelaza ich ciał, wreszcie na pół omdlały upadł. Wtedy dwaj pacholki ujęli go kleszczami rąk i wysoko podniósłszy, ułożyli na ołtarzu. Jeden gniótł mu piersi, drugi nogi. Janek, ciężko dysząc, nie mógł się poruszyć.

Gromada sztucznych ludzi okrążyła go powoli, nie śpiesząc się, bo nie mogli wykonywać ruchów nagłych, grożących utratą równowagi.

Żółty pochylił się nad nim. Potem stalowymi szponami rąk rozgarnął jego koszulę i znieruchomiał na chwilę, dotknąwszy ciepłego, białego ciała.

- Otwórz mu piersi! - zaśpiewał król. - Chcemy wiedzieć, co jest w jego piersi!

Tamten znowu się pochylił i wzniosł obie ręce, aby nagłym rzutem zatopić je w chłopięcej piersi i rozerwać je na obie strony, jak drzwi.

Janek krzyknął.

Wtem ozwał się przeraźliwy głos olbrzymiego jakiegoś tam–tamu albo też zegara, a oni wszyscy zmartwieli i znieruchomieli tak, jak kto z nich stał.

Słońce zaszło.

Rozdział dwunasty

w którym jest trochę radości i trochę smutku a sztuczny rumak chce przepłynąć morze

Janek leżał, nie ważąc się odetchnąć. Nie bardzo też mógł oddychać, gdyż żelazny drab zacisnął swoje kleszcze tuż przy jego szyi i choć uścisk nieco zelżał, jednak chłopiec nie mógł się poruszyć, tym bardziej, że drugi dzierżył w zimnym i zbyt gwałtownym uścisku jego nogi. Nad nim, jak sępie szpony, wisały dwie stalowe ręce. Cisza była dokoła, z wielkiej jedynie oddali słychać było miarowy, pełen bolesnych jęków huk młotów.

Po głowie chłopca latały gorączkowe myśli.

- Ocalałem na kilka godzin, zginę równo z pierwszym promieniem słońca.

Chciał żyć, żyć za wszelką cenę! Straszni byli ci sztuczni ludzie, bez serca i bez uczucia, mający jedynie przenikliwy mózg, okrutni i nielitościwi. Wiele już widział niebezpieczeństw i wiele zznał niedoli, lecz zawsze mu się udało ująć. Tej żelaznej przemocy nie ujdzie jednakże. Tym mu się wydała okrutniejsza, że nieżywa. Stoją tu teraz zmartwiali, lecz ożyją, a wtedy z jego piersi wydrą życie. Bronić się! bronić się! - ale jak? Usiłował jak wąż wysliznąć się z uścisku, lecz, jak schwytyany w żelazną paść, nie mógł się obrócić w żelaznym pierścieniu rąk pachołka; nie mógł unieść rąk i rozewrzeć nimi zaciśniętych jego palców, gdyż był i osłabiony bardzo, i ciężko mu było sięgać w tył. Jeszcze bardziej znużył się daremnym wysiłkiem, więc dysząc ciężko, odpoczywał.

- Pomodłę się chyba i będę czekał śmierci! - szepnął.

Księżyc wszedł na niebo i wszystko posrebrzył. W powietrzu nie było ni szmeru.

Nagle cichy ozwał się syk i jakiś głos. Janek wyteżył słuch i znowu coś usłyszał.

- Pi! pi! pi! - szepnęło coś niedaleko.

Serce w chłopcu zamarło.

- Piszczalka! - zawołał cicho. - Prędeż tu, prędeż!

Posłyszał drobny truchcik kozich nóg i tuż przy sobie ułyszał szept.

- Jestem, Janeczku najdroższy! Usłyszałeś mnie! Czy można mówić?

- Można. Oni wszyscy są martwi... Ale się obudzą... Gdzie jesteś?

- Tu, z lewej strony... Och, to straszne...

Patrzeć nie mogę! Czy oni naprawdę są martwi?

- Aż do wschodu słońca.

- Czy wiesz o tym na pewno?

- Tak mówił jakiś ich starszy. Widać, że prawdę mówił.

- A ty jak myślisz?

- Myślę, że się nie obudzą. Na Boga, czemu wciąż pytasz?

- Pytałem, bo się bałem, a teraz już się nie boję. Jeśli będą spali do rana, to do samego rana będę odważny. Co mam robić?

- Włóż na ołtarz. Prędko!

Piszczalka mozolił się długo i wreszcie ukląkł przy Janku.

- Wyteż wszystkie siły i spróbuj zdjąć ze mnie te żelazne ręce!

- Ależ cię ten bałwan ściska, jakby brata zobaczył po długim niewidzeniu! Zaraz... zaraz... Och, ciężko! Silna bestia... Dwa palce już odgiąłem, ale ta żelazna małpa ma ich dziesięć, tyle, co uczciwy człowiek. Trzy! Ależ trzyma! Aj, zdaje mi się, że czwarty palec odgiąłem mu zupełnie na zewnątrz... Piąty! Uf! Zmachalem się...

- Pomęcz się, drogi przyjacielu!

- Tyś się dla mnie więcej męczył... Ależ ja jestem mądry, że zostałem... Pomyśl sobie, że ja...

- Później mi opowiesz! Wykręć mu drugą rękę!

- Zrobione! Mały palec to mu chyba odłamię i podważę cztery inne.

- Zrób, co chcesz...

Coś trzasło nagle, potem Piszczalka długo majstrował.

- Jeden gotów! - szepnął zdyszany.

Janek podniósł głowę i usiłował usiąść, ale nie mógł, gdyż wisały nad nim ręce złotego.

- Ach, to ten ci przeszkadza? - mówił szybko Piszczalka. - Noc jest, miły panie z złotym pyskiem, pora spać;

- Co ty wygadujesz?

- To do tego, co nad tobą sterczy. Zaraz go ułożę do snu.

Usiadł wygodnie, oparł się plecami o Janka, a nogami z całej siły uderzył w żelazny brzuch żółtego.

- Już się wykopyrtnął! - zawołał z radością. - Teraz weźmy się do tego, co ci ogląda paznokcie u lewej nogi.

Z tym poszło łatwiej, bo Janek pomagał ruchem nóg. Wreszcie, wolny, zsunął się z ołtarza, a za nim szczęśliwy Piszczalka, straszliwy pogromca żelaznego luda.

Stanęli wśród oświetlonych przez księżyc widm, które mogły najodważniejszego przejąć strachem. Mimo woli ściszyli głos, jakby ich tamci mogli usłyszeć.

- Co teraz? - szepnął Piszczalka.

- Nie wiem. Sprawa jest groźna. Nie możemy tu czekać do świtu, bo nas schwytają. Ten, co ze mną gadał, przechwalał się, że mają w sobie maszyny tak bezcenne że ich nie chcą narażać na chłód nocy, ale ja myślę, że te maszyny mogą działać tylko w ciepłe, które słońce daje, a przeto w nocy są na nic. Tak czy owak rano ich obudzi albo przyjdą inni. Muszę ja ich obejrzeć dokładnie.

Pochylił się nad tym, który leżał na plecach, i pilnie szukał czegoś na jego piersi.

- Spójrz, Piszczalko! Jasno jest bardzo i widać wyraźnie. Tu na piersi, w tym miejscu, gdzie my mamy serce, wystaje jakiś guziczek czy śrubka. Ile razy zaczynali iść, zawsze dotykali tego ręką. Gdyby tego teraz dotknąć, to ten by może wstał... Chociaż nie! Bo gdy słońce zaszło, mógł przecie tego dotknąć, a nie dotknął, tylko zastygł, jak bałwan. Dlatego myślę, że te ludzkie maszyny kradną ciepło ze słońca. Strasznie są mądrzy! Co robisz, na Boga!

- Chcę mu wyrwać ten ząb! - szeptał Piszczalka.

Janek nie śmiał drgnąć w nagłym przerażeniu. Piszczalka zaś, jak małe dziecko, co nie zdaje sobie sprawy ze straszliwości niebezpieczeństwa, jak ona dziecina, co w podobny sposób piekielnego Golema pozbawiła mocy - szarpnął i wyrwał tamtemu z piersi długi szpikulec z małą gwiazdą trybów na końcu; one to poruszały całą maszynę.

- To jest cała jego dusza! - rzekł Janek ochłonawszy. - Piszczalko, jesteś wielki!

- Przedtem byłem nim także! - odrzekł z godnością Piszczalka. - Ale nie mamy czasu na pochwały, bierzmy się do innych.

Pracowali ze dwie godziny, tak się podzieliwszy pracą, że Piszczalka wywracał żelaznych ludzi, a Janek ostrożnie wrywał im z piersi przedziwne instrumenty.

- Został jeszcze tylko koń i ten dryblas na nim! Kto to jest?

- To jest, zdaje mi się, ich król. Gębę ma ze złota i dziwnie tu nade mną śpiewał. Nie wydawał mi się on najgorszy, tylko odrobinę jakby pomyłony.

- Bardzo to pięknie z jego strony, ale pomyłony on czy nie pomyłony, lepiej mu będzie na ziemi, niż na tej kobyle. Podsadź mnie, a ja będę siedział na koniu, a on będzie chodził piechotą!

Janek, zdumiony odwagą Piszczalki, podniósł go lekko i pomógł mu się wdrapać na wysokiego konia.

- Baczość - wołał Piszczalka - leci król!

Kukła ze złotą twarzą chwiała się przez chwilę, jak taki, co zasnął na koniu podczas jazdy, aż się przechylił w bok i bęcnął o ziemię, aż zabrzączało. Janek pochylił się nad nim szybko, pilnie szukał, wreszcie szepnął niespokojnie:

- On nie ma znaku na piersi! Jak to być może?

- Szukaj na głowie! - zakrzyknął Piszczalka z końskiego grzbietu.

- Także nie ma! Nigdzie nie ma. To dziwne! A tak go zostawić nie możemy... Widać z tego, że nie mógł on własną rządzić osobą, tylko inni wprawiali go w ruch. Co robić, Piszczalko?

- Może bez ich pomocy wcale się nie poruszy.

- Kto to wie? A może, że jest królem, ma w sobie maszynę tak cudowną, że bez tego gwoźdźca może się poruszać.

- Może i to być! Czekaj, zaraz zleżę...

Zastanawiali się obaj bardzo głęboko, szukając rady.

- Może by - rzekł Piszczalka - odkręcić mu nogi, aby nie mógł nas gonić.

- Gonić nas nie bardzo może, bo oni wszyscy stąpają powoli, aby się nie wywrócić, z tym gorzej, że może wydać jakiś głos i zwołać całe miasto na pomoc.

- Czy ich tu dużo?

- Nie wiem. Tu ich jest trzydziestu pięciu, bo tylu naliczyłem. Król trzydziesty szósty. To pewnie cała starszyzna i kilkunastu pachołków, a całe ich mrowie może się ukrywać w domach.

- Bez starszyny będą na nic!

- Nic o tym nie wiemy, w każdym razie króla trzeba unieszkodliwić.

- Trzeba mu więc odkręcić głowę!

- Dziwnie to przykro pozbawiać kogoś głowy, nawet takiego sztucznego człowieka. Ha, trudno!

Obejrżeli królewską głowę, nadobnie wyrzezaną w złocie, przyśrubowaną do tułowia.

- Mocno siedzi! - rzekł zdyszany Janek - nie damy rady.

- Co robić?

- A jednak to jest dziwne - mówił Janek, jakby do siebie. - Słyszałem przecie jego głos. Najczęściej mówił niezbyt do rzeczy i wyśpiewywał: „To ciekawe, ach, to ciekawe!” - ale przecie głos wydawał. Człowiekiem nie jest, więc gdzieś w nim maszyna być musi. Tymczasem wydaje się być pusty wewnątrz, a głowa też dziwnie lekka... W tym jest jakaś tajemnica.

- Musi być tajemnica! - rzekł z przekonaniem Piszczalka.

- I ty tak mniemasz? Dlaczego?

- Bo ty tak mówisz!

- Toś niewiele wymyślił. Czekaj no! Przyjrzyjmy my się temu koniowi.

- Przecie koń za króla nie gadał.

- Koń nie, ale może kto inny. Patrz, jaki ten koń ma ogromny brzuch.

- Gdyby to bydlę jadło siano, to bym powiedział, że przebrał w jedzeniu miarę.

- A w brzuchu, co to, czy to nie drzwi?

- Nie widziałem nigdy drzwi, ale pewnie są to drzwi!

- Z całą pewnością. Chwyć tu i ciągnij!

Zaparli się obaj i otwarli koński brzuch, z którego wypadł sztuczny człowiek z żółtą twarzą.

- Dziwnie żarłoczna kobyła! - krzyknął Piszczalka z radością.

- To ten wyśpiewywał - rzekł Janek. - Zmyślne to jest urządzenie. Pewnie to jakiś królewski doradca albo minister. Król był tylko na ozdobę, a gadał to, co mu tamci kazali. Niechże tam sobie leży, biedaczyna, ale tego trzeba oduczyć śpiewania. Czy ma znak?

- „To ciekawe, ach, to ciekawe!” - zaśpiewał fałszywie Piszczalka - ale znak ma. Już zdechł!

Plac wyglądał, jak pobojuwisko, na którym ocalał jeden olbrzymi koń i dwóch niedorostków, bardzo tym zdziwionych, że oni tylko są żywi. Od czasu do czasu patrzyli ze strachem na żelazne zwłoki, jak gdyby to oni wrogów mordowali. Dziwne to jednak były trupy, bo niektóre miały świetne na twarzach rumieńce; leżały spokojnie, a nie znać było na nich zbytniej rozpacz za życiem.

- Całe szczęście, że księżyc jasno świeci! - rzekł Janek. - Nie jest mi straszno. A tobie, Piszczalko?

- Nigdy nie wiedziałem, co to trwoga! - powiedział Piszczalka z wielką godnością.

- Ejże!

- Czasem udawałem tylko strach, aby się zbytnio od ciebie nie różnić. Ale patrz, czegośmy dokazali!

- Ty tego dokonałeś, nie ja. Gdyby nie ty, konałbym na tym ofiarnym ołtarzu, a nie doczekałbym wschodu słońca. Opowiedz mi wszystko, Piszczalko najukochańszy. Do rana mamy czas, bo teraz nie wiemy, jak i którędy uciekać. Szybko mi opowiedz, co ci się wydarzyło, a potem walną uczynimy naradę. Ach! Piszczalko, żebym nie zapomniał! Co to miało znaczyć, że kiedy się niedawno zbliżyłeś do mnie, wymówiłeś jakby hasło albo coś podobnego?

- Zawołałem: pi! pi! pi!

- Otóż to! Poznałem cię po głosie, bo poznałbym cię z odległości stu mil, ale co to oznaczało?

- To bardzo proste, choć długo nad tym rozmyślałem. Otóż nie byłem pewny, czy tu kto więcej prócz ciebie mnie słyszy, a chciałem, abyś się dowiedział, że jestem w pobliżu.

- Czemuż nie zawołałeś na ten przykład: Piszczalka!

- W tym właśnie rzecz! Zbyt wiele przeszliśmy razem niebezpieczeństw, abym się nie nauczył ostrożności. Jeślibym zakrzyknął: Piszczalka! - zakrzyknąłbym swoje imię. A po co - myślałem - mają zaraz wszyscy wiedzieć, że to zbliża się straszny i groźny Piszczalka? Więc szepnąłem tylko pierwszą zgłoskę: pi! - bo byłem przekonany, że ty będziesz wiedział, co to znaczy, a inni będą jak tabaka w rogu.

- Piszczalko! - zawołał Janek - gdybym myślał sto lat, nie wymyśliłbym tego!

- Wierzę! Nie każdy ma mój dowcip!

- Całe szczęście! Gadajże teraz, co ci się zdarzyło?

- Nic mi się nie mogło „zdarzyć”, bo ja sam kierowałem chytrze tym, co się stało. Kiedy ty szedłeś naprzód, ja zostawałem powoli w tyle.

- O niecnoto!

- Czy chcesz, żebym się obraził?

- Nie chcę tego!

- Więc słuchaj i jeżeli będziesz mógł pojąć moją niezmierną chytrą, drugi raz już mnie nie nazwiesz niecnotą! Zostawałem niewidocznie w tyle, bo sobie pomyślałem, że coś nas złego czeka w tym dziwacznym mieście. Jak widzisz, wcale się nie omyliłem. Lepiej więc będzie - pomyślałem sobie - aby, kiedy jednego złapią, drugi pozostał na wolności.

- Dobrześ to obmyślił!

- A widzisz! I niedługo czekałem. Jakaś ściana odgrodziła mnie od ciebie. Wtedy rzuciłem się w bok, w jakąś ulicę i gnałem, ile sił, okrężną drogą, ale wciąż w tę stronę, w którą ty poszedłeś. Nie bardzo się ukrywałem, bo nikogo nie było. Nagle usłyszałem ciężkie kroki. Już myślałem, że to śmierć idzie po mnie z taką paradą, ale to szli żelazni ludzie, ciągnąc jakąś maszynę na kołach.

- Widzieli cię?

- Gdyby oni mnie widzieli, to ty byś już mnie nigdy nie widział. Leżał tam przy drodze taki jeden żelazny cap, widać zepsuty, bo nie miał głowy. Położyłem się za nim, i nikt nie mógł mnie spostrzec. Ponieważ on nie miał głowy...

- ...A ty także - przerwał Janek.

- A ja także... Co ty wygadujesz? Ja wcale nie chciałem tego powiedzieć! Mam głowę i mieć ją będę, a jeśli mi będziesz przerywał, to sobie pójdę.

- Dokąd?

- Pójdę z tobą, ale nie. będę z tobą gadał.

- Dobrze, już dobrze! Masz śliczną głowę i leżysz koło żelaznego bałwana. Swój swego zawsze znajdzie.

- Oczywiście! Swój swego... Co ty właściwie chciałeś przez to powiedzieć?

- Nic!

- Chyba, że nic. Otóż leżę tam bardzo długo i myślę. Wymyśliłem bardzo wiele mądrych rzeczy, a to przede wszystkim, że mogę iść śmiało, bo tych żelaznych matołów słysząc na dwie mile, kiedy nogami walą o ziemię. Uciec zawsze można. Zacząłem posuwać się ostrożnie i w ten sposób doszedłem aż tu. Ale przedtem dotarłem do drugiej bramy, którą można wyjść z miasta.

- O, to jest druga brama?

- Jest. A od kogo dowiedziałeś się o tym? Od Piszczalki!

- Pójdź, niech cię uścisknę!

- Nie mam czasu, uściskaj tego z żółtym pyskiem, co koło ciebie leży. Otóż jest druga brama, bardzo strzeżona. Stoi koło niej czterech pachołków. Ile razy dzwon uderzy, otwierają ją i patrzą, czy kto z oddali nie nadchodzi.

- Widziałeś, jak ją otwierali?

- Pewnie, że nie patrzyłem wtedy w niebo. Na żelaznym murze namalowane są dwa koła,

zielone i żółte; kiedy przyciskali zielone, brama się otwierała, a zamykała się, kiedy przyciskali żółte.

- Piszczalko, drogi, najukochańszy Piszczalko! To będzie można uciec!

- Będzie można!

- W tym rzecz, czy ta brama otwiera się i w nocy!

- Pewnie nie, bo jeśli oni w nocy są nieżywi, to musieli tak urządzić, aby się brama nie otwierała. Moja rada jest taka. Chodźmy tam teraz, żelaznym bęcwałem wyjmijmy z piersi ich maszyny i spróbujmy otworzyć bramę. Uda się, to dobrze, nie uda się, czekajmy wschodu słońca, a potem w nogi.

- Rada jest dobra, ale niezupełnie. Uciec, uciekniemy, ale niedaleko. Po pierwsze nie smarny sił i jesteśmy głodni, a po drugie, kiedy reszta ich spostrzeże, co się stało, wyślą za nami pogoń.

- Sam mówiłeś, że chodzą powoli.

- Tak, ale mogą iść bez zmęczenia cały dzień. Trzeba nam uciekać bardzo szybko. Piszczalko, mam myśl, wielką myśl!

- Zdarzyło się ślepej kozie ziarno.

- Nie kozie, tylko kurze, ty kozi pociotku, co wszystko przypisujesz swojej rodzinie. Otóż, Piszczalko ukochany, przecież my mamy konia.

- Tego, co tu sterczy?

- Oczywiście!

- Tak, tylko że dalej ujedziesz na zwyczajnym kiju, niż na tym koniu. Przecie ta kobyła nie ruszy z miejsca.

- Musi być jakiś sposób. Król na niej przyjechał, więc my możemy na niej odjechać. Trzeba się przyjrzeć temu zwierzakowi. Spójrz, Piszczalko, co on ma zamiast grzywy? Osiem żelaznych kołków, jeden za drugim.

Janek wlaźł szybko na żelaznego rumaka i pilnie badał jego szyję.

- Kołki są ruchome - mówił - i pewnie jedne wprawiają konia w ruch, inne nim kierują, inne go zatrzymują. Dotykam każdego z kolei, ale koń nie drgnął.

- A o świcie ruszy?

- Myślę, że ruszy. O Boże! Gdyby tak można na nim pojechać.

Zeskoczył z konia i bardzo podniecony omawiał z Piszczalką cały niebezpieczny plan. Naradzali się długo i rozważnie.

- Ty wyjdiesz z miasta i ukryjesz się opodal - mówił Janek - kiedy ja nadjadę, wskoczysz na konia.

- A jeśli ta ciężka bestia skoczy przedtem na mnie?

- Tak, to trudna sprawa, bo i tego nie wiemy, jak ten koń będzie szybko biegł. On może nawet pędzić, bo na czterech nogach łatwo utrzyma równowagę. Po cóż by go inaczej budowali? Trzeba nam będzie jechać razem. Znasz drogę do bramy?

- Łatwo ją znaleźć, bo tam sterczą dwie wysokie wieże.

- Pójdźmy teraz zbadać bramę, a potem wrócimy po konia.

Chociaż pewni byli, że ich nikt nie zaskoczy, szli jednak bardzo ostrożnie, pilnie bacząc, aby nie zbłądzić w powrotnej drodze.

- Mało musi być tych sztucznych ludzi - mówił Janek mimowolnym szeptem. - Niełatwo jest zapewne zmagistrować takiego straszliwego pajaca.

- Co to tak huczy? - spytał Piszczalka z niepokojem.

- To ich fabryki, które wciąż pracują.

- A ich samych tam nie ma?

- Nie wiem, ale na wszelki wypadek lepiej będzie, jeśli się oddalimy od tych głosów. Patrz, już brama!

Zbliżyli się bardzo ostrożnie.

- Nie ma nikogo! Jak to być może?

- Ja to rozumiem - odrzekł cicho Janek. - Równy z zachodem słońca kryją się oni w swoich domach, aby im nocna rosa nie zżarła rdzą tych dziwnych instrumentów albo samego ciała, które jest z żelaza. Ci, co strzegą bramy, muszą tu być gdzieś w pobliżu, bo się skryli przed nocą.

- A czemu ci się nie skryli, co tobie chcieli wyjąć serce?

- Ogarnęło ich takie zapamiętanie i tak się bali, abym nie uciekł, że się nie spostrzegli. Strażnicy muszą tu gdzieś jednak być ukryci. Zdaje mi się, że obok bramy stoi dom.

- Coś sterczy, ale czy to dom?

- Podejdźmy bliżej, tylko bardzo ostrożnie.

Był to istotnie dom z żelaza, bez okien, opatrzony jedynie we drzwi.

- To musi być strażnica - szepnął Janek.

- Trzeba tam wejść.

- Nie ma innego sposobu... Boisz się?

- Przyznam się, że się cokolwiek boję. Na otwartym polu mam większą odwagę. Może tam śpi jakieś licho...

- Jeżeli śpi, to nie jest takie straszne.

- A jeżeli nie śpi?

- To byłoby gorzej. Piszczalko, stań na straży i w razie czego krzyknij. Ja tam wejdę.

- Nie może to być! - szepnął Piszczalka gorąco - wejdziemy razem.

Janek nic nie odrzekł, a Piszczalka nie mógł dojrzeć serdecznego jego spojrzenia.

Serca się w nich tłukły, kiedy pełzli przez żelazny próg. Porozumiewali się dotykiem, wstrzymując oddech. Jeden i drugi, zanim ruch uczynił, wyciągnął przed siebie rękę i badał wszystko ostrożnie, jak owad mackami.

Pewnej chwili poczuł Janek tuż przy swoim uchu gorący oddech.

- To ja - szeptał Piszczalka - dotknąłem ręką jakiejś zimnej nogi.

- Leż dalej... - odpowiedział mu szeptem wprost w ucho Janek.

- Boję się, ale leżę...

Czołgali się, jak dwa węże w czarnej ciemności. Duszno tu było i gorąco, jak w piecu, a przy tym dziwnie strasznie; nie wiadomo było, czy ta ciemność nagle nie zawyje albo nie ugodzi śmiertelnie.

Wtem Piszczalka posłyszał jakiś zgrzyt.

- Aha! To jeden z nich już gotów.

Takiej mu to dodało otuchy, że odważył się szepnąć:

- Znalazłeś?

- Psst! znalazłem... Szukam drugiego. W tej chwili Piszczalka własną ręką dokonał „morderstwa” z wielką wprawą.

- Drugi wyciągnął kopyta! - szepnął.

- Cicho!

- Ani myślę! Ta żelazna hołota śpi żelaznym snem. Szukajmy prędzej!

Znaleźli dwóch jeszcze, potem pilnie przeszukawszy komorę, wychynęli z niej na księżycowe światło, zziajani, i rozgorączkowani.

- Do bramy! do bramy! - naglił Piszczalka.

Znaleźli znak zielony i żółty, wskazujący miejsce, gdzie były ukryte odpowiednie przyrządy.

- Naciśnij w tym miejscu, gdzie jest koło zielone!

Janek dotknął tego miejsca z największą ostrożnością.

- Otwiera się! otwiera! - wołał Piszczalka w podnieceniu.

- Gęba ci się tylko otwarła, brama ani drgnęła - rzekł Janek niespokojnie. - Czyś ty dobrze widział, który kolor otwiera bramę?

- Nie jestem ślepy: zielony otwiera, żółty zamyka.

Janek próbował dziesięć razy i brama się nie otwarła.

- Spróbuję naciskać w tym miejscu, gdzie jest żółte kółko...

- Tam się zamyka!

Janek przycisnął kółko żółte i brama otwarła się powoli, ciężko i bez szelestu.

- Och! och! - zdumiał się Piszczalka. - Musieli coś zmienić!

- Ani oni niczego nie zmienili, ani ty się nie zmieniłeś od wczoraj, zielona pało!

- Możesz powiedzieć „pało”! Ale dlaczego „zielona”? Gdybyś powiedział „żółta pało”! to by znaczyło, że mam otwartą głowę, bo widzę, że żółty kolor otwiera. Ale to wszystko jedno! Brama otwarta, uciekamy i mamy w pięcie żelaznych ludzi. Co teraz?

- Teraz wracamy czym prędzej do konia.

Szli z powrotem, żadnych już nie zachowując ostrożności.

- Strasznie się chełpili - mówił Janek - że są niezmiernie mądrzy, że cudowne wymyślili maszyny, a ta ogromna mądrość jest tylko na dzień.

- Ale mądrzy to oni są!

- Temu nie przeczę, ale człowiek, który ma żywe serce, jest jednak mądrzejszy. Piszczalko, niedługo zacznie świtać.

- Spieszmy się!

Pobiegli szybko, nie czując w podnieceniu ogromnego zmęczenia. Wchodząc na plac zadrżeli jednakże, chociaż byli tu niedawno. Księżyc już zaszedł, a mrok zrzędził cokolwiek. W niepewnym świetle niemile wyglądały leżące nieruchome postacie i koń olbrzymi, poczwarny, szeroko rozparty.

- Siadajmy na końskim grzbiecie i czekajmy świtu. Boże, żeby nam się udało! - mówił Janek.

Wydrapali się na wysoki grzbiet, Janek usiadł na przedzie, za nim Piszczalka, szeroko rozkraczywszy nożyny. Na wszelki wypadek opasał Janka ramionami.

- Najgorsze jest to, że nie wiem, jak tym koniem kierować... Będę dotykał kolejno wszystkich kołków, aż natrafię na właściwy. Piszczalko, czemu drzysz?

- Trochę z chłodu, trochę z głodu, a głównie dlatego, że po raz pierwszy w życiu siedzę na koniu. Słuchaj, a co będzie, jeśli nas schwytają?

- Będzie to, co już było.

- Ale nas chyba nie dostaną?

- Trudniej to będzie, bo ich jest chyba niewielu, a cała starszyzna leży bez ruchu. Pachołków mniej się boję.

- Czy żaden się nie rusza?

- Mało co widać, ale zdaje mi się, że nie.

- A może by tak zejść i jeszcze raz się przekonać?

- To złaź!

- Iii! skoro mówisz, że się już nie ruszają; to po co będę złaził?

- Więc siedź cicho!

- A co ty tam majstrujesz?

- Próbuję, czy te żelazne kołki poruszają się sprawnie. Zacznę od góry ku dołowi. Jak myślisz?

- Tobie łatwiej myśleć, bo siedzisz obok końskiej głowy, a ja od strony ogona. Myśl sam! Nie udało mi się z bramą, więc wolę pozostawić to tobie. Czy już świta?

- Jeszcze nie, ale lada chwila już się rozjaśni. Teraz bądź cicho, nie gadaj i nie ruszaj się.

- Jedno tylko, jeszcze tylko jedno: co będzie, jeśli ja zlecę?

- Dlaczego masz zlecić? Trzymaj się mnie dobrze!

- A jeżeli mimo tego zlecę?

- Zatrzymam konia, podniosę cię i pojedziemy.

- A jeżeli koń nie da się zatrzymać?

- Wtedy zeskoczę i jakoś będziemy się razem ratowali.

- Wcale się nie zmieniłeś od wczoraj! - rzekł słodko Piszczątka i mocniej się przytulił do Janka.

W milczeniu czekali teraz i z drzeniem serca. Dzień wstał już, ale gdzieś bardzo daleko i powoli po świetlnych smugach zbliżał się do tego smutnego miasta.

- Świta! - szepnął Janek i wpatrzył się w niebo.

Promienie zaczęły się ślizgać po żelaznych murach, wreszcie jeden, złocisty, padł na ogromny łeb konia.

- W imię Boże! - wyrzekł Janek z trudem. - Uważaj.

Drżącą ręką dotknął pierwszego kołka od góry. Serce przestało w nim bić na moment. Koń nie drgnął. Janek ostrożnie dotknął drugiego. Koń nie drgnął. W oddali począł uderzać zegar.

- Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć! - naliczył Janek.

Wczoraj o szóstej obudziło się miasto. Szybciej dotknął trzeciego. Koń nie drgnął.

- Trzeba od dołu, od dołu! - myślał Janek gorączkowo.

Dotknął ostrożnie pierwszego kołka od dołu.

- Rusza! - krzyknął Piszczątka przeraźliwie.

- Rusza! - powtórzył dziwnym głosem Janek.

Straszny koń, bijąc nogami ziemię, począł stąpać powoli i jakby uroczyście.

W tej stronie, w której płynęła rzeka, skąd wczoraj przyszli, ozwał się gwizd.

- Straże obudziły się! - pomyślał Janek z przestrawieniem. - Prędzej, prędzej!

Koń jednak stąpał dalej jakby na paradzie, kołysząc się z boku na bok.

- Słyszać ich! - zduszonym głosem rzekł Piszczątka

Wtedy Janek dotknął drugiego kołka. Koń nagle zmienił chód i zaczął, biec truchtem.

- Biegnie! - krzyknął Janek.

- Tamci idą! Prędszej!

Janek zawahał się przez chwilę i nagle dotknął trzeciego kołka; w tej samej chwili koń rzucił się w galop ruchem tak nagłym, że omal nie spadli.

- Trzymaj się! - wołał Janek.

- Trzy... trzy... trzy... mam się! - usiłował mówić Piszczątka.

Nagle Janek zbladł jak śmierć: ujrzał, że koń w pełnym galopie pędzi wprost na żelazny mur.

- Roztrzaska nas! - krzyknął i zaczął dotykać szalonymi ruchami rozmaitych kołków.

Koń uskoczył raz w lewo, raz w prawo, zmieniał chody, zwalniał, znowu gnał, lecz nie zawrócił w tę stronę, w której było widać wieże bramy.

- Śmierć! - jęknął Janek.

Mur był już o sto kroków, a rumak gonił.

- Zeskoczmy! - zawołał Janek.

- Nie jeszcze! - wrzasnął Piszczątka i odjął nagle ręce od jego tułowia.

Janek zrozumiał, że towarzysz jego zleciał, już gotował się do skoku z konia, kiedy usłyszał głos Piszczątki:

- Siedz! nie ruszaj się!

Nagle koń zaczął zataczać łuk tuż przed murem, o który miał roztrzaskać siebie i jeźdźców, i wpadł w pędzie w długą ulicę. Znowu skręcił w prawo i gonił galopem wprost w bramę szeroko otwartą.

Janek nie mógł niczego pojąć, ale o nic nie pytał.

- Gonia! - krzyknął za nim Piszczątka.

Słysząc było miarowy, ciężki tupot.

- Ale nie dogonia!

Wtem ze świstem przeleciał tuż obok nich jakiś ciężki przedmiot i padł przed nimi. Janek

dojrzał potężny młot. Koń gnał jednak jak opętany, jakby przerażliwe świsty poza nim gnały go lękiem. Wpadli w bramę, potem na stepową równinę.

- Do widzenia! - darł się za nimi Piszczątka, jakby kogoś żegnając.

Janek trzymał się końskiej szyi i z trudem łowił powietrze.

Pędzili tak czas niejaki, wreszcie chłopiec zaczął ostrożnie dotykać kołków z góry. Koń zwolnił biegu i zaczął iść równym, ciężkim kłusem. Wtedy dopiero ośmielił się obejrzeć i ujrzał z (niesłychanym zdumieniem Piszczatkę, siedzącego okrakiem u nasady końskiego ogona i kierującego nim, jak sterem.

Janek wszystko pojął. To Piszczątka zdołał zrozumieć, do czego służy ów ogon do steru podobny. Musiały być we wnętrzu konia jakieś dźwignie, poruszające ów ster, ale ich przedtem nie dojrzeli. W ostatniej chwili przyszło na Piszczatkę natchnienie, więc dotarł do końskiego ogona i tak nim długo kręcił, aż dobrze wykręcił.

- Cudny Piszczątko! - zakrzyknął.

- Pilnuj szkapy! - rzekł mu Piszczątka niby bardzo gniewnie. - Nie mam czasu na gadanie! Wal przedziej!

Janek znowu zaczął majstrować i znowu pognali jak opętani.

Kiedy się odsądzili mocno i kiedy wieże miasta dawno zniknęły im z oczów, Janek postanowił zatrzymać konia i czas dłuższy odpocząć. Chciał to uczynić tym pilniej, że wpadli na step, splekany w tysiączne rozpadliny i szczeliny, tak że łatwo było o upadek, gdyby koń stracił równowagę choćby na jedno mgnienie.

W tej chwili rumak pochylił się i coś zatrzeszczało i warknęło w jego wnętrzu, jakby żelazny złamał się tryb lub pękło jakieś żelazne wiązanie.

- Zatrzymaj konia! - krzyczał Piszczątka.

Janek zaczął dotykać tych kołków, o których już wiedział, że wstrzymują konia. Ten jednak nie ustawał i biegł biegiem coraz bardziej nierównym, jak gdyby żywe potykało się stworzenie.

- Zatrzymaj konia! - powtórzył niespokojnie Piszczątka.

- Nie mogę! - odkrzyknął tamten.

Rumak znowu się zatoczył, a po chwili, wpadłszy na równinę lekko opadającą, gnał znowu opętanym biegiem. Janek dotykał wszystkich kołków po kolei, wreszcie wszystkich razem, Piszczątka mocował się ze sterem ogona i nic nie pomagało.

Zeskoczyć nie mogli, bo pęd był za wielki.

Żaden nie byłby się już podniósł. Czekali więc Bożego zmiłowania.

- Może zupełnie się zepsuje i padnie! - myślał Janek.

Koń brzęczał, jakby wydawał jęki z nadmiernego utrudzenia. Gonił wprost przed siebie, jakby maszyna oszalała i wyrwała się spod ludzkiej władzy.

- Jeśli wpadniemy w las, zginiemy! - myślał Janek. - Co robić? Co robić?!

Nagle wydał zdławiony krzyk: na niezmiernej przestrzeni, daleko, jak okiem sięgnąć, rozlały się wody. Grzywiaste, spienione fale czołgały się ku brzegowi. Wielki szum zakołysał powietrze.

- Morze! - zakrzyknął.

Jeszcze raz przebiegł ręką po szyi żelaznego zwierzęcia. Zaczął uderzać w owe kołki żelazne, wreszcie zapomniawszy, że to żelazna maszyna pędzi opętanym biegiem, bił nogami o brzuch żelaznego bachmata, chcąc go skierować w lewą lub prawą stronę.

Piszczalka musiał zmartwieć, bo głosu żadnego nie wydał.

Koń wpadł w rozszumianą wodę, rozłukł szeroką pierśią fale i gnał jeszcze, z coraz większym trudem, coraz wolniej. Aż znikł pod wodą. Nowa fala zagarnęła jeźdźców ruchem tak miękkim, jakby ich chciała przycisnąć do swojej szmaragdowej piersi.

Rozdział trzynasty

w którym krwawy tygrys straszliwie ryczy, a nikt sobie z tego nic nie robi

- Kapitanie! - mówił człowiek, obrosły na gębie - wyłowiliśmy z morza dwóch niedorostków!
- Co uczyniliście z nimi?
- Nakarmiliśmy ich, a teraz odpoczywają. Co robić dalej?
- Powiesić ich na rei! - wrzasnął ten, którego mianowano kapitanem.
- Wedle rozkazu! - odrzekł tamten.
- Czemu nie odchodzisz? - zapytał kapitan głosem tak nasrożonym, jak gdyby miał ostre kolce.
- Bo nie wiem dobrze, czy mam ich powiesić zaraz, czy później, kiedy się obudzą?
- Co będzie dla nich gorsze i straszliwsze? - krzyknął kapitan, tocząc straszliwie oczyma.
- Kiedy się obudzą!
- To ich powieś wtedy, a teraz odejdz, bo cię każę rzucić rekinom! - wrzasnął przeraźliwie. - Ha! Na wszystkie okręty świata! Czemu nie odchodzisz?
- Nie wiem - mówił człowiek podobny do niedźwiedzia - czy mam ich powiesić głową do góry, a nogami na dół, czy też nogami do góry, a głową na dół?
- Co będzie dla nich straszliwsze? Mów prędko, co ich więcej zaboli?
- Powieszenie głową do góry jest przykre, ale głową w dół jest znacznie przykrzejsze...
- To ich powieś tak, aby nogi sterczały do góry! Ha! ha! Niech wiedzą, z kim mają do czynienia! Czy dowiedzieli się już, w czyje wpadli ręce?
- Nie jeszcze, dostojny panie!
- Powiedz im to, powiedz im to natychmiast. Albo nie! Na cztery wieloryby i dwa węże morskie! Nie mów im tego zaraz, bo padną trupem od razu na dźwięk mojego imienia i nie będą cierpieć. A ja chcę ich męki!
- Jeżelibym śmiał powiedzieć...
- Mów prędko, póki nie wpadnę we wściekłość!

- Najlepiej by było, gdybyś im to powiedział sam, dostojny panie!

- Czy wtedy więcej się przerażą?

- Stokroć więcej... Będą drżeli tak, jak my wszyscy, twoi słudzy.

Słyszac to kapitan zazgrzytał zębami i zaczął toczyć straszliwie oczyma. Był to człek niewielki, bardzo rumiany, z niezmiernie pocziwymi oczyma. Dźwigał przed sobą wesoły, bo wciąż jakby ze śmiechu trzęsący się, brzusek, na którym drżało wetkniętych za pas pięć srogich kindżałów. Wśród ludzi całego świata nie można by znaleźć figury pocziwszej i mniej groźnej.

- Będą drżeli, powiadasz? Dobrze! Niech ich trwoga zabije, a potem ich powieszisz. Co im dałeś do zjedzenia?

- Chleba i mięsa, kapitanie! Strasznie byli wygłodzeni...

- Źle zrobiłeś, źle zrobiłeś. Każę cię osmagać! Trzeba im było dać do zjedzenia truciznę! A teraz śpią?

- Tak, dostojny panie! W ciężkich musieli być terminach, bo na własnych nogach ustać nie mogli.

- Biedacy! - szepnął straszny kapitan, a nagle wrzasnął: - Łotry, obieżyświaty, oczajdusze, wydrwigrosze! Na mój okręt się wdarli i myślą, że ich tu karmić będziemy. Ha! - zgrzytnął zębami - a my nakarmimy nimi ryby. Każ ich powiesić! Każ ich powiesić!

- Czy zaraz, dostojny panie? Już ciemno, własnej śmierci nie zobaczą...

- Jutro ze świtem! Teraz niech się wyśpią. Czekaj! A może by ich obudzić i dać im po sto batów, aby wiedzieli, u kogo są w gościnie!

- Owszem, dostojny panie, nie byłoby to najgorzej. Idę ich obudzić rzemieniem...

- A czy umiesz doliczyć do stu?

- Nijak, kapitanie!

- Tedy daj pokój, bo się możesz pomylić. Ja to sam jutro zrobię. Precz mi z oczu, psie!

Obrosły na gębie człowiek uśmiechnął się nieznacznie, lecz udając strach przeraźliwy odszedł na chwiejnych nogach. Kapitan przez długą chwilę toczył straszliwie oczyma, a zębami tak zgrzytał, jakby gryzł orzechy; kłął szpetnie wściekłym głosem i śmiercią tak wywijał, jak biczem, po czym chmurny jak noc burzliwa poszedł do drewnianego domku na pokładzie. Kiedy zaś usnął, to tak chrapał, jak gdyby chciał zagłuszyć morze, a na dalekich lądach wywołać trzęsienie ziemi.

Gdyby jednak huragan najsroższy targał w tej chwili okrętem, nie byłby obudził dwóch braci śpiących, Janka i Piszczalki. Dobyci z wielkim trudem z morza, odziani w jakieś stare marynarskie

łachmany, zbyt dla nich obszerne, nakarmieni i dobrym powitani słowem, zapadli w głęboki sen. Przytuleni do siebie, leżeli wśród zwojów lin, jakby półżywi. Kiedy ujrzeli ludzkie twarze, brodate, srogie i słońcem spalone, pomyśleli, że znowu wpadli w jakąś moc wrogą, lecz było im to wszystko jedno, tak byli bezsilni i tak niehumanitarnie pomęczeni. Srogie twarze usiłowały jednak uśmiechnąć się do nich, a poczciwe zdumienie wyrazić na widok Piszczalki. Śniło się wprawdzie Jankowi, że wpadł w ręce zbójców, lecz, zanim usnął, pomyślał, że ci morscy ludzie nie uczynią mu jednak krzywdy. Jakiś brodacz, bardzo gęsto i czarno na gębie obrosły, uśmiechał się do niego i coś mówił, lecz Janek, słaniający się ze znużenia, już go nie słyszał. Zdawało mu się, że we śnie widzi tego brodacza, jak się nad nim nachyla i dotykając ręką jego głowy, powiada:

- Wypałeś się, chłopcze?

Janek otwiera oczy szeroko i widzi, że to nie sen. Słońce stoi wysoko na niebie. Piszczalka śpi obok, a daleko coś szumi.

- Co to tak szumi? - pyta Janek nieśmiało.

- Morze! - odrzeczcie gęsta broda.

- To my jesteśmy na morzu?

- Przecie wyłowiliśmy was z wody. Ciebie i tego, co śpi. Kto to taki?

- Dobry to chłopiec.

- Czy to człowiek?

- Człowiek i nie człowiek, dużo o tym mówić.

- Zbudź go, chłopcze, bo musicie iść do kapitana.

Janek wstrząsnął lekko Piszczalką, Piszczalka otworzył na chwilę oczy, krzyknął przeraźliwie: „Król leci!” i znowu zasnął. Usilnej pracy i połączonym natarczywym namowom Janka i brodacza udało się wreszcie przyprowadzić Piszczalkę do jakiejś takiej przytomności. Przez chwilę patrzył błędnie, a ujrzawszy srogą gębę morskiego człowieka, wrzasnął: „W nogi, Janku!”, i chciał uciekać.

Brodacz ryknął śmiechem takim, że żagle załopotały, jakby w nie nagle wiatr uderzył, a Janek, chwyciwszy Piszczalkę za rękę, rzekł:

- Nie bój się, bracie, jesteśmy w ręku dobrych ludzi. Czy słusznie mówię, szlachetny panie?

- Nie nazywaj mnie szlachetnym panem, bo jestem prostym marynarzem w służbie dostojnego gubernatora, przed którym za chwilę staniecie. Z rozkazu króla jedzie on na dzikie wyspy, aby nam nimi panować.

- Czy dobry to pan?

- Do rany go tylko przyłożyć. Dalibyśmy wszyscy zabić się za niego, ale słuchaj no, chłopcze, i ty, dziwne stworzenie, co wam powiem. - Obejrzał się czujnie i dodał szeptem: - Nie ma chyba na całym świecie lepszego człowieka, ale on sobie uroił, że jest najokropniejszym tygrysem i okrutnikiem straszliwym. Myśli pewnie, że ludożercy przestraszą się niezmiernie, kiedy z taką do nich zjedzie sławą, bo sam nikczemnej jest postaci. Toteż róbcie takie miny, jak gdybyście każdej chwili spodziewali się śmierci. Gołąb to jest, nie człowiek, ale kiedy mu się ubrdało, że pije krew, to mu nie psujcie zabawy. Wczoraj kazał mi was powiesić...

- Ojoj! - stęknął Piszczalka.

- Nie bójże się, nieszczęśniku! O, właśnie woła!

Donośny głos dzwonu odezwał się na pokładzie; wnet zatupotały liczne bosc nogi, zewsząd biegnące na przód okrętu.

- Prędeej, prędeej! Zróbcie przerażone gęby!

Piszczalki nie trzeba było prosić o taki drobiazg, Janek jednak wykonał polecenie bardzo nieudolnie.

Brodacz, chwyciwszy ich mocno za karki, wiódł ze srogą miną tam, gdzie otoczony załogą stał kapitan. Śmierć miał na twarzy, piorun zastygły w oczach, burzę w gębie, a wielką jasność w duszy. Ujrzawszy ich, najpierw przebił na wylot spojrzeniem, zagroził śmiercią siedmiokrotną i tysiącem lat najwymyślniejszych mąk. Potem zakrzyknął, cisnąwszy z poczciwych oczów błyskawicę zdumienia:

- Co to ja widzę? Oni żyją! Czyż ich nie kazałem powiesić?!

- Na kolana! - szepnął, brodac, gnąc ich ku ziemi. Sam też ukląkł i mówił drżącym głosem:

- Panie dostojny, myślałem, że to za lekka dla nich śmierć!

- Ha! - wrzasnął gubernator i razem kapitan wspaniałego okrętu.

Śmierć krótka i nagła, jak piorun, okropną twarzą mignęła w tym słowie.

- Lepiej będzie, wspaniały panie, jeżeli zginą później, a ty ich przedtem wybadasz, kim są i skąd tu przybyli?

Dostojnik zazgrzytał wszystkimi zębami od razu, a załoga uczyniła to samo. Dwóch wyciągnęło wielkie noże z za pasa i zaczęło je ostrzyć na podeszwie bosych nóg.

Piszczalka drżał i starał się ukryć głowę w zbyt szerokiej bluzie, którą pierwszy raz w życiu miał na kosmatym swoim ciele. Janek, spojrzawszy chyłkiem na dobrą twarz straszliwego męża, uśmiechnął się w duszy i głosem pełnym niezmierniej rozpaczyny zakrzyknął:

- Łaski!

- O łaskę skomlisz, ty szczęściu. Ha! - wrzasnął gubernator - a wiesz ty, przed kim wijesz się ze strachu? Ja jestem Escamillo Miguel Juan Antonio Sanchez Rodrigo Fernando Basilio Alfons Manuel Ildelfons Diego Carlos Martinez Huerta Amadeusz Alvarez Pedro Lopez Wincenty Garcia Baltazar Iglesias Gaspar Estebainez, dwadzieściorga pięciorga imion don Toros y Vanilla de la Malaga y Quichote de la Mancha y Xeres, hrabia Colorado y Campos de Sevilla y Castro, księżę Camforra y Strada y Centos Pesetes y Lampados, markiz Gallardos y Punsá y Guadalquivir y Colomba de las Bujdas y Cavallos y Levapienta y Carramba de la Corrida y Calafonia de la Arabesca y Capichos del Tintero Largo y Hervamate y Nevada y Menzanares y Banderillos y Conchaucha de las Gembas y Fuertos y Gitaros de la Serenada y Mantilla et caetera, et caetera. Ha, drżysz?

- Łaski! Łaski! - jęczał Janek.

- Nędzniku! - krzyknął kapitan - a teraz ty mi powiedz swoje imię, abym wiedział, kogo każę obedrzeć ze skóry.

- Nazywam się Janek...

- A dalej?

- Dalej już się nie nazywam.

- Jak to? I to już wszystko? Trzymajcie mnie, bo mu wydrę oczy! Jak śmiesz nazywać się tak krótko? Hej, wy psy, wielbłądy garbate, wy szakale! Wlejcie mu w gardło roztopionego ołowiu! To nie jest szlachcic, a ja z nim rozmawiałem. Obraził mnie śmiertelnie! Prędko, prędko, połamcie mu żebra! On ma tylko jedno imię, ten wściekły pies... Na śmierć z nim!

- Panie! - wrzasnął z kolei Janek - ja mam wiele imion i wspaniałe nazwiska, lecz lęk przed tobą pomieszał mi zmysły. Siejesz trwogę taką, że się niebo chmurzy!

- Ha! ha! Lękasz się, zdychasz z trwogi!

- O, panie dostojny! - starał się przekrzyczeć go Janek - gdybyś raczył na chwilę w inną stronę obrócić wzrok, który mnie żywym ogniem pali, przypomniabym sobie wszystkie moje godności i zaszczyty.

-I cóż z tego, że się odwrócę? - darł się kapitan - kiedy od tyłu jestem równie straszny! Uczynię to jednak, a ty mów prędko, bo śmierć się nudzi, czekając na ciebie zbyt długo. Kto jesteś?

Janek nabrał oddechu w płuca i zaczął sypać słowa, jak grad:

- Jestem Jan Kapistran Pantalemon Barnaba Józef Pafnucy Wojciech Michał Onufry Idzi Jacek Kalasanty Bonawentura Ignacy Michał Paweł Gerwazy Roch Protazy Bonifacy dwadzieściorga imion...

- Stój, bo cię zatłukę! O pięć imion masz mniej ode mnie! - wrzasnął z triumfem kapitan. - A dalej?

- Dalej też mniej, ale jednak zwę się don Ogórek y Marchew hrabia Salceson y Pietruszka de la Słonazupa, księżę Gęsiaszyja, markiz Cebula y Czosnek de la Paskudnagęba, y Kapusta y Kiszka y Levanoga de la Stareportki y Koziabroda y Kopyto de la Kaczydolos et caetera et caetera.

- Czy to stare są rody? - wrzasnął kapitan.

- Pamiętają narodziny ziemi! - rzekł skromnie Janek.

- A ten kto taki? ha!

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę Piszczalki, który dlatego tylko nie mógł zapaść się pod ziemię, że pod okrętem była woda. Sam Strach więcej się nie stracha, niż on się strachał, widząc przeraźliwą minę kapitalna i potężne jatagany za jego pasem.

- Ten? - rzekł Janek, szukając nadaremnie jakiegoś wybiegu. - O panie!

- Wiedz - zawołał kapitan - że pytam raz jeden tylko, drugi raz posyłam z zapytaniem śmierć!

Janek podniósł nagle w górę ręce i zakrzyknął:

- Panie! O dostojny gubernatorze! Kim on jest, tego ja przy wszystkich powiedzieć nie mogę. Jest to tajemnica tak straszliwa, że mogę ją odsłonić tylko tobie. To mogę tylko powiedzieć wobec wszystkich, że jesteście obaj nieszczęśliwi i ja, i ten, którego imienia powiedzieć ci nie mogę.

- Jesteście nieszczęśliwi? - zapytał z miękkim rozrzewnieniem kapitan, lecz nagle spostrzegłszy się, że ze srogiego tygrysa, jakim był dotąd, zostały tylko wąsy, wrzasnął:

- Co mnie to obchodzi, że jesteście nieszczęśliwi? Oszuści niegodni, pasy z was drzeć każę. Każę was ugotować w ukropie. Hej, wy tam, czego stoicie, jak byście zjedli śmierć? Przygotować kocioł z gorącą wodą!

Usłyszawszy to, Piszczalka krzyknął przeraźliwie.

- A ten czego tak wrzeszczy? - zawołał kapitan.

- Z wielkiej trwogi, panie! - odrzekł Janek. - Wszak będzie gotowany w ukropie!

- W? jakim ukropie? Dlaczego ma być gotowany? - zdumiał się zacny tygrys, a przypomniawszy sobie, że sam obiecał zrobić z nich smakowitą zupę, zaczął bardzo groźnie poruszać wąsami, burczeć okropnie, okiem łypać, potem dodał: - Ciebie tylko każę ugotować, a jemu inną śmierć obmyślę.

Uśmiechnęli się poczciwi marynarze, uśmiechnął się niewidocznie Janek i rzekł:

- Panie! Wiem, że jesteś okrutny i że śmierć nas nie minie. Już samo spojrzenie twoje zabić potrafi. I choć nie mam nadziei, abyś nam darował życie...

- Nigdy! - przerwał mu kapitan. - Musi zginąć każdy, co stanął na mojej drodze.

- Wiem o tym panie, lecz przedtem racz .pozwolić, abym ci .wyznał wszystko.

- Może myślisz - zaśmiał się piekielnym śmiechem kapitan - że potrafisz sobie życie u mnie wyprosić?

- Jestem gotowy na śmierć! Kiedy mam umrzeć? O panie! Ponieważ nie pragnę moją osobą znudzić tak wielkiego pana, pozwól, że sam sobie śmierć zadam i ze się natychmiast utopię.

Kapitan wydał piskliwy ryk i wrzeszczał:

- Trzymajcie go, trzymajcie go, na Boga! To wariat! On się gotów naprawdę utopić!

Rzucili się marynarze i ukrywając śmiech odciągali Janka od burty.

- Za to, coś uczynił - mówił rozzalonym głosem straszliwy kapitan - powinienem cię kołmi włóczyć, tylko że nie mam na okręcie koni. Ale ja ci coś takiego obmyślę, że umrzesz siedem razy. Po coście go zatrzymali, podli zbójcy? Kto wam kazał? Ryby także chcą jeść! Już by go tu nie było, a teraz jest i ja muszę dla niego obmyślać męki. O co to prosisz, przeklęty topielcze?

- Abyś mnie, panie, raczył wysłuchać.

- A rozmawiałeś ty kiedy w cztery oczy ze śmiercią?

- Nigdy, panie.

- To będziesz rozmawiał. Chodź ze mną i ten twój towarzysz niech idzie. A teraz obejrzyj się dookoła i przypatrz się, jak świat wygląda, bo go już więcej nie zobaczysz. Brodacz, gdzie jest Brodacz?

- Jestem, panie!

- Kiedy ja będę gadał z tym żyjącym nieboszczykiem, ty pilnuj żagli. Kieruj się wciąż na wschód!...

- Panie, czy twój okręt płynie na wschód?

- A cóż to ciebie obchodzi, ty topielcze? Czy tobie nie wszystko jedno, gdzie umrzesz, na wschodzie czy na zachodzie? Czegoś tak posmutniał?

- Dowiesz się o tym, szlachetny panie!

- Nie jestem szlachetny! Jestem straszny! Teraz chodź i zabieraj tego capa.

Zawiódł ich do pięknie i bogato urządzonej komory, pełnej skrzyń i różnorodnej broni. Tam usiadł na ławie i rzekł groźnie:

- A teraz gadaj! Moje noże pragną krwi...

Janek, serdecznym na niego spojrzawszy wzrokiem, zaczął mu opowiadać o swoich i Piszczalki niedolach. Opowiedział, że uczynił okropną umowę i że ma się stawić za rok i sześć niedziel w jednym nieznanym mieście gdzieś na zachodzie, a gdyby tego nie uczynił, umrze ten, którego kocha nade wszystko. Opowiedział mu o Piszczalce, jak od diabłów uciekł, jak się do prawdziwego Boga nawrócił i jak cudowne ma serce.

- A teraz - kończył - kiedy wiesz, panie, o wszystkim, uczyn z nami, co zechcesz.

Straszliwy kapitan siedział, głowę siwą oparłszy na rękę, i słuchał chciwie. Kiedy Janek skończył, oczy jego pocziwe zwilgotniały i łzy zaczęły spadać na wąsy. Usiłował robić straszne miny, wreszcie machnął ręką i rzekł:

- Niech się Bóg nad wami zlituje!

Pogładził dwie biedne głowy i długo nad czymś rozmyślał. Potem powiada:

- Gdybyście kiedy komukolwiek powiedzieli, że byłem dla was dobry, to was zabiję.

- Panie - mówił Janek, uśmiechając się przez łzy - jesteś najlepszym człowiekiem na świecie.

- Jestem potworem! - wrzasnął gubernator. - Czy widziałeś, jak bledną moi ludzie, kiedy mnie ujrzą?

- Jesteś potworem, panie, ale twoi ludzie kochają cię tak, że zabić się dadzą za ciebie!

- Kochają mnie? Zabić? Dla mnie? Więc to bunt? Każę zatopić okręt i potopić ich, jak szczury!

Wyleciał na pokład, jak gradowa burza. Morze musiało struchleć, ujrawszy straszliwość tego męża.

- Brodacz! Gdzie jest Brodacz!

- Jestem, panie! - krzyknął tamten nadbiegając szybko.

- W którą stronę płyniemy? Mów, jeśli ci życie miłe!

- Na wschód, panie, ku wyspom... - odrzekł Brodacz niepewnie.

- Na wschód? Zaraza na was, psy, wielbłądy, szakale, hieny. Kto wam kazał płynąć na wschód? Jaki w tym sens, aby płynąć na wschód? Czy chcecie płynąć po własną śmierć, opryszki -morskie? Na wschód zachciało się wam, zbrodniarze! Za to pognijecie w dybach. Oby rekiny zżarły wasze ścierwo! Czy nie rozkazałem wyraźnie, że mamy płynąć na zachód, ile wiatru w żaglach?

- Tak - odrzekł sprytny Brodacz, śmiertelny lęk udając - to moja wina, panie, że źle zrozumiałem.

- Ha, przyznajesz się. Sześć dni będziesz jęczał bez kropli wody!

Brodacz padł na kolana i zaczął jęczeć.

- Panie dostojny - wołał płaczącym głosem - a czy mi będzie wolno pić wino?

- He? - zdumiał się kapitan - wino? Czy mówiłem co o winie? Nie! Wino mnie nic nie obchodzi, ale gdybyś dotknął kropli wody, zginiesz!

- Bądź spokojny, panie!

Porwał się z klęczek uradowany, lecz straszliwą udając żal, i zakrzyknął jak burza:

- Ohej, załoga! Zawrócić okręt na zachód!

Janek patrzył szczęśliwy, jak okręt, wiatr schwywszy, zatoczył łuk jak bystry koń i popłynął w zachodnią stronę. Kapitan, mocno zbrojny i pełen rozszochanych gniewów, zbliżył się do chłopca i złym głosem rzekł:

- Chciało ci się zapewne płynąć na wschód, mały łotrze, ale nic z tego! Aby ci dokuczyć, kazałem zawrócić okręt na zachód. Ha! - dokończył wściekłym głosem.

Janek bowiem skoczył ku niemu, chwycił jego rękę i okrył pocałunkami.

Kapitan chciał najdzikszym głosem zawołać śmierci, sapnął straszliwie, chwycił potem krzywy jatagan, ale ponieważ po tych wszystkich śmiertelnych przygotowaniach oczy napełniły mu się łzami, zakręcił się jak wrzeciono i uciekł do swojej komórki.

- Są jeszcze dobrzy ludzie na tym świecie! - mówił wzruszony Janek do Piszczalki.

Piszczalka długo powracał do życia, a zrozumiawszy wreszcie, że ten straszliwy mąż ma serce z wosku, a duszę tak dobrą jak dziecko, odnalazł swoją struchlałą odwagę. Leżąc po sutym posiłku na pokładzie w złotych blaskach zachodzącego słońca, które im wprost w twarz świeciło, gadali sobie o cudownym ocaleniu i o tym dobrym człowieku, co udawał okrutnego piekielnika.

- Od razu go polubiłem - rzekł Piszczalka - bo bardzo do siebie jesteśmy podobni. Ja też czasem groźną przybieram postać, a serce to mam łagodne. Szkoda tylko, że się tak jakoś krótko nazywam: Piszczalka. To nie jest żadne imię, nawet cokolwiek śmieszne. Czy mógłbyś mi wynaleźć imię poważne, a równie piękne?

- Owszem; przybierz nazwisko równie śpiewne i pełne harmonii, a stateczne i dostojne.

- Jakie to imię?

- Fujara. Bardzo piękne imię!

Piszczalka spojrział podejrzliwie.

- Co to takiego jest Fujara?

- Jest to dorosła Piszczalka. Głos ma grubszy i jest bardziej pękata.

- Nie wiem dlaczego, ale to imię nie podoba mi się wcale. Niech już będzie Piszczalka.

Chciałem ciebie zapytać jeszcze, czy ty naprawdę masz dwadzieścioro imion i te wszystkie nazwiska?

- Gdzież tam!

- To po coś łągał?

- To nie było łągarstwo, tylko żart. U tego narodu, uważasz, z którego pochodzi ten przezacny gubernator, taka jest moda, że im kto znaczniejszy, tym więcej ma godności i tytułów. Zrobiłem mu wielką przyjemność, zresztą on wiedział, że ja bredzę, ale udawał, że równy z równym gada.

- To czemużeś i mnie za jednym zamachem nie nazwał tak pięknie?

- Mój kochany, gdybym ja się zwał Piszczalka, to bym się już nigdy nie chciał nazywać inaczej.

- Czy ty kpisz, czy mówisz naprawdę? Oj, co to tak huśta!

- Morze rozigrało się pod wieczór. Patrz, jakie jest wspaniałe i niezmierne!

Patrzyli oczarowani na fale nieskończone, ciemnozielone, bujnie pianą porosłe, rozgadane potężnym rozgwarem i szumem.

Wiatr łopotał w żaglach i wydymał ich ogromne brzuchy. Marynarze byli w ciągłym ruchu, zręczni i zwinni; każdy, który ich mijał, uśmiechnął się do nich i pokrzykiwał wesoło.

- Dobrzy to są ludzie - rzekł z uznaniem Piszczalka.

- To podobno morze tak serca oczyszcza z wszelkiej złości.

- Pierwsi to ludzie, co nam nie uczynili krzywdy.

- I nieostatni, Piszczalko, i nieostatni. Wiele jest na świecie ludzi dobrych.

- A ci z podziemi byli źli!

- To byli nieszczęśliwi. Sam o tym nie wiem, lecz mnie mój ojciec, Witalis, nauczał, że na świecie jest więcej dobrego, niż złego. I oto patrz! Źli nie mogli nam żadnej uczynić krzywdy, a dobrzy nas wspomogli.

- Co oni z nami uczynią?

- Nie wiem. Dopłyniemy do zachodniego brzegu, tam nas zapewne wysadzą na ląd i pójdziemy dalej.

- Jeszcze jedno! Czy myślisz, że ci ludzie są bardzo dobrzy?

- Oczywiście!

- Więc mi nie odbiorą tych szat, w które mnie przyodziali?

- Tego nie wiem, ale możemy ich o nie poprosić.

- Trochę jest mi w nich niewygodnie, gdyż są zbyt obszerne, ale są nad wyraz piękne i dodają mi powagi. Ale to jest bardzo śmieszne! Najpierw kapitan chciał nas obedrzeć ze skóry, a teraz nam dali drugą skórę. Chciał nam wlać w gardło roztopionego ołowiu, a potem kazał dać wyśmienite jedzenie. Bardzo mi się podoba na tym okręcie. Boję się tylko, że znowu utyję, co by minie bardzo zmartwiło, gdyż już wszystko sadło ze mnie gdzieś się podziało po drodze.

- Stracisz go, niebożę, więcej jeszcze!

- Co mi tam sadło! Niezmiernych dokazaliśmy rzeczy... Powiadam ci, że i mnie płakać chciało się, kiedy o naszych przygodach opowiadałeś kapitanowi. Wierzyć mi się nie chciało, żeśmy tak zwojowali tych żelaznych łapserdaków. Konia mi tylko szkoda, bo dobry był, i gdyby mu się było coś w brzuchu nie popsulo, byłibyśmy na nim dojechali na koniec świata. Co jemu mogło się stać?

- Skoczył w morze, bo mu się pić zachciało.

- Pić? Dobrze, że mi przypominałeś! I ja się sporo napiłem, ale to ci powiem, że to jakaś dziwnie paskudna woda, jakby ją kto posolił. Nigdy nie będę pił morskiej wody, bo i w gębie słono, i w brzuchu potem strasznie burczy. Teraz mi już lepiej, ale kiedy ten kapitan tak nad nami wydziwiał, myślałem, że ducha wyzionie, a wszystko przez tę wodę. Patrz, patrz, Brodacz idzie! To też strasznie dobry człowiek, tylko czemu on tak niepewnie chodzi? Okręt bardzo się chwieje, ale on jeszcze bardziej. Hu! hu!

- To dlatego, że mu nie wolno przez sześć dni pić wody. Napił się wina i chwieje się z wielkiej żalości.

Noc zapadła, a oni jeszcze gadali o wszystkich dziwnych rzeczach i zdarzeniach. Spali potem mocno.

Trzy dni minęły jasne i pogodne i trzy noce przemknęły wśród gwiazd po niebie. Przez ten cały czas na próżno wyglądali kapitana; albo wychodził na pokład wtedy, kiedy spali, albo wcale nie wychodził, bo marynarze niespokojnym wzrokiem patrzyli wciąż na drzwi jego komory. Smutno było na okręcie bez jego krzyku i nieszkodliwych złorzeczeń. Janek tęsknie go wyglądał, aby mu choć spojrzeniem raz jeszcze podziękować, że ze swej podróży zawrócił, by tylko jego dowieźć na zachodnie ziemie.

Czwartego dnia, o świcie jeszcze, przeciągły głos zakrzyknął z bocianiego gniazda:

- Ohej! Ziemia!

Na dalekim widnokrzęgu wynurzał się łód, siny w wielkiej oddali.

Ruch uczynił się na pokładzie, wszyscy biegli na przód okrętu.

- Baczość, kapitan! - krzyknął nagle Brodacz.

Gubernator wypadł z komory i drobnym kroczeniem zdążył ku marynarzom, którym od razu srogie rozpogodziły się gęby.

- Kto krzyczał: ziemia! - wrzasnął kapitan - jaka ziemia? Gdzie ziemia? Ze skóry go obedrę, jeśli zełgał. Brodacz!

- Słucham, panie!

- Przygotuj postronek, bo będziesz wisiał, jeśli nie płynąłeś na zachód. A to wy, oczajdusze, oszuści, wydrwigrosze! - zakrzyknął, ujrzawszy Janka i Piszczalkę. - Brodacz! Jakim prawem oni jeszcze żyją?

- Nie było rozkazu! - rzekł marynarz.

- To jeśli ja o czym zapomnę, to ty nie możesz o tym pamiętać? Łotrem byłeś zawsze i skończysz na torturach. Czego się gapicie? Nie widzieliście ziemi? Brodacz, czy widać na brzegu drzewa?

- Tak, panie, cały las!

- To dobrze! Na każdym drzewie będzie wisiał jeden z was. Wielbłądy garbate! Bij, morduj!

- Kogo, kapitanie?

- Wszystko jedno, wszystkich, wszystkich po kolei!

Sapał zacny kapitan straszliwie i miotał błyskawice z oczów.

Okręt przybijał do brzegu powoli i ostrożnie. Kiedy zarzucono kotwicę, gubernator znowu wielki rozpoczął rwetes.

- Wziąć łódź - krzyczał - wsadzić na nią tych dwóch i płynąć na brzeg. Brodacz, zakało ludzkości! Popłyniesz z nimi i zamordujesz ich na brzegu. Nie będę walał pokładu ich krwią. Zarżnij ich albo uduś na brzegu. Słyszałeś?

- Słyszałem, panie!

- Daj im żywności na kilka dni... To na wypadek - jąkał się - gdyby się który wyratował. Ale morduj ich dokładnie. A ty czego tak na mnie patrzysz? - krzyknął na Janka.

Janek nic nie odrzekł, tylko uśmiechnął się oczyma pełnymi gorącymi łez.

- A ten drugi też wciąż na mnie patrzy. Wyłupić im oczy! Prędej! prędej! A pamiętaj, żebyś zabrał dla nich i wodę, bo ci czaszkę rozłukę. Precz mi z oczu, kundle! Trzymajcie ich pod wiatr, bo się wścieknę, jeśli ich nosem poczuję!

Zgrzytając zębami, zbliżył się do Janka, chwycił jego głowę w obie ręce i mówił szybko:

- Wynoś mi się z okrętu, rzezimieszku!... Niech ci Bóg błogosławi... Jak śmiesz płakać? Mało wody w morzu, jeszcze twoich łez potrzeba? Dajcie mi nóż, niech go pchnę! Biedaczysko moje kochane... Niech ci Matka Boska... Prędej tam, draby, bo patrzeć na nich nie mogę!... Modlić się będę za ciebie, ale co tam moja modlitwa!... Okrutnik jestem!... Pan Bóg mną gardzi... Idź już, idź, sieroto najmilszy... Hej, obwiesiu, co tam robisz przy sterze?... Nie płacz, bo mi się serce kraje... A ten cap czego beczy? Dajcie mi noża, muszę zarżnąć to szczenię... I tobie niech Bóg pomaga... Brodacz! Gotowe wszystko?

- Gotowe, panie!

- Zamorduj ich! nie miej litości!... Jedzenie masz?

- Mam - rzekł Brodacz i otarł oczy.

- Ostrożnie przy brzegu! Gdybyś mi którego z nich skrzywdził, to ci serce wydrę... Morduj, morduj bez litości...

Ostatnie słowa mówił głosem nieco niewyraźnym i coraz to głowę odwracał; wreszcie nie mógł wytrzymać, uściśnął Janka i Piszczalkę, który rozbeczał się na głos, po czym ich wypchnął za burtę. Patrzył długo za łodzią, bardzo smutny i milczący. Śmierć musiała się nudzić, zdumiona, że jej nie woła.

Po godzinie wrócił Brodacz i stanął przed kapitanem.

Kapitan nasrożył twarz, wściekłością uzbroił spojrzenie i wrzasnął:

- Zamordowałeś ich?

- Tak, panie - odrzekł ze zgrzytem zębów Brodacz.

- Bardzo ich męczyłeś, wściekły kundlu?

- Okropnie, kapitanie.

- To dobrze! A co teraz robią?

- Klęczą na brzegu i modlą się za ciebie, panie - odrzekł cicho Brodacz.

- Głupiś! - wrzasnął straszliwy kapitan i uciekł do swojej komory.

Rozdział czternasty

w którym łyk wody kosztuje dziesięć plag, a złoto, co nie jest złotem, warte jest więcej, niż złoto

- Lepiej było na okręcie - mówił z goryczą Piszczalka, wędrując po bezpłodnej równinie, na której z rzadka rosły kaktusy. - Bardzo polubiłem morze i jestem przekonany, że byłbym wybornym marynarzem. Leży się przez cały dzień na pokładzie, nic się nie robi, je się dobrze, wiaterek cię ochładza, a morze, jak Wielki koń, dźwiga cię na grzbiecie.

- Często byś zapłakał, wspaniały żeglarzu - śmiał się Janek - gdyby -nie było co jeść ani pić, a morze się wściekło. Cóż ci tak teraz dolega, że narzekasz?

- Wszystko mi dolega, a przede wszystkim to odzienie, które jest tak obszerne, że można by nim okryć żelaznego konia.

- To je zdejmij z siebie i rzuć.

- Za żadne skarby świata! Będę je nosił do śmierci. Wyglądam w nim poważnie, jak stary marynarz, i wszędzie będę budził szacunek. A dlatego jestem taki wściekły, że te pokraczne rośliny wciąż mi je drą swymi potwornymi kolcami. To wstyd, żeby takie paskudztwa rosły na ziemi. Czy widziałeś kaktusy na morzu? Nie widziałeś! A patrz, ile tutaj tej kolczastej hołoty... Aż mi się niedobrze robi! Idźmy prędzej, bo gniew we mnie rośnie, a wiesz, jaki jestem w gniewie straszny!

- Aha, wiem, jak nasz kapitan!

Serdeczny uśmiech okraślił gębę Piszczalki.

- Cudowny to człowiek! - zakrzyknął. - Sto razy kazał nas zamordować, a gdyby nie on, to byśmy tu z głodu pomarli. Jeszcze dotąd mamy żywność z jego łaski. Kiedy cię odprowadzę do twego przeklętego miasta, powrócę nad morze i będę go tak długo szukał, aż go znajdę i zostanę marynarzem w jego służbie. Czego ty tak patrzysz, jak byś ujrzał jedzenie?

- Widzę jakichś ludzi... Ukryjmy się!

Bez długich zapytań zapadli za kępą kaktusów i leżąc na piasku, badali ostrożnie okolicę. W niewielkiej odległości powolnym krokiem podążała ku zachodowi karawana wielbłądów, na których siedzieli zakutani w białe płaszcze smagli ludzie. Kilka wielbłądów dźwigało juki, kilka zaś szło luzem, przeznaczonych widać na zmianę.

- Jakieś straszne zwierzęta - szepnął Piszczalka.

- To wielbłądy. Ważniejsze jest, jacy to ludzie - odrzekł zamyślony Janek. - Może by ich

zagadnąć, jak myślisz?

- Boję się!

- A może dobry los ich posyła. Może to spokojni kupcy... Najważniejsze jest to, że zdążają ku zachodowi, w naszą stronę. Pomyśl, jakby to było dobrze nie wlec się piechotą po tej kamienistej ziemi, lecz pojechać na szybkim wielbłądzie... O Boże, co czynić?

- Dowierzam jedynie ludziom na morzu - mówił cicho Piszczalka - a ci mi się nie podobają, ani oni, ani ich bydłota.

- Zdążają ku zachodowi - mówił Janek jakby do siebie.

- To cóż z tego? Niech idą swoją drogą, a my swoją. Co prawda kraj ten głodno wygląda, a kolczastego paskudztwa jeść nie będziemy. Czy myślisz, że by nas zabrali?

- Właśnie o tym myślę. Wiesz co, Piszczalko? Jeżeli mamy błąkać się po tej dzikiej ziemi i paść z głodu, może jednak lepiej będzie, jeśli poprosimy ich o pomoc. Co nam się może stać?

- Nie wiem, ale mogą nas zarżnąć.

- Daliśmy sobie radę z gorszymi niż najgorsi, z dzikszyimi 'niż najdziksi. Policzmy, ilu ich jest?

- Licz ty, bo mnie się zawsze coś pomyli.

- Sześciu, a dwanaście wielbłądów. Trochę ich za wiele na nas dwóch. Co robić, co robić? - pytał Janek niespokojnie.

- Ha, zawołajmy! - rzekł Piszczalka. - Jeśli to dobrzy ludzie, to nas zabiorą i pojedziemy kawał drogi...

- A jeśli źli?

- To damy drapaka przy pierwszej sposobności. Uciec zawsze można!

- Żebyż to zawsze... Więc jakże? Wołać, czy nie wołać?

- Wołaj! - westchnął ciężko Piszczalka.

Janek przeżegnał się i opuścił kryjówkę; za nim z dziwną rezygnacją wygramolił się Piszczalka. Razem zaczęli wołać i dawać znaki mijającym ich w oddali. Tamci zatrzymali wielbłądy i osłaniając oczy przed słońcem, bystrze patrzyli. Zaszwargotali głośno między sobą, potem czekali w milczeniu, aż się chłopcy zbliżą.

- Odważnie! - szepnął Janek - nie pokazuj im strachu!

- Ja się ich nie boję - odrzekł cicho Piszczalka - ale mi się mdło zrobiło, bo te zwierzęta są

garbate.

Najstarszy wśród jeźdźców, z siwą brodą i jastrzębim spojrzeniem, przyjrzał im się bacznie i rzekł:

- Czemu na nas wołacie? Kto jesteście?
- Podróźni!
- Czy wielbłądy wasze padły, że idziecie piechotą?
- Nie mieliśmy wielbłądów - odrzekł Janek - przebyliśmy morze i idziemy na zachód.
- My też jedziemy na zachód. Czego chcecie?
- Abyście nas ze sobą zabrali na wielbłądach.

Starszy obejrzał Janka uważnie, potem skierował spojrzenie na Piszczalkę i uśmiechnął się, widząc wesołą jego postać. Nagle śmiech zamarł mu na ustach, kiedy dojrzał jego nogi. Zaszwargotał coś gardłowym głosem, a jego towarzysze zaczęli patrzeć na Piszczalkę z nieukrywanym przestraczem.

- Szejtan! szejtan! - powtarzali w zdumieniu.

Starszy zwrócił się do Janka i zapytał, wskazując na Piszczalkę:

- Kto to jest?
- Mój brat! - odrzekł Janek.
- To być nie może, to nie jest człowiek! On ma nogi capa!
- To się dziwnie zdarzyło, lecz to jest człowiek.
- Czy on umie mówić?
- Piszczalko, zagadaj do nich.

Piszczalka spojrzawszy spod łba i rzekł dobitnie:

- Czasem lepiej jest mieć nogi capa niż capią brodę.
- Uf! uf! - zdumiał się starszy.

Zawrócił się do swoich i coś bardzo długo gadał; wskazując Janka, coś im tłumaczył, co oni przyjęli zgodnym kiwaniem głów i wielkim cmokaniem, następnie wiele musiał mówić o Piszczalce, bo wskazując go wielkim zarechotał śmiechem.

- Jedźcie z nami! - rzekł wreszcie. - Ty pojedziesz wśród nas, a ten musi jechać w tyle.
- Czemu on ma jechać w tyle?
- Ty masz prosić, a nie pytać. Jeżeli nie chcesz, to ciebie zabierzemy siłą, a jego zostawimy.
- Pojadę w tyle! - rzekł Piszczalka.
- A dokąd wy zdążacie? Czy wciąż na zachód?
- Tak, do miasta naszego króla.
- A co jest dalej na zachodzie?
- Dalej? Nie wiem! Jest wielka pustynia, a potem góry sięgające do nieba.
- A za górami?
- Tego nie wie nikt. A czemu ty tyle pytasz?
- Z ciekawości.

Starszy spojrzał na niego podejrzliwie, potem znowu zagadał do swoich, którzy śmiejąc się, wielki czynili rwetes.

- Twój brat - rzekł wreszcie do Janka - może jechać wśród nas. Myśleliśmy, że to diabeł, ale to nie może być. Gdyby to był diabeł, wiedziałby wszystko i powiedziałby tobie, a tymczasem on jest głupi, jak strusie jajo. A gdyby strusica zniosła dwa jaja, to ty byłbyś głupi jak to drugie.

- Czemu nas obrażasz bez powodu? - zapytał zdumiony Janek.
- Milcz, psie! - krzyknął starszy. Piszczalka, przysunąwszy się do Janka, szepnął:
- Uciekajmy, to są zbóje!

W tej chwili ów stary śmignął z wysokości wielbłądniego grzbietu batem z surowca, który jak syczący wąż owinał się dokoła Piszczalki.

- Czemu go bijesz? - krzyknął Janek, blady od gniewu. - Idźcie swoją drogą, źli ludzie, nie pojedziemy z wami!

Już jednak otoczono ich zewsząd, a stary mówił, szydząc:

- Sprawiedliwie mówisz, że nie pojedziecie, bo pójdziecie na własnych nogach. A gdybyś próbował uciec, ty albo ten drugi, co diabła udaje, to was zaszczujemy na śmierć. Dość! Wziąć ich na pętle i w drogę!

Błyskawicznie zarzucono na nich rzemienne pętle, zaciśnięto, obezwładniając ręce, i ruszono

wielbłądy. O obronie nie mogło być mowy. Janek miał w oczach wściekłość, Piszczalka, pobity bólem, włókł się z zaciśniętymi ustami. Tamci zagadywali ich czasem, naigrawając się, ale żaden z nich nie odpowiadał. W tej chwili ucieczka była niemożliwa, trzeba było cierpliwie czekać jakiejś sposobności albo nocy, albo nieuwagi ze strony tych fałszywych ludzi. Szczęściem wielkim dla chłopców było zmęczenie wielbłądów, które umieją wspaniałym pędzić biegiem, teraz jednak po dalekiej, widać, i ciężkiej drodze, szły powoli, postępując; jednak choć powolne, lecz wielkie ich kroki zmuszały więźniów do ciężkiego wysiłku. Ile razy który z nich omdlewał i zwalniał kroku, świstał bicz, parzący jak płomień. Piszczalka, skaczący przez kamienie na swych cienkich nożynach, nie mógł, biedaczysko, powstrzymać łez. Ujrzał to Janek i zdyszczanym głosem rzekł do starego sępa:

- Mój brat upada. Pozwól mi, abym go podniósł.

- Jeśli on jest diabeł, to prześcignie wielbłąda! - zaśmiał się stary.

- On nie jest diabeł i zginie z wysiłku.

- To będę miał przynajmniej ciebie, a gdybyś go niósł, padłbyś i ty. A ty dla mnie jesteś więcej wart.

- Pozwól mu dosiąść wielbłąda! - błagał Janek.

- Wielbłąd by się wściekł, bo to szlachetne zwierzę, a wy jesteście nieczyste psy. Dość! zamknij gębę, bo ci ją zamknę biczem.

Jankowi twarz drżała, a w oczach miał rozpacz. Nic wyrzekł już ani słowa ani też nic odwracał się, aby nie widzieć łez Piszczalki. Czasem tylko słyszał cichy jego jęk albo szloch. Wtedy krajało się w nim serce. Sam bez łez płakał nad tym, że tak lekkomyślnie oddał w ręce obcych ludzi i siebie, i Piszczalkę. Uczciwy, wierzył w uczciwość, a napotkał zbójców. Spieszył się, bo czas uchodził, a on go wiele już zmitrężył w trudnej i niebezpiecznej drodze. Chciał czym prędzej dostać się ma zachód, gdzie się ma rozegrać los Witalisa i jego łoś. Czemu jednak cierpi Piszczalka, biedaczyna kochany i przyjaciel najwierniejszy? Janek wiedział, że gdyby teraz, w tej chwili puszczone wolno tego dziwnego towarzysza, ostatnich dobyłby on z siebie sił i powłókłby się za Jankiem. Podwójnie go więc bolała niezawiniona krzywda, każdy cichy szloch Piszczalki echem wielkiego płaczu odzywał się w jego piersi.

Czarne koła zaczęły wirować przed jego oczyma, kiedy karawana zatrzymała się wreszcie na postój. Rzucono im dwa zeschnięte owsiane placki, nie dano jednak ani kropli wody. Janek, widząc z przerażeniem, że Piszczalka omdlewa, padł na kolana przed starym dowódcą karawany i mówił wzruszonym głosem:

- Panie, miej Boga w sercu, każ dać kilka kropel wody bratu mojemu, który umiera.

Tamten wpił w niego wzrok i powiada:

- A dla siebie o wodę nie prosisz?

- Umieram z pragnienia - odrzekł Janek - ale ja jestem silniejszy, on zaś zemrze.

- Szakale będą miały uciechę - zaśmiał się stary - ale ja mam serce wspaniałe. Każę dać wody temu zdechlakowi...

- Dzięki ci, dobry panie!

- Nie dziękuj, jeszcze nie skończyłem. Chcę wypróbować, czy twoja miłość do niego w gębie tylko siedzi, czy mieszka w sercu. Słuchaj! Jeżeli za każdy łyk wody dla tego pokurcza zgodzisz się na dziesięć plag biczem w obnażone plecy, niech pije, ile mu się podoba.

Najpierw on zaśmiał się szerokim śmiechem, po czym zawtórowali mu wszyscy.

Janek zbladł i spojrzał na nich dziwnym wzrokiem; nie rzekłszy ani słowa, ściągnął z siebie odzienie i obnażył plecy.

Tamci przestali się nagle śmiać. Stary krzyknął:

- Niech jeden weźmie wór z wodą i da pić temu capowi, drugi niech stanie z biczem przy tym bohaterze. Ile razy tamten wypije łyk jeden wody, ten dostanie dziesięć plag aż do krwi. Daj mu pić!

Jeden z nich ujął bulgocący bukłak z koziej skóry i zbliżył go do ust Piszczalki.

Biedny chłopak miał w wesołych zawsze, wyłupiastych oczach jakąś niezwykłą powagę. Podniósł się z trudem z ziemi, a kiedy poczuł wylot bukłaka u swoich ust, drgnął silnie, ręką go odsunął i rzekł z dziwną mocą:

- Nie będę pił!

- Pij! - krzyknął rozpaczliwie Janek.

- Choćbym miał umrzeć, nie wypiję! - rzekł głośno Piszczalka.

- Czemu nie chcesz pić, ty psie? - wrzasnął stary. - Skomliłeś o wodę!

- Nie będę pił - mówił Piszczalka - bo piłbym nie wodę, lecz krew z pleców brata mojego.

- Bismillah! - szepnął dowódca karawany. Patrzył ponuro to na jednego, to na drugiego, na tego, który się chciał poddać męczarni, aby drugi nie cierpiał, i na tego, który cierpiał straszliwie, aby brat jego nie cierpiał. Zagadał potem coś do swoich, a oni wszyscy milczeli z powagą i ze zdumieniem, patrząc na tych dwóch wymizierowanych biedaków z płonącymi oczyma, w których gorzał płomień ich serc. Wreszcie podszedł ku Jankowi i rzekł:

- Zdobyłeś sobie moje serce. Wdziej szaty! Dostaniesz pić i ty, i tamten... Jesteś dzielny jak rycerz... Dajcie im pić!

Odwrócił się i odszedł zadumany, a jego towarzysze dali im skwapliwie wody, wciąż na nich patrząc z podziwem.

- Łaska Boska jest z nami! - szepnął Janek, zdumiony wyrokiem starszego.

Zdumiał się bardziej jeszcze, kiedy przed świtem karawana miała ruszyć, a starszy rzekł mu:

- Pojedziecie na wielbłądach, bo droga jest daleka.

- Bądź szczęśliwy, panie! - powiedział cicho Janek.

Wraz z Piszczalką dosiedli jednego wielbłąda i odbywali pochód bardzo uciążliwy; zwierzę kołysało się, jak statek na morzu. Trudna to była jazda, przyprawiająca ich o nieustanne mdłości, tak że dopiero trzeciego dnia jakiej takiej nabrali wprawy. Przez cały ten czas nikt do nich nie zagadał. Dawano im jedzenie i wodę, a podczas postojów pilnowano gorliwie, żadnej nie czyniąc krzywdy. Na Janka patrzyli z podziwem, na Piszczalkę z tajonym uśmiechem, co w nich zaczęło budzić nadzieję, że nie stanie im się nic straszego.

- Jeżeli nie zabili nas dotąd - szeptał Janek tak, aby go tylko Piszczalka mógł usłyszeć - to nas nie zabiją chyba później, bo cóż by im z tego przyszło? Nie są to zwyczajni zbójcy, lecz jacyś rycerze...

- Dokąd oni nas wiodą?

- Bóg to raczy wiedzieć; ten stary mówił, że do miasta, gdzie mieszka ich król.

- Oby był sprawiedliwy...

- Jeśli tych wzruszyła nasza miłość, może wzruszy się i serce królewskie. Jak się czujesz, drogi bracie?

- Znacznie się skrzepiłem. Jeśli będę żył choćby tysiąc lat, nigdy nie pojadę na wielbłądzie, ale teraz go błogosławię. Na żelaznym koniu było źle, ale na wielbłądzie jest gorzej.

- Może już niedaleko...

- O, żeby tak było!

Długo jednak jechali Jeszcze, przebierając się przez wydmy i zagony z rudego piasku, wśród skalistych wąwozów i przez bezdrzewne ziemie. Coraz skąpiej dawano im wody i coraz mocniej gnano wymęczone zwierzęta; brzydkie wielbłądy, mające oczy przedziwnie piękne i rozumne, jęczały czasem głosem ludzkim, pełnym skargi. Coraz częściej jednak spotykali szybko pędzących jeźdźców, w tę samą, co i oni, zdążających stronę. Pustkowie zaczęło się zaludniać; czasem ukazywały się czubate drzewa, strzegące mętnego źródła. Dwa dni jednak spłonęło jeszcze w straganej spieczę i zamieniło się w dwie noce, porykujące często głosem lwa, zanim się ukazało potężne miasto. Na jego widok jeźdźcy wydali radosny okrzyk i zaczęli przykładac dłoń do czoła, do ust i piersi na znak powitania. Oślepiająco białe miasto nie zwróciło wcale uwagi na hołd sześciu zakurzonych oberwańców. Taką samą obojętność okazała gromada marabutów, łysych filozofów, co na jednej nodze stercząc nieruchomo na podmiejskich śmietnikach, dumiała o marności rzeczy doczesnych, tych szczególnie, które nie nadają się do zjedzenia i którym nawet obłąkany żarłok, szakał, rady dać nie

może.

Karawana wjechała przez szeroką bramę, nie tylko w miasto, lecz równocześnie we wrzask ludzki, bałwaniący się, jak rozgadane morze. Niepoliczona ciżba ludzka, przewalająca się w ciasnych ulicach, nieustannym szwargotem usiłująca przekrzyczeć ryk osłów i kwik rozjuszonych wielbłądów, wielkie wrażenie uczyniła na chłopcach, którzy nigdy jeszcze czegoś podobnego nie widzieli. Szeroko otwartymi oczyma patrzyli na kamienne gmachy, na olbrzymie, brzuchate kopuły i na iglice wysokich wież, bodących niebo; na ruchliwe targi i bazy, tak barwne, jakby w nich sprzedawano tęcze, Zdawać się mogło, że niezliczeni ludzie w tym wielkim mieście kłócą się wszyscy bez wyjątku i rwą do bitki, gwałtownie wymachując rękoma. Nikt jednak nikomu nie czynił krzywdy i rozchodzili się w zgodzie, aby po chwili gdzie indziej zacząć wrzask i rwetes. Wszyscy mieli twarze jakby przypalone na ogniu, oczy żywe i bystre. Wielu zaś było zupełnie czarnych, jakby ukąpanych w smole, nagich, z kolorową przepaską na biodrach.

Karawana przebiła się z wielkim trudem przez zawilóść uliczek, zalanych bulgocącym wciąż ludzkim ukropem; wjechali wreszcie na dziedziniec wśród rozległych gmachów, osobne miasto tworzących, strzeżonych przez zbrojnych.

Wielbłądy przyklęły, oni zsiadli i czekali swego losu.

Zbliżył się do nich starszy i rzekł:

- Jesteście w siedzibie naszego króla, przed którym cały świat pada na twarz.

- Co mamy czynić? - spytał Janek.

- Będziecie czekali, aż ten, który jest jaśniejszy niż słońce, zechce was ujrzeć. On powie, czy macie żyć, czy umrzeć.

- Panie - rzekł Janek - byłeś dla nas dobry i za to niech ci szczęście zawsze sprzyja; uczyni nam tę jeszcze łaskę i poproś swojego króla, aby nas nie tylko żywych puścił, lecz aby to szybko uczynił. Spieszno mi bardzo, każdy dzień jest dla mnie skarbem.

- Uczynię to - odrzekł starszy - boś tego wart, ale nie wiem, czy mi się uda. Poczekaj, zaraz ci odpowiem.

Skłonił się przed kimś znacznym i wielce strojnym i coś z nim gadał. Tamten odpowiadał wyniośle i rzucał słowa niechętnie i skąpo, jakby to były diamenty.

- Ów dostojnik - rzekł im wreszcie starszy - powiedział mi, że nasz władca (oby żył tysiąc lat!) jest bardzo zajęty i może za dwa lub trzy tygodnie ukaże swoją promienistą twarz. Król nasz (niech będzie pochwalony aż do skończenia świata!) rozpoczął wielką partię szachów, a ponieważ jest graczem nieporównanym, zanim ruch uczyni, rozmyśla trzy dni albo więcej.

- Biada nam! - krzyknął Janek. - Co mamy czynić?

- Czekaście i módlcie się, aby władca mój, który ma siłę lwa i rozum węża, wygrał partię,

którą rozgrywa z wielkim mędrcom perskim, słynnym z tego na cały świat, że obronił konia, którego na pozór nie można było obronić. Jeśli król nasz (oby się rozmnożył jak gwiazdy!) wygra tę partię, może się uśmiechnie, a wtedy uśmiech ten może spadnie i na was. Teraz zabiorą was do sta jen, gdzie będziecie mieszkali pod srogą strażą, aż po was przyjdę.

Minęło jednak więcej niż dni dwadzieścia, zanim się zjawił z rozradowanym obliczem i z wieścią, że król Wschodu i Zachodu, cesarz Północy i Południa, sułtan wszystkich ziem i kalif wszystkich mórz, syn słońca i brat księżycy, raczył wygrać partię szachów pociągnięciem tak roztropnym i przemyślnym, że przypawiło ono o omdlenie perskiego mędrca, który w tej chwili, tarzając się po ziemi, wrywa sobie włosy z brody.

Z drzeniem w sercu i niepokojem w duszy szli przez niezliczone komnaty; pełni zdumienia patrzyli na niezmierne bogactwa, na kobierce, mieniące się, jak łąki wśród lata, na fontanny, różowym gadające rozgwarem, na marmury białe i chłodne, na kolumny z malachitów, na sklepienia i ściany od złota kapiące. Wszedłszy do tronowej sali, ujrzeli świetne zgromadzenie ministrów, wodzów i wszelakich dostojników. Ponad nimi, jak księżyc, pasterz gwiazd, nad złotą swoją trzodą, świecił tysiącem bezcennych klejnotów siedzący na poduszkach dostojny starzec. Obok niego siedziało dziewczętko śliczne, tak wśród owych smagłych ludzi wyglądające, jak promień wśród mroku. Dziewczynka miała oczy niebieskie, a włosy jak blade złoto albo jak złote zboże. Miała może lat dziesięć lub dwanaście, a wśród tysiąca klejnotów, skrzących się dokoła, uśmiech jej świecił jak klejnot najrzadszy.

W przestronnej sali żadnego nie było słyhać głosu, prócz cichutkiego plusku fontanny, rzewnie kropelkami łez płaczącej. Władca zakrył oczy powiekami, jak gdyby nikt z obecnych nie był godny jego spojrzenia, i siedział nieruchomy, jakby wyrzezany z kości słoniowej.

Chłopcy patrzyli oczarowani, nie waząc się głośniej odetchnąć.

Wtem z wysokości, gdzie siedziała brodata dostojność, raczył odezwać się szept:

- Czy to są łachmany, czy ludzie?

Usłyszawszy to pytanie, najbliżej stojący dostojnik powtórzył je temu, co stał obok, ten powtórzył je następnemu, trzeci czwartemu, czwarty zapytał piątego, piąty zagadnął szóstego, a szósty groźnie powtórzył je siódmemu. Ów siódmy dopiero, zwróciwszy się do dowódcy straży, zakrzyknął:

- Pan nasz zapytuje przez siedem ust, czy to są łachmany, czy ludzie?

Stary ów, który pojmał Janka i Piszczalkę, zanim odpowiedział, zbliżył się do fontanny, a nabrawszy wody do ust, długo je płukał, aby jego słowa, które - niezliczone wybijając pokłony - miały wejść do ucha władcy, były czyste i wszelkiego pozbawione zapachu.

Wtedy zakrzyknął pierwszy minister:

- Jeśli nie jadłeś dziś ani czosnku, ani cebuli, jeśli twoje dziąsła są bez wrzodów, a oddech twój nie jest zatruty, możesz mówić wprost do tego, przed którym drży niebo, a ziemia u stóp jego

czołga się jak pies.

Tamten, blady od nadmiernego lęku, padł na twarz, siedem razy uderzył czołem o marmury, tak że aż zadudniło, potem zaczął mówić. Opowiadał wszystko sprawiedliwie, jak było, jaką dzielność okazali ci dwaj włóczędzy, co teraz oczekują albo gromu śmierci, albo promienia łaski.

Sułtan wszystkim ziem i kalif wszystkich mórz, pan Wschodu, władca Zachodu, król Północy i cesarz Południa, nie podnosząc powiek, raczył znowu wydać szept, co rosnąc w siedmiokrotnym powtórzeniu, z wonnego zefiru przemienił się w groźne i warkliwe pytanie:

- Zapytaj ich, czy znają boską sztukę gry w szachy?

Kiedy się starszy dowiedział od Janka, że ani on, ani Piszczalka nie znają tej boskiej sztuki, groza padła na całe świetne zgromadzenie. Na woskowej twarzy władcy ukazała się chmura niechęci. Już otwierał dostojne wargi, aby wydać krótkie polecenie, tak krótkie i ostre, jak uderzenie miecza, co dwie od razu może ściąć głowy, kiedy złotowłosa dziewczynka szepnęła coś cichutko, szeroko otwarłszy oczęta, tak jak się szeroko niektóre niebieskie kwiatki otwierają o wieczornej porze. Władca raczył uśmiechnąć się i, po raz pierwszy podniósłszy powieki, zmęczonym wzrokiem spojrzął na chłopców. Szept cichy, jak szept fontanny, odbył znowu swoją siedmiokrotną drogę od tronu aż do tego łapserdaka, który nie był godzien, aby wprost do niego przemawiał syn słońca i brat księżycy w pełni:

- Czy to jest człowiek, czy cap?

Odpowiedź, upadłszy na zatroskaną twarz, oznajmiła, że Piszczalka jest dziwacznym stworzeniem, co używa ludzkiej mowy, posiada dzielne serce, ale wybitną jego urodę szpecą cokolwiek nogi koziego kroju.

Dziewczynka klasnęła w ręce, co wywołało radość ogólną i takie cmokanie z zachwyty, jak gdyby świetne zgromadzenie raczyło się smakowitą potrawą z tłustego barana, co głupi za życia, po śmierci wprowadza biesiadników w nastrój niebiańskiego zadowolenia, a zachwyt ten najlepiej głośnym objawia się cmokaniem. Tymczasem śliczne owo dziecko rozmawiało cicho z tym, przed którym piorun pada na twarz i wije się w prochu. On zaś raczył wędrownym szepciem ustami siedmiu ministrów oznajmić:

- Tego, który ma nogi capa, odziejcie pięknie, albowiem księżniczka, córka moja, znudzona uprzykrzoną małpą, weźmie go sobie dla zabawy!

Zgromadzenie zaszemrało z nadmiernego podziwu nad niewysłowionym szczęściem tego oberwańca, schwytanego na pustyni. Ten i ów, blisko przy nim stojący, skłonił mu się nieznacznie, zapewniając sobie wysokie protekcje u zdumionego i przerażonego Piszczalki.

- A tego drugiego - raczył rzec kalif - zapytajcie, jaką wyznaje wiarę.

Kiedy Janek oznajmił donośnym głosem, że wierzy w Boga Jedyneho, kalif zaszumiał, jak palma na wietrze:

- Powiedzcie mu: jeśli Boga swego się wyrzeknie i wiarę naszą przyjmie, zostanie wysokim dostojnikiem i przy moim przebywać będzie boku!

- Choćbym miał umrzeć sto razy, wiary mojej nie zmienię! - zawołał Janek.

Nagły gniew zaczął kęsać ich serca; jęli zgrzytać zębami i wściekle na niego spojierać.

- Dobrze! - raczył rzec kalif - młody jest, zdrow i silny. Przykuty łańcuchem, będzie obracał żarna, trzy godziny na dobę zaznając spoczynku. Darowuję go dozorczy mojego skarbu, który płacze na ubóstwo i na brak niewolników. Niech go tak ukryje, aby go nikt nie znalazł. A kiedy się ukorzy, wtedy przywieźcie go do 'mnie. Powiedziałem i tak być ma!

- Boże wielki! - szepnął Janek.

Chciał paść na kolana i wołać o łaskę, ledwie jednak uczynił nieznaczny ruch, schwytały go strażę, a dowódca zakrył mu dłonią usta, aby nie krzyknął, wiedząc, że własną ten chłopiec wywołałby śmierć. Janek nie mógł już dojrzeć, że w ten sam sposób zdławiono i rozpaczliwy krzyk Piszczalki, wepchnąwszy mu go siłą w pierś z powrotem.

Zaczęły się dni czarne i ciężkie. Ludzie dozorczy skarbu, człowieka złego i nie znajęcego dla nikogo litości, przykuli Janka do ciężkiej belki dębowej, którą on popychać miał piersią i w ten sposób poruszać nieustannie kamienie żarn. Obracał je w pustej, ciemnej szopie, nie mogąc ustać ani na chwilę, kiedy bowiem ustawiał chropawy zgrzyt kamieni, przywoływany nagłą ciszą zjawiał się dozorca, Murzyn zwalisty i okrutny, i biczem budził chłopca z omdlenia. Mniej go bolały te razy, niż poczucie strasznej a niezawinionej krzywdy. Nic złego nie uczynił tym ludziom ani temu starcowi, co nimi włada i którego szept straszliwszy się okazał, niż ryk dzikiego zwierza. Może go męczyli dlatego, że nie był jednej z nimi wiary, może dlatego, że w każdym, kto nie był z ich narodu, widzieli niewolnika. Męką najdotkliwszą jednak napawało go uczucie niemocy. Wszak musi iść, musi biec do tego dalekiego miasta, do którego zmierza mimo diabłów, mimo podziemnych i sztucznych ludzi, a on, przykuty łańcuchem, co mu opasuje szyję, nie może jednego nawet uczynić kroku. Chodzi w kółko, wciąż w kółko i prze piersią ciężką belkę; oddech w nim zamiera, omdlewają nogi, lecz to najgorsze, że serce w nim omdlewa. Broni się przed rozpaczą ze wszystkich sił, ochrania w sobie ledwie tłącą nadzieję, jak ów święty promyczek, który rycerz chrześcijański niósł przez morza i lądy, od grobu Chrystusowego, przy którym go zapalił, aż do swojej ojczyzny na krańcach świata. Modlił się żarliwie, aby mógł zachować tę nadzieję i ogrzać przy niej truchlejące serce. Znosił mękę z zaciśniętymi ustami, aby zachować moc i hart ducha. Czuł, że jeśli nie wytrzyma tej próby, nie dokona już niczego więcej.

Dawano mu godzinę wypoczynku w południe, a dwie godziny w nocy na sen; jadał ochłapy, które jadły psy, a spał na gołej ziemi w tym miejscu, gdzie padał na głos dozorczy, oznajmiający czas spoczynku. Szkielet z niego pozostał, wychudły, wynędzniały, z posiekanymi od razów plecami. Nie wiedział, co się stało z Piszczalką, tego tylko był pewny, że jego towarzysz, choć mu się może lepiej dzieje, cierpi tak jak i on. Rachował pilnie dni, z przerażeniem myśląc, że mijają wciąż i że już nie dni, lecz całe miesiące dzielą go od owej strasznej chwili, w której porzucił Witalisa. Oto już czwarty miesiąc obraca te żarna, czwarty miesiąc nie widzi słońca. Zmienił się w maszynę.

Razu jednego zdrętwiał. Najwyraźniej usłyszał głos Piszczalki. Głos był z pewnością ten sam, lecz tego pojąć nie mógł, jak Piszczalka mógł się ważyć na to, co mówił w tej chwili? Z wielkiego zdumienia przestał obracać żarna, a Murzyn nie wpadł z biczem. Co to znaczy? A jednak to mówi Piszczalka! Przez drewnianą ścianę szopy słyszeć najwyraźniej:

- Łeb ci każę uciąć, czarny diable! Otwieraj w tej chwili, bo Moja Wysokość chce ujrzeć tego więźnia.

Murzyn bełkotał coś niewyraźnie i jęczał, jakby prosił o litość. Po chwili otwarto się szerokie drzwi szopy, a oczy Janka uderzyła boleśnie nagła jasność. Przez chwilę nie mógł dojrzeć niczego, kiedy zaś dojrzał, myślał, że śni: u drzwi klęczał zwalisty Murzyn i bił pokłony, ku niemu zaś szedł Piszczalka, przepysznie strojny, w turbanie spiętym rubinem; na nogach miał misterne sandały z czerwonego safianu, a u boku krzywą szablę na jedwabnych zwisającą rapciach.

Janek chciał krzyknąć, lecz Piszczalka zbladłszy nagle śmiertelnie na widok niedoli swego brata, szybko położył palec na ustach.

Potem wziął się pod boki i groźnym głosem, w którym drżały łyzy, zakrzyknął:

- To jest ten pies, co obraca żarna? Co mu dajesz jeść?

- To, co psom, Wasza Wysokość - skomlił Murzyn.

- A czemu on ma ciało we krwi? - pytał Piszczalka, oparłszy się o belkę, aby nie upaść.

- Od mojego bicza - odrzekł Murzyn.

Wielkie łyzy ukazały się w oczach dostojnika. Otarł je szybko jedwabiem rękawa i długo pasował się z głosem, zanim mógł przemówić:

- Wyjdź stąd!

- Nie wolno mi, dostojny książę - wrzasnął Murzyn - śmierć mnie czeka za to, gdybym go zostawił z kimkolwiek sam na sam.

- Dobrym jesteś sługą - rzekł Piszczalka - chciałem cię tylko wypróbować.

- O panie! - zachłysnął się strażnik z wielkiego szczęścia.

- Za to zostaniesz nagrodzony! Złe tylko czynisz, że psujesz biczem skórę tego niewolnika. Jeśli twój pan każe sobie z jego skóry sporządzić sandały, zabije cię za to, że ją tak siekłeś. Nie bij go, wierny sługo. I dawaj mu lepiej jeść, aby nie umarł zbyt wcześnie... Wtedy ty będziesz obracał żarna.

- Litości, wielki- panie! - zajęczał Murzyn - to okropna praca.

- Więc nie znęcaj się nad nim...

Pomyślał chwilę, potem odpiął rubin od turbana i rzucił go oszalałemu ze szczęścia Murzynowi.

- Weź to sobie - rzekł - i miej nad nim pieczę. Chciałbym od twojego pana kupić tego niewolnika, więc chcę, aby był zdrow i silny.

- Kim jesteś, o oko słońca? - pytał Murzyn, bijąc pokłony.

- Jestem pierwszym ulubieńcem córki królewskiej, księżniczki Roksolany.

Strażnik zawył z zachwytu i padł na twarz. Wtedy Piszczątka szybko przytulił się do zdumionego Janka i szepnął:

- Szukałem cię... nie mogłem znaleźć... wyratuję.

- Co mówisz, panie? - zapytał Murzyn.

- Nic - odrzekł Piszczątka, szybko odskakując - chciałem ujrzeć, jakie muskuły ma ten niewolnik. Pilnuj go dobrze i nie bij go!

- Bicz mój już go nie dotknie...

Kiedy Piszczątka wsiadał do lektyki, którą niosło czterech olbrzymich Murzynów, ślaniał się i był bliski omdlenia. Ukryty za jedwabnymi firankami, płakał jak dziecko pierwszy ulubieniec sułtańskiej córki i wielki dworski dygnitarz. Dziwili się Murzyni, że lektyka wciąż drga i zdziwili się jeszcze bardziej, kiedy ich pan dostojny wysiadł z niej z oczyma czerwonymi od płaczu.

Kiedy stanął przed księżniczką, miał taki smutek w twarzy, że żal było patrzeć na niego.

- Jeszcze go nie znalazłeś? - szepnęła księżniczka.

- Znalazłem - mówił cicho Piszczątka - ale znalazłem tylko jego szkielet.

- Czy go zamordowali?

- Nie, żyje on, lecz życie to jest gorsze od śmierci.

Opowiedział jej o wszystkim, co widział. Niebieskie oczy księżniczki napęłniły się łzami. Wiedziała o losach Janka i Piszczątki wszystko, a poznawszy dobre serce tego dziwnego stworzenia, które jej dano do zabawy, rozrzewniona, chciała im pomóc z całego serca. Janka tak ukryto, że nikt go nie mógł wyszukać. Piszczątka czynił wyprawy, rozpytywał ostrożnie, szukał nocami, we dnie udając wesołość. Dopiero jeden biały niewolnik, którego wyprosił i ocalił przed chłostą, zdradził mu w największej tajemnicy miejsce, w którym pracował Janek.

Piszczątka, padłszy do nóg księżniczki, błagał:

- Ratuj go, najjaśniejsza księżniczko. Cały jest we krwi i ranach. To go jednak pewnie więcej

boli, że jest przykuty i nie może pójść tam, gdzie na niego czekają. Wszak wszystko wiesz! Ja zostanę za niego w niewoli...

- Nie! - rzekła Roksolana - jeśli by on był wolny, ty pójdziesz z nim. Umarłbyś tutaj z tęsknoty za nim. Ja to wiem. Serce moje mi to mówi. Jakże ja go jednak wyratuję?

- Najjaśniejszy twój ojciec wszystko uczyni, czego ty zapragniesz!

- Ale strażnik skarbu tego nie uczyni, gdyż jest to człowiek okrutny, a ojciec jemu go darował i nigdy nie odbierze. Pytałam już wiele razy, co się dzieje z twoim bratem, a on wtedy odpowiadał: „umiera, pies niewierny”! Poradź mi, dobry Piszczalko, co mam uczynić?

- Może go sprzeda? - zapytał gorączkowo Piszczalka.

- Chodźmy! - rzekła szeptem księżniczka. - Uczyń wesołą twarz i udawaj błazna!...

Pan Wschodu i Zachodu, król Północy i cesarz Południa siedział na stu siedmiu poduszkach, bardzo zadumany, od wielu już bowiem dni głęboko nad tym rozmyślał, dlaczego człowiek ma tylko dziesięć palców, zamiast trzydziestu, co byłoby z większym dla niego pożytkiem. Zapytywał w tej materii wszystkich mędrców swojego państwa, żaden jednak nie umiał mu dać mądrej odpowiedzi, postanowił więc sam wymyślić odpowiedź na to straszliwe pytanie. Mimo tego, że myśli, jak tabun koni, cwałowały po dostojnej jego głowie, uśmiechnął się na widok córki, którą kochał nad życie. Kiedy uklękła przy nim, pogładził z niezmierną czułością jej cudowne włosy i rzekł najlaskawiej:

- Włosy twoje są stokroć cenniejsze od złota... Matka twoja pochodziła z Lechistanu, gdzie niewiasty takie mają włosy, córko moja ukochana. Czemu masz diamenty łez w oczach, które są jak niebo?

Słuchał pilnie, co mu opowiadała o Janku i Piszczalce, dziwując się niezmiernie.

A ona mówiła głosem tak słodkim, jak muzyka:

- Ulituj się, Najjaśniejszy Panie! Czy twoje królewskie serce pozwoli, aby niewinny cierpiać krzywdę? Niezmiernie lubię Piszczalkę, a jednak, że do mnie należy, daruję mu wolność. A ty każ uwolnić Janka.

Chmura przyleciała jak czarny ptak i siadła na jego czole.

- Strażnik skarbu nie zechce go oddać. Ma słowo moje...

- Kup go od niego! - zawołała księżniczka.

- Mądrość mieszka w twojej promienistej głowie - rzekł władca czterech części świata i oświetlonej połowy księżyca.

Kazał wołać strażnika skarbu i innych dostojników.

- Sługo miły - rzekł łaskawie - darowałem ci chłopca. Coś z nim uczynił?

- Przyzwyczajam go do śmierci - odrzekł tamten ponuro.

- Czy możesz mi go oddać?

- Twoja wola, panie - odrzekł strażnik skarbu i uśmiechnął się.

- On mi go odda, ale umarłego - szepnął do księżniczki wspaniały jej ojciec, zajrzawszy tamtemu w serce.

Słuchali wszyscy zdumieni, chcąc dotrzeć do sedna sprawy.

- Nie odbieram nigdy tego, co ofiarowałem - rzekł władca - lecz proszę cię, abys mi go sprzedał.

- Rozkazuj, panie!

- Czego żadasz za tego chłopca?

- Złe kupno chcesz uczynić, panie mój! Ten chłopiec, w którym życie tli się zaledwie, nic nie jest wart.

Mówiąc to, patrzył pilnie w oczy swojego władcy i myślał roztropnie. „Jeśli on chce mieć tego psa, zapłaci mi wiele; coś mi się jednak zdaje, że prosiła o to księżniczka, bo ma oczy mokre od łez. Jeśli tak jest, zapłaci mi sto razy więcej!”

- Dam ci - rzekł władca - dziesięć diamentów z mojego skarbcza, dziesięć szmaragdów i tyleż rubinów.

- Nie śmiałybym wziąć, o panie, nic ze skarbcza, którego jestem stróżem.

- Dam ci bryłę złota, która waży tyle, co dorosły człowiek w zbroi.

- Jakże bym śmiał, o panie, brać to, co sam zgromadziłem? Zubożyłbym ciebie.

- Więc czego żadasz?

Strażnik uśmiechnął się chytrze i chcąc targ przedłużyć, a samemu wydać się takim, co niby niemożliwości żąda, aby pogardę okazać dla skarbów, rzekł z unizonym uśmiechem:

- Daj mi, panie świata, dwie garści czegoś, co jest stokroć cenniejsze od złota!

Zdumieli się dostojnicy, zdumiał się władca.

- Stokroć cenniejsze od złota? Czy ci szejtan pomieszał rozum? Nie ma w moim skarbie rzeczy stokroć cenniejszej od złota.

- Najjaśniejszy Panie! - zawołała księżniczka - każ mu to powtórzyć!

- Powtórz! - rzekł władca.

Tamten struchlał, lecz rzekł niepewnym głosem:

- Za dwie garści czegoś, co jest stokroć cenniejsze od złota, dam temu chrześcijańskiemu psu życie i wolność.

- Niech on przysięgnie!

- Przysięgam...

- A teraz odpowiadaj! - zawołała księżniczka. - Czy to, co mówi pan nasz, a ojciec mój, jest święte i prawdziwe?

- Jest po siedemkroć razy święte i prawdziwe. Lecz czemu...

Nie dokończył, bo stało się coś takiego, co zmartwiałym wszystkich przejęło zdumieniem: księżniczka wyrwała sztylet zza pasa ojca i ująwszy dwa złote swoje warkocze, odcięła je w połowie jednym cięciem; zmięła włosy i podając strażnikowi dwie pełne ich garście rzekła z trudem wstrzymując łzy:

- Przed chwilą powiedział pan świata, ukochany ojciec mój: „Włosy twoje są stokroć cenniejsze od złota!” Oto masz dwie garście tego, czegoś chciał. Bierz je!

Władca podniósł się drżący. Oczy mu załśniły, oblicze okryło się dumą.

- Jej matka pochodziła z Lechistanu... - szeptał z zachwytem. - Oto jest dziecko lwicy... Córkę moja!

Księżniczka przytuliła głowę do jego piersi, w której po wielu, wielu latach zabiło znowu serce.

Spojrzał złym wzrokiem na strażnika skarbu i rzekł z pogardą:

- Czy możesz mi sprzedać te włosy? Jest to dla mnie skarb ponad wszystkie skarby.

Strażnik upadł na twarz i jęczał.

Piszczalka, za kolumną ukryty, skoczył w górę na dwa i pół łokcia i wydał okrzyk tak potężny, że zdumiony obejrzał się sułtan, pan świata i dlatego tylko połowy księżyca, że drugiej, tej ciemnej, nie widział.

Rozdział piętnasty

w którym nieszczęsne serce wędruje przez góry, a szczęśliwa głowa schodzi w doliny

Janek w podartym odzieniu, z twarzą mimo przebytych cierpień rozjaśnioną, szedł, słuchając chciwie opowiadania Piszczalki o tym, co się stało i w jaki przedziwny sposób odzyskał wolność. Od czasu do czasu spoglądał z podziwem na jego świetny strój i na safianowe bucięta. Piszczalka gadał za trzech; bredził, zmyślał, po sto razy powtarzał to samo. O księżniczce mówił z zachwytem i uwielbieniem, o jej potężnym ojcu z niejaką uszczypliwością, na wspomnienie zaś strażnika skarbu zgrzytał zębami i chwycił za karabelę, której poza tym bał się cokolwiek, nie dowierzając morderczemu narzędziu. Jedno jeszcze wspomnienie napełniało go niemałą goryczą.

- Tego Murzyna, co ciebie katował, byłbym zadusił własnymi rękoma. Toteż mnie złość bierze, że mu musiałem dać ten śliczny czerwony kamień, taki czerwony jak krew. Co ten drab z nim zrobił?

- W moich oczach go połknął w obawie, aby mu go nie odebrano.

- Widać znał swego pana, jeszcze większego złodzieja niż on sam. Zachciało się temu rzezimieszkowi rzeczy stokroć cenniejszej od złota!

- A co się stało z tymi złotymi włosami?

- Cała historia się stała. Król kazał je pozbierać i chować na wieczną pamiątkę w złotej skrzynce.

- A strażnik co za to dostał?

- To mnie właśnie dziwi, że bardzo mało, bo ten król rozwiązał zielony sznur, którym był opasany, i rzucił mu go pod nogi.

- Zielony sznur? Och, w takim razie otrzymał tak wiele, że chyba aż za wiele. Wiesz ty, co on musiał zrobić? Musiał się natychmiast powiesić na tym sznurze!

- Czy być może? Janku drogi! Wracajmy!

- Na Boga, po co?

- Ja muszę tego obwiesia zobaczyć, jak dynda na jedwabnym sznurze!

- Wstydz się, Piszczalko. Taki jest ich obyczaj, ale nie godzi się radować z tego, że się ktoś tego dosłużył. Barbarzyński to obyczaj i niechrześcijański. Mówię ci, wstydz się!

- Już się wstydzę. A niech sobie żyje nawet i niech żyje szczęśliwie, kiedy nam się nic nie stało.

- Dobrze to powiedziałaś, Wasza Dostojność!

Piszczalka obejrzał się niespokojnie.

- Do kogo ty gadasz?

- Do ciebie.

- Aha, do mnie, dlatego, że mam szablę przy boku. Doskonale! Jeśli jeszcze raz tak sobie zakpisz, to ci rzucę zielony stryczek.

- Głupi jesteś, o szlachetny książę! Ale strasznie kochany... - dodał prędko.

- To w porządku! Tym bardziej w porządku, że mi się spać chce, a ty nie możesz jeszcze iść tak, jakś szedł dotąd.

- Teraz będę szedł coraz prędzej! Mój czas mija... - rzekł smutno Janek. - Tyle miesięcy w drodze, tyle miesięcy w niewoli. O Piszczalko! Co nas jeszcze czeka, co nas czeka! Gdyby nie ty, marnie bym już zginął kilka razy. Niebo mi ciebie zesłało, przyjacielu ukochany.

- Tylko może źle szukało - rzekł nieśmiało Piszczalka - bo znalazło mnie w piekle.

- Ej - śmiał się rozrzewniony Janek - bo zginiesz od własnej szabli! Dopasowaliśmy się jak dwie deski... Piszczalko złoty! Powiedz, że mnie nigdy nie opuścisz!

- Póki tchu w piersiach, nie opuszczę ciebie!

- I ja ciebie nigdy nie opuszczę, póki żyć będę - rzekł z powagą Janek. - Aż do chwili, kiedy nas rozłączą...

- Kto nas rozłączy, czemu to mówisz?

- Zatrzymają cię, kiedy wejdę do tego miasta, w którym mnie oczekują.

- Nie dam się zatrzymać - wrzasnął Piszczalka - mam broń!

- Och, rycerzu! - zaśmiał się Janek, choć mu się zbierało na płacz. - Dajmy temu spokój. Bóg jeden wie, co będzie. Teraz kładźmy się spać. Głodny jesteś?

- Nie, i nie będę głodny. Widzisz ten pierścień. To jest znak do wszystkich ludzi w tym kraju; komu go pokażemy, ten nam musi dać nocleg i jedzenie.

- Skąd go masz?

- Od mego osobistego przyjaciela, cesarza, króla, sułtana i kalifa. Za wielki on dla mnie...

- Ten przyjaciel?

- Nie, ten pierścień. Weź go, Janeczku, na palec i pokazuj, komu możesz. I nie kpij niebacznie z człowieka, który ma przy sobie szablę i może wpaść we wściekłość.

- Litości! - zawołał Janek.

- Znalazłeś u mnie łaskę. Spij w spokoju.

- Serdecznie proszę cię o to samo, bo ty za wiele gadasz przez sen.

- To stąd pochodzi - rzekł z powagą Piszczalka - że nie mam z kim rozumnym pogadać za dnia, więc w nocy gadam sam z sobą.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy zasnęli bez troski i zgryzoty; lecz po dwóch godzinach snu Janek zerwał się i zaczął szukać owej belki przeklętej, aby ją popchnąć piersią. Strach go zdjął, kiedy zrozumiał, że to przyzwyczajenie poderwało go ze snu. Spał w dalszym ciągu niespokojnie i wciąż sięgał ręką do szyi, jakby chciał dławiącą usunąć obrozę. Przed świtem miał takie wrażenie, jak gdyby ktoś pochylił się nad nim i dotknął jego piersi. Rzucił się niespokojnie i po długim zmaganiu się ze snem otworzył oczy. Nikogo nie było, lecz on czuł, że jednak ktoś tu być musiał i że ma coś w zanadrzu, czego przedtem nie było. Sięgnął drżącą ręką i wydobył kawałek pergaminu. Przetarł oczy, nie dowierzając sobie samemu. Tak, to pergamin; żółta karta, na której widnieją jakieś znaki. Świt już szarzał, więc pochylił się nad nią i zaczął pilnie czytać.

- O Jezu! - jęknął głucho.

Krew wszystka uciekła mu z serca, kiedy zrozpaczonymi oczyma czytał:

„Ten, który ci sprzedał oczy i z którym zawarłeś uroczysty pakt, śledzi każdy twój krok. Jest z ciebie niezadowolony i waha się w sercu, czy ma ufać twojej przysiędze. Pakt opiewa, że masz wędrować samotny i z żadnej nie korzystać pomocy, ty zaś chytrym sposobem wynalazłeś sobie towarzysza i sługę, który ci pomaga i z obieży salwuje. Ten, który ci sprzedał oczy i z którym zawarłeś uroczysty pakt, oznajmia ci: w tej samej chwili, w której pismo to odczytasz, masz porzucić towarzysza i swoją zdążyć drogą. Jeślibyś tego nie usłuchał i z przyjaznych usług jego w dalszym ciągu korzystał, jeślibyś się zawahał i przyjaźń diabelskiego niedorostka więcej niż własną cenę przysięgę, natychmiast stanie się to, co powiedziane było: ojcu twojemu, Witalisowi, odjęte będą oczy, a na ciebie spadnie hańba, z hańbą zaś śmierć cięższą ci się wyda. Wstań w tejże chwili i idź na zachód. Jesteś już blisko!”

Janek obejrzał się mętnymi oczyma, lecz nikogo nie dostrzegł. W głowie mu szumiało, dusza w nim skostniała od grozy. Serce zaczęło w nim płakać. Spojrzał na Piszczalkę i chciał krzyknąć z balu. Towarzysz jego najwierniejszy, chłopczyna miły i serdecznie dobry, co życie za niego by oddał, co go ratował i wesołym słowem pocieszał, spał, przytulony do swej niegroźnej szabli, ufny i bezpieczny. I oto tego biedaczynę najmilszego ma zostawić na biedę i poniewierkę, aby zginął i

zmarniał. Może zresztą nie zginie i nie zmarnieje, ale śmierć byłaby mu miłsza, niż to straszne przeświadczenie, że go zdradził towarzysz na świecie jedyny. Oto już druga kochana istota będzie napojona goryczą, mniemając, że podstępnie i okrutnie została zdradzona. O męko, męko! Najpierw Witalis, a teraz ten chłopak, tak samo niewinny. Na co komu na świecie te straszne klęski, co się na niego wałą? Lepiej by już było i litościwiej, gdyby zażądali od niego życia raz jeden, bo dwa razy oddać go nie może. A teraz umiera po raz drugi, po raz drugi dusza w nim omdlewa i serce zanosi się wielkim szlochom, który ukryć musi, bo mu płakać jawnie nie wolno. Jakiejże trzeba mocy ducha, aby przetrwać to wszystko! Przecie jest jeszcze chłopcem, niedorostkiem, a musi znieść to, co każdego mogłoby ku ziemi ugiąć męza. Nikt go nie pocieszy, nikt się nad nim nie uzali. Nie znał nigdy tego, co jest -najsłodsze na ziemi: słodczy matczynej miłości, a odjęto mu niedawno to, co kołysało jego duszę dziecinną: wielką miłość najlepszego z ludzi. Nic mu nie zostało poza wiernym przywiązaniem tego chłopczyny wyrwanego piekłu, tego, co tu oto śpi uśmiechnięty i we śnie nawet szczęśliwy, że są znów na wolności. A teraz noc, tajemnicza noc na pustyni pisze do niego list i każe mu go porzucić bez jednego słowa, bez jednego uścisku. Najstraszliwsze jest to, że musi to uczynić. Ten ktoś potężny, co za nim jak cień się snuje, jest w swoim prawie i żąda tego, czego żądać może. Gdyby miał w sercu odrobinę litości, zapewne nie uczyniłby tego; więc albo ma serce kamienne, albo inne swoje zamiary.

Janek obracał w ręku kartkę listu i patrzył tępym wzrokiem w czarne znaki, z których każdy był czarnym, pogrzebowym słowem; lecz jakby nagle list ten parzyć mu zaczął ręce, ukrył go w zanadrzu, ukląkł nad Piszczalką i szeptał:

- Niech cię Bóg dobry ma w opiece, towarzyszu miły. Byłeś mi bratem serdecznym. Cierpiałeś ze mną i za mnie, radowałeś mnie ucieszenie. Nigdy o tobie nie zapomnę. Dzisiaj jeszcze mówiłem ci, że cię nigdy nie opuszczę, a teraz patrz, Piszczalko najukochańszy: odchodzę tajemnie, jak zbrodniarz. Mogę cię ucałować uśmiechem tylko, mogę cię uściskać spojrzeniem. Spij, śpij jak najdłużej, braciszku drogi, a kiedy się obudzisz, pomyśl, że ja odszedłem z ciężkich jakichś wyroków, lecz moje serce z tobą zostało. Niech ci będzie dobrze na tym szerokim świecie, na który ja cię wywiodłem. Będą cię kochali wszyscy, bo jesteś zacny i dobry. Niech cię poczciwi ludzie nakarmią i napoją...

W tej chwili przypomniał coś sobie, bo szybko ściągnął z palca pierścień padyszacha i patrząc czujnie, aby się Piszczalka nie obudził, wsadził go na jego palec. Potem nakreślił wielki krzyż na piasku, szepnął coś cichutko i lekko stąpając, zwrócił się ku zachodowi. Kiedy ostrożnie uszedł kilka kroków, puścił się pędem i biegł z pochyloną na piersi głową, uciekając, jakby był Kainem, co zabił brata. Słońce srebrzyło przed nim drogę, a drzewa zaczęły do niego gadać porannym szmerem, jakby go chciały zatrzymać.

Po długiej chwili biegu dojrzał jakieś znaki na rudym piasku.

- Ślady jakieś są na mojej drodze.

Bystrze poznał, że obuwie, które te ślady odcisnęło, nie posiada kształtu sandałów, jakie widział u ludu tej ziemi.

Rozważywszy, rzekł sobie:

- Przede mną idzie ten, który mi sprzedał oczy! Na Boga, czy wskazuje mi drogę?

Ślad ginał czasem na kamienistych złogach i ukazywał się na wydmach piaszczystych; zdążał zawsze w miejsca zadrzewione, zawiódł go wreszcie po kilku godzinach do źródła, bijącego u podnóża palmy, obwieszanej owocami, gdzie w chłodnym cieniu można było odpocząć, pożywić się i ugasić pragnienie. Cokolwiek dalej ślad ten splątał się z innymi i biegł wciąż ku zachodowi, lecz odciski stóp ludzkich zmieniały się w głęboko odcisnięte znaki kopyt końskich. Zagmatwały się one w jednym miejscu i stłoczyły w ciżbie; snadź jeźdźców było wielu, a wszyscy w wielkim pośpiechu, co się znaczył na piasku odległością znaków, zatoczyli koło ku południowi.

Zdumiał się Janek i, opuściwszy ślady, zmierzał ku zachodowi. Byłby się zdumiał jeszcze bardziej, gdyby mógł dojrzeć, że jeźdźcy zawrócili pędem w tę stronę, gdzie spał Piszczalka. Tam dwaj zsiadli z koni, zbliżyli się cicho, porwali Piszczalkę w ramiona, a przerzuciwszy go przez łęk siodła, pognali z innymi.

Kraj z rzadka porosły drzewami, co obwieszane gronami owoców, gibkie i smukłe, wyglądały jak kobiety, cenne noszące zausznicę, coraz więcej zielenił się i coraz częściej rosił się wodami strumieni. Wędrowanie nie było zbyt ciężkie, bo łaskawa ziemia nie skąpiła pożywienia ani napoju. Rzadko można było spotkać człowieka, częściej rozlegał się nocą drżący od głodnego gniewu głos dzikiego zwierza. Ludzie byli spokojni i nie czynili Jankowi krzywdy; były to jakoweś plemiona pasterskie, nie umiejące mu powiedzieć ani o tym kraju, ani o tym, co się znajduje w zachodniej dalekości. Dziwili się jego twarzy, jego mowie i jego odzieniu. Dowiedział się od nich, z trudem dobywając z nich słowa, jak wiadra z głębokiej studni, że przed niedawnym czasem przemknęli tędy jeźdźcy, jakich nigdy dotąd nie oglądali.

Janek zaniepokoił się, czy ci, co przed nim gonią, nie gotują mu jakiejś zasadzki. Musieli jednak być już daleko przed nim, bo pędzili szybko, a on ślimaczą odbywał podróż, słaby jeszcze i wynędzniały. Włókł się tak już czwarty tydzień, zdrowiejąc wśród trudów i na szerokim powietrzu, podany na wichry i na nocne rosy. Szedł coraz pewniej i coraz usilniej, nie czując znużenia, natomiast jak brzemień straszne odczuwał samotność. Tak przywykł do wesołej gadaniny Piszczalki, tak bardzo tęsknił do niej po długim czacie więzienia, że teraz rady sobie dać nie mógł. Unikał starannie nawet myśli o nim, lecz myśl ta wciąż powracała i polatywała nad jego rozżalonym sercem, jak ptak.

Oto teraz, zbrojny mieczem Piszczalka, srodze się nadawszy, aby powietrzem wypełnić mizerną swoją powagę, stanąłby przed struchlałymi pasterzami i, pokazując pierścień kalifa, pana wszystkich trzód, zażądałby, aby upieczono na węglach niewinne jagnię albo go napojono mlekiem kłaczy, wielce smakowitym. Wiele by przy tej okazji wygłosił słów mądrych i bardzo uciesznych, a niebieskim uśmiechem pocziwie wylupiastych oczów odegnałby wszelką troskę. Słyszając w nocy ryk dzikiego zwierza, zagroziłby mu śmiercią w sposobnej chwili, a potem, w strach się owinąwszy, jak w białe prześcieradło, spałby, krzycząc przez sen na wszelki wypadek, aby odstraszyć napastnika. Co on tam robi, biedaczyna? Czy narzeka, czy płacze gorzkimi łzami?

Rozmyślając o tym Janek przyśpieszał kroku, jakby chciał uciec przed wspomnieniem, co bezgłośnie szło za nim. Czuł się jak nędzarz, któremu zabrano nawet prawo wspomnienia radosnej chwili. Wyglądał też jak nędzarz, którego klątwa ściga; odzienie jego zmieniło się w żalosne

łachmany; plecy były już zabliznione, lecz na nogach miał żywe rany. Dobrotliwi pasterze podarowali mu owcze runo, którym owijał nogi, ile razy droga wiodła przez kamienne osypiska; strzegł jednak bardzo i szczenił tych łachmanów ze skóry, z myślą o tym, że mu może przyjdzie wędrować przez takie miejsca, przez które bosą nie przejdzie nogą.

Kraj się zaczynał wznosić, jakby ciężkie westchnienie, wydeło pierś ziemi, mocno czymś strapionej. Przed nim leżała sina dalekość, pełna Boga i wielkiej ciszy. Dnie w tym kraju były skwarne, a noce zimne. Noc zapadała szybko i rzucała się na struchlałą ziemię, jak jastrząb rzuca się na kuropatwę, nagle i niespodzianie. Ziemia musiała blednąć wśród nocnego, zimnego lęku, bo rano szronem ledwie widnym pokryta - była biała. Coraz częstsze goniły się wiatry, gdzieś w tych stronach mające utajone mieszkanie.

Janek przebył ogromny szmat drogi, minął kraniec piaszczystej pustyni, z trudem śmiertelnym przeprowiał się przez brody rzek i włókł się krajem dzikim, twardym i kamienistym. Spotykał ludzi, którzy żadnej ludzkiej nie znając mowy, porozumiewali się dzikim krzykiem i kilkoma dźwiękami, których nie mógł wyrozumieć. Przedziwne widział zwierzęta i olbrzymie płazy. Raz, bardzo głodny, z radością ujrzał ludzkie osiedle, nędzne bardzo; wśród lepianek z gliny wałęsali się ludzie o ruchach powolnych, milczący i smutni. Kiedy biegł ku nim szybko, ogarnął ich niepokój.

- Nie zbliżaj się! - krzyknął jeden z nich.

- Głodny jestem... - zawołał Janek - dajcie mi jeść!

Tamten uczynił ruch groźny i krzyknął po raz drugi:

- Nie zbliżaj się! Stój tam, gdzie stoisz!

- Poratujcie mnie!

- Możemy ci dać chleba, ale ty go nie będziesz jadł. Jesteśmy trędowaci...

- Niech was Bóg pocieszy! - zawołał Janek. - Ale słowo wasze jest czyste, więc mi dobrym powiedzcie słowem, dokąd zajdę, idąc wciąż ku zachodowi?

- Nigdzie nie zajdziesz! W zachodniej stronie są góry tak wysokie i straszne, że sam ich nie przebędziesz. Tam mieszka lodowata zima, co wszystkich zabija.

- A za górami?

- Nikt tego nie wie. Tam zapewne jest już koniec świata. Wielu tam poszło, ale nie powrócił nikt.

- Czy niedawno nikt tędy nie przejeżdżał konno?

- Widzieliśmy jeźdźców z oddali. Podążali ku górom.

- Czy oni przejdą?

- Nie wiem. Może znają jakie tajemne przejścia, a może już wszyscy pomarli.

Janek stropił się wieścią o niebotycznych górach, ku którym szedł. Daleko jeszcze, za ledwie widne, w sinej drżące dalekości, piętrzyły się ku niebu. Ziemia, wciąż się wznosząca, zdawała się pełzać u ich stóp. Im bardziej ku nim się zbliżał, tym wyżej wyrastały, posępne i milczące. Lodowatą rzeką spływał z nich chłód i rozlewał się morzem zimna. Powietrze było rzeźwe i przezyste, a niebo bardzo dalekie i niezmiernie wysokie. Czasem jednak góry zaczynały dymić kłębowiskiem chmur, które wiatr rozsnuwał, napełniając nimi wszystkie szczeliny i przepaście. Przerażliwe na wysokościach odbywały się sprawy między niebem i ziemią: wojna pełna wichrów i poświstów i zmaganie się rozpaczliwe, a kiedy słońce oświecało pobożowisko, widać było, że góry osiwiłe były śnieżną siwizną, jakby ze zgryzoty po klęsce. Wśród tych gór mieszkwały wszystkie wichry, górne i dolne, zimne i gorące; były one gniazdem zbójeckim wszystkich burz, skąd na niszczące wyprawy wylatywały nawałnice, dla bogactwa nizin mordercze, tucze piorunowe, usiłujące świat cały rozwalić taranem grzmotów i pobić go jasnym mieczem błyskawic, albo też szarugi długotrwałe, chcące go zalać potopem, albo śnieżyce nielitościwe, białym całunem zagłady chcące pokryć ziemię, aby umarła.

Janek patrzył zdumionym wzrokiem na tych olbrzymów, w ziemię wrosłych, a sięgających nieba. Zadrzał na samą myśl, że ma przejść tę skalistą zaporę, zbyt wysoką dla orłów latających pod niebem. Poczul się małym i bezsilnym. Zbyt straszliwa spiętrzyła się przed nim potęga, stężała w milczącą, skalistą śmierć, mającą dla natarczywych śmiazków przygotowane groby w przepaściach i bezdennych rozpadlinach.

W tej chwili, kiedy stanął u jej stóp, niezmierny pożar wybuchnął na tym całym górskim świecie; szczyty płonęły żywym ogniem, a płomień złoty i rudawy lał się rzeką po zboczach w przepaście. Paliły się śniegi na wierzchołkach dziwnym ogniem, który ich nie topił. Góry musiały się zapalić od słońca, co się przetoczyło nad nimi tak blisko, że mogło sobie pierś rozorać o ostry szczyt. Noc jednak powodzią mroku wnet zagasła pożary.

Janek, wynalazłszy jaką taką kryjówkę, mizerną strawą ledwie głód zaspokoiwszy, spędził noc u górskiego podnóża. Równie ze świtem, uzbierawszy na zapas zeschniętych jagód, grzybów i dzikich owoców, owinął nogi owczym runem, mocno je związał łykiem i wolnym krokiem zaczął się piąć pod górę. Szedł przez kamienistą pustynię i brnął przez niezmierną ciszę, jak przez senne morze. Rozgarniał piersią mgły, co wędrowały na doliny i szedł, i szedł. Tak mu się w tej ciszy uczyniło strasznie i samotnie, że zaczął mówić sam do siebie, aby słyszeć ludzki głos. Nagle milknął, oczarowany widokiem groźnym lub tak przedziwnie, niewymownie pięknym, że mu się zdawało niegodnym, aby mówić puste słowa wobec majestatu.

Sypiał w załomach skał, żywił się Jak ptak, lecz czuł, że długo takiej drogi nie wytrzyma. Słabnął coraz więcej. Nogi mimo skór owczych miał w ranach; żarty we dnie upałem, a w nocy kąsany przez chłód, miał skórę popękana; oczy jego gorzały gorączką; na wargach czuł spiekotę, którą daremnie gasił lodowatą wodą strumieni. Serce niespokojnie w nim się tłukło, oddech stał się ciężki i świszczący. Dotarł do ogromnej wysokości, gdzie go w tej chwili wytropiły wichry i wężyc zaczęły ludzki ślad. Szedł bezdrożem, nie wiedząc, czy jest jaka droga inna i łatwiejsza; zdierał sobie palce, którymi jak szponami czepiał się oślizgłych głazów. Czasem chciał paść i umrzeć, czym prędzej umrzeć, aby tak nie cierpieć; chciał usnąć i nie obudzić się więcej. Wtedy, jakby nagle

oszalał, podniecał się krzykiem i szedł, szedł, padając po sto razy. Chciał płakać i nie mógł. Wiedział, że musi iść, więc się włókł. Zostało z niego widmo z płonącymi oczyma, upiór, wędrujący chyba cudem.

Noc, nie wiedział już która, wypełnawszy z przepaści, sadowiła się wśród skał, a on jeszcze szedł. Wiedział, że to są jego ostatnie kroki, chciał więc dojść jak najdalej, aby ten ktoś, co Witalisa i jego losy w swoich ma rękach, ulitował się, kiedy się przekona, że pragnął iść aż do ostatniego tchnienia. Może za cenę jego życia i za cenę jego trudu, choć go nie spełnił do końca, daruje życie Witalisowi. Czepiła go się ta myśl i jak cierń boleśnie wbijała mu się w mózg. Uwierzył w nią i dlatego nie chciał spocząć. Cóż z tego, że odpocznie? Umrze jutro czy pojutrze, a on teraz chce dowieść, że uczynił, co mógł i ponad siły ludzkie. Zachwiał się raz i drugi. Jęknął i podniósł się, próbował iść dalej. Znowu padł i już się nie zdołał podnieść, więc się zaczął czołgać, jak człowiek ciężko ranny. Musiał już majaczyć, bo mu się zdawało, że przez śnieżycę, co zaczęła siec go niedawno, widać krwawe światelko. Nie mogła to być gwiazda, bo drżało ono nisko, a dokoła sterczały wysokie turnie.

- To śmierć chyba idzie ku mnie - pomyślał senną, słabnącą myślą. - Świeci sobie latarnią, aby nie zwalić się w przepaść... Boże, bądź miłościw duszy mojej... A ty mi przebac, ojcze, że padłem w drodze... Przebacz mi, Piszczalko, zem cię opuścił...

Oparł się o skałę i czekał. Światło drżało, lecz nie zbliżało się zupełnie.

- Przecież tu nikt mieszkać nie może! - pomyślał, nagle obudzony. - Czy ja wiem... czy ja wiem?

Światło było niedaleko, więc jak oczarowany zaczął czołgać się znowu. Czerwone oko światelka zadrgało silniej, przygasło i zakrwawiło się znowu.

Coś Janka pchnęło, coś mu dodało sił. Podniósł się z jękiem i zaczął iść. Zamajaczyło przed nim jakieś siedlisko zbudowane z kamieni, wśród których mały otwór, zakryty błoną, zastępował okno. Wewnątrz musiał płonąć ogień, co tę błonę krwawo czerwienił.

- Pomocy! pomocy! ratunku! - jęknął Janek.

- Wejdz, czekam dawno na ciebie! - ozwał się głos.

Janek już go nie słyszał, bo nagle czerwone światło zagasło mu w oczach, a on się stoczył w niezgłębioną przepaść mroku.

Kiedy się obudził z omdlenia, świt już błąkał się po szczytach. Janek, okryty skórą, leżał na tapczanie, a jakiś ogromny człowiek sączył mu do ust gorący napój.

- Pij, niebożę - mówił zachęcająco - myślałem, że się już nie obudzisz, ale twarde masz życie.

- Gdzie ja jestem?

- Prawie w niebie, bo stąd do nieba niedaleko.

- Aha!... - przypominał sobie Janek - czerwone światło... ktoś mówił...

- To ja mówiłem... Pij i śpij, na gadanie mamy czas!

- Ja muszę iść - mówił Janek w gorączce.

- Ty musisz spać! - rozkazał tamten.

Nie było potrzeby rozkazywania, bo Janek już spał. Nie wiedział o tym, że minęło wiele dni, a on spał ciągle, budząc się na krótkie chwile, a wtedy ten, co mieszkał w kamiennym osiedlu, karmił go troskliwie. Mało gadał przy tym, choć się wydawał człowiekiem dobrego serca. Patrzył na chłopca z podziwem, kręcąc głową, jakby nie mógł zrozumieć, że ten mizerota w łańchmanach mógł dotrzeć aż na te niedostępne wysokości.

Kiedy Janek zaczął powracać do sił, rzekł mu raz o wczesnym świcie:

- Czekałem na ciebie, bo wiedziałem, że idziesz, dlatego co nocy większy paliłem ogień.

- Skąd wiedziałeś?

- Widziałem ciebie ze szczytu, jak brnąłeś przez kamieniska. Musiałeś tędy przechodzić. A teraz ty mi powiedz: czemu ty tę obrałeś drogę?

- Musiałem iść wciąż na zachód.

- A dlaczego musiałeś?

- Tego ci powiedzieć nie mogę, choć jesteś dobry dla mnie.

- Twoja sprawa... I twoja szkoda, że nie poszedłeś drogą inną.

- A czy są drogi inne?

- Są takie, że konno przejechać można. Gdybyś, doszedłszy do gór, poszedł był na południe, znalazłbyś jakby bramę szeroką, którą dolinami bezpiecznie przejść można. Aż mi dziwno, że nie zginąłeś, biedaku. A dokąd ty idziesz?

- Nie wiem.

Obcy człowiek spojrzał na niego podejrzliwie, jakby mu nagle przyszło na myśl, że temu chłopcu od wielkich trudów rozum się pomieszał.

- Musisz iść daleko w takim razie - rzekł niepewnie.

- Nie gniewaj się - mówił - ale ja prawdę mówię. Idę tam, dokąd iść muszę, na zachód, wciąż na zachód. Jaki jest kraj na zachodzie?

- Tuż za górami aż do dalekich mórz leżą ziemię największego króla na ziemi, który żyje trzysta już lat.

- Jakżeż to być może?

- Nie wiem, ale powiadają, że jest przy nim wielu największych mędrców z całego świata, co mu przedłużają życie. Może on ma mniej lat, kto wie? Powiadają też, że on już dawno nie żyje, ale się porusza i patrzy, bo potężni czarownicy wsadzili w niego sztuczne serce i dali mu takie oczy, co są zrobione z diamentów.

- Jezus, Maria! - krzyknął Janek.

- O tym sercu to mi się wydaje nieprawda, ale o oczach to podobno prawda. Co z tobą?

- Muszę iść, muszę iść! - mówił gorączkowo Janek, zerwawszy się z posłania.

- Pójdiesz, ale jeszcze nie teraz. Nie zejdziesz sam z tych gór.

Janek chwycił go za rękę i zaczął mówić serdecznie:

- Byłeś dobry dla mnie... Mieszkasz wśród gór i znasz je pewnie. Ocaliłeś mi życie... Uczyń dla mnie to jeszcze i wyprowadź mnie z nich.

Tamten bardzo spochmurniał i uczynił się blady.

- Nie mogę tego uczynić! - rzekł twardo.

- Na Boga! - mówił Janek. - Czemu żyjesz w tym pustkowiu? Pójdź ze mną, wskażesz mi drogę, a sam powrócisz do ludzi.

- Nie mogę tego uczynić! - powtórzył tamten.

- Czemu, człowieku, czemu?

- Usiądź i posłuchaj. Nie mieszkałbym ja tutaj, gdyby nie klątwa, co nade mną wisi. Mieszkam tu już tyle lat, że zapomniałem ich liczby. Pochodzę z kraju, co leży u podnóża gór. Znam wśród nich każdą ścieżkę i każdą rozpadlinę. Czasem ze szczytu patrzę na rodzinną moją ziemię i wtedy gorzko płacę, bo mi tam już nigdy wrócić nie wolno.

- Dlaczego?

- Kiedy byłem w twoim wieku, byłem leniwy i pełen złości. Dziś odmieniła się we mnie dusza i serce mam łagodne, wtedy jednak wściekłość miałem w niedowarzonej głowie, a noc czarną w sercu. Kiedy mnie ojciec, co przewodzi pasterzom, zgromił raz potężnie, wtedy ja.. uderzyłem go... a kiedy upadł... kopnąłem go w pierś...

- O Boże!

- A on mnie przeklął... Straszliwie mnie przeklął: „Pójdiesz (wołał) w górskie pustkowie, gdzie mieszka zwierz tak dziki, jak i ty. I nigdy tu nie powrócisz! Gdybyś usiłował zejść w dolinę, niech ci będą odjęte nogi!” Wtedy ja krzyknąłem urągliwie: „A czy moja głowa może powrócić?” „Dobrze - rzekł ojciec - jeśli twoja głowa sama powróci, wtedy ja ci przebaczę”.

- Strach! strach! - szeptał Janek.

Tamten dyszał ciężko i mówił z trudem:

- ...Uciekłem, bo mnie uczciwi pasterze zabić chcieli, lecz on, ten ojciec sponiewierany, obronił mnie i pozwolił uciec. Dał mi krzesiwo, nóż ostry i trochę jadu. Zaszedłem tutaj i żyję gorzej niż dziki zwierz.

- Czy nigdy nie próbowałeś powrotu?

- Okropną ci teraz rzecz powiem. Chciałem wrócić, prędko chciałem wrócić, lecz kiedy zacząłem schodzić ku dolinom, natychmiast martwiały moje nogi, zamieniając się w kłody drewna. Próbowałem tego ze sto razy i sto razy padałem półmartwy. Przeklęte są moje nogi, bo skopałem nimi ojca. Bóg mi tego nie chciał widać przebaczyć.

- A ojciec?

- Stary on jest, bliski śmierci, a ja jestem jedynym jego synem, więc mi zapewne przebaczył i kto wie? - może teraz płacze, może narzeka i czeka na mnie, ale klątwa ma swoją moc. Jak długo głowa moja nie przyjdzie do niego, do nóg mu nie padnie i nie wyprosi zmiłowania, będę przeklęty.

Ukrywszy twarz w dłoniach, zaczął szlochać ciężkim szlochem.

- Ty jesteś pierwszym człowiekiem, którego widzę tu od tego czasu - mówił potem - dlatego przed tobą się spowiadam. Nikt tu nigdy nie przychodzi, bo tu mieszka przekleństwo. A ojciec mój płacze na dolinach. O Boże, o wielki Boże!... Dlatego ja na ciebie czekałem, dzielny chłopcze... Drogę ci stąd pokażę, ale sam nie przejdiesz po zdradliwych ścieżkach. Do dolin jest blisko bardzo, lecz sto przepaści jest po drodze, a głazy są kruche... Zginiesz, jeśli nie dotrzesz do szałasów pasterskich na wysokich połoninach, co są stąd o długi dzień drogi. A ja zaledwie kroków kilka w tamtą uczynię stronę, padam bez sił. Ale ja ci powiem co innego... Czy masz śmiałe serce?

- Będę je miał, jeśli tego trzeba.

- Słuchaj! Obmyśliłem ja tę rzecz dobrze, kiedyś ty tu leżał bez ducha. Straszne to jest, ale lepsze, niż to życie, które wiodę.

- Co zamierzasz uczynić?

- Przerwać pokutę... Głowa moja musi pójść do mego ojca.

Janek spojrzał na niego zdumiony.

- Jakże się to stać może?

- Stanie się, jeśli mi pomożesz... Ty ją poniesiesz!

- Ja? Twoją głowę? Czy jesteś szalony?

- Nie! Ja wierzę, że się cud stanie, bom serce oczyścił i duszę mam silną. Bóg mi ciebie zesłał... Odetniesz mi głowę i poniesiesz ją mojemu ojcu...

- Chryste Panie!

- ...Tak być musi. Jeśli zginę od razu, rzuć ją w przepaść, a sam idź... Może dojdiesz.... Gdyby Jednak głowa moja żyła, zanieś ją i rzuć do stop mego ojca... Zrozumiałeś?

- A ty? Co się stanie z tobą?

- Nie wiem... Ja myślę, że jeśli mi ojciec przebaczy, ciało moje przyjdzie, zejdzie też w doliny.

- To szaleństwo!

- Nie, chłopcze! Ja wierzę, że tak będzie!

- Jeśli zginiesz, ja będę mordercą.

- Nie! Rzecz jest sprawiedliwa, a ja wierzę, słyszysz, ja wierzę! - krzyczał tamten. - Weź mój nóż i tnij! Mój ojciec mieszka w pierwszej dolinie, zresztą ja cię poprowadzę! Tnij!

Janek straszliwe widział rzeczy, ale ta mu się wydała najstraszliwszą. Ten człowiek przemawiał jednak z takim zapałem i z taką żarliwą wiarą, że się chłopiec zaczął namyślać.

- Czy jesteś gotów na śmierć? - zapytał.

- Oczyściłem duszę i jestem gotów.

- Czy mi przebaczysz, jeśli zginiesz?

- Łaskę mi czynisz niezmierną, cóż ci mam przebaczyć? Tnij!

Pochylił głowę i czekał. Janek podniósł wzrok w górę, położywszy równocześnie łagodnie rękę na pochylonej jego głowie, cicho się modlił. Wtem spojrzął i krzyknął: głowa, nożem nie tknięta, oddzieliła się sama od tułowia, padłszy na ziemię.

- Czy mi się śni? - szepnął Janek.

W tej chwili odskoczył, bo ciało bez głowy podniosło się z trudem, jakby ktoś wstawał, co był ciężką złożony niemocą. Równocześnie głowa, radośnie patrząca, rzekła:

-- Dziękuję ci, chłopcze, że mnie ratujesz... Weź minie i idź... Ciało moje pójdzie za nami...

Janek drżał, jak na wielkim mrozie, kiedy obiema rękami podnosił żywą głowę; ścisnął ją pod pachą i niósł pełen przerażenia.

- Uczyń mi na czole znak krzyża! - rzekła głowa.

- W imię Ojca i Syna i Ducha świętego...

- Idźmy! Co czyni moje ciało?

- Stąpa za nami. O Boże!

- Kiedy minie godzina, obejrzyj się i powiedz mi, czy nie pada?

Janek nie odrzekł nic i szedł, jak zaczarowany.

Głowa rzekła cicho:

- Ciężko mi jest mówić... Będę mówił wtedy tylko, kiedy droga będzie trudna. Idź na lewo... Koło skały, co ma kształt sowy, zwróć się na prawo... Zimno mi...

Straszny pochód odbywał się w milczeniu. Kiedy minęła godzina, ozwał się głos spod ręki Janka:

- Obejrzyj się, co czyni moje ciało?

- Idzie! - rzekł Janek zdumiony.

- Dzięki ci, Boże - szepnęła głowa - klątwa mija... Teraz uważaj... Ostrożnie! ostrożnie!

Znowu szli: chłopiec, głowa i straszne ciało bez głowy, stąpające ostrożnie, badając, nogami grunt i próbując, czy się kamień nie obsuwa.

- Pośpiesz się! - rzekła głowa.

Janek przyspieszył kroku, stąpając niezmiernie ostrożnie, zbrojny w dwie pary oczów, z których jedna znała wszystkie ścieżki. Czasem zaś głowa mówiła niespokojnie:

- Stań!... Nie mogę sobie przypomnieć... idź prosto... tam musi być jodła!

- Nie widzę żadnego drzewa.

- Więc skręć na prawo... Dobrze!... już poznaję drogę... Co robi moje ciało?

- Zmierza na lewo, złą drogą! - krzyknął Janek. - Co robić?

- Wróć czym prędzej!

Janek pobiegł z powrotem.

- Ujmij moją rękę - rozkazała głowa i przeprowadź mnie przez to złe miejsce.

Chłopiec dotknął ręki bezgłowego człowieka i wzdrygnął się, bo była zimna. Przeprowadził go jednak, drżąc całym ciałem, i puścił czym prędzej na drodze właściwej. Był zmęczony dźwigając ciężar pod pachą i przejęty okropnością całej sprawy. Odpoczywali często, a wtedy Janek kładł głowę na głazie, a ona zamykała oczy. Kadłub wędrujący za nimi też przysiadał, a ruszał, kiedy i oni ruszali. Dzień miał się ku końcowi, a nocy chłopiec lękał się najwięcej. Biegł więc czym prędzej i po raz pierwszy sam zagadał do głowy:

- Czy daleko jeszcze?

- Nie! Tu już mieszkają ludzie... Pasterze... Wołaj!

Janek krzykiem donośnym nappełnił ciszę. W odpowiedzi odezwało się szczekanie psa.

Weszli na łąkę, na której stało kilka szałasów. Janek znowu zakrzyknął. Wyszli jacyś ludzie-dziko wyglądający i patrzący pochmurnie. Ujrawszy straszny pochód rozbiegli się w przerażeniu.

- Podnieś mnie wysoko! - rzekła głowa.

Janek ujął ją w obie ręce i podniósł wysoko. Wtedy ona zaczęła wołać:

- Ludzie dobrzy! Jestem ten, który był przeklęty przez ojca... Jestem ten, który mieszkał w górach...

Tamci zatrzymali się niepewnie, a jeden zakrzyknął:

- Wiemy wszyscy o tobie! Twój ojciec tu jest... Czekał na ciebie...

- O Boże miłosierny! - szepnęła głowa.

Ruch się wielki uczynił w pasterskim osiedlu. Zaczęto krzyczeć i biegać tam i sam.

- Prowadzą mego ojca! - zapłakała głowa.

Janek czuł, jak mu po rękach biegają łzy.

Dwaj pasterze wiedli pod ręce sędziwego starca, który drżał jak na wicherze. Patrzył szeroko otwartymi oczyma, nie dając wiary temu, na co patrzył. Gdyby go nie trzymano, byłby upadł.

- Rzuć mnie do jego nóg! - rozkazała głowa.

Janek szedł powolnym krokiem w stronę starca, a stanąwszy blisko, rzekł głośno:

- Ta głowa nieszczęśliwa prosi cię o zmiłowanie. Przebacz jej, bo wiele wycierpiała.

Szloch wielki targnął starym człowiekiem, a wszyscy dokoła też głośno płakali. Ojciec ukląkł, objął głowę syna i całował ją.

- Przebaczam ci! przebaczam ci!- mówił ze łzami.

Nagle zwróciwszy się do Janka zapytał:

- Gdzie jest jego ciało?

- Idzie! - rzekł Janek.

Strach wielki padł na wszystkich, kiedy zwróciwszy wzrok w stronę gór, ujrzeli ciało bez głowy, co ślaniając się szło ku nim. Oni zmartwieli w oczekiwaniu. Ciało zbliżyło się do starca i uklękło przed nim, a on, jak gdyby jakiś tajemny spełniał obrzęd, ujął głowę miłośnie i osadził ją na karku, skąd była zdjęta cudownym sposobem. Potem zawołał:

- Powstań, mój synu! Cud się spełnił!

Człowiek z gór powstał powoli, spojrzął dokoła jakby zdziwiony i rzekł:

- Niech będzie imię Boskie pochwalone!

Ucałował ręce ojca, a potem uczyniwszy krok ku Jankowi rzekł:

- Jego musi Bóg miłować bardzo. Wielkie serce ma ten chłopiec!

Janek dygotał cały ze wzruszenia i uśmiechał się śmiertelnie znużony.

Rozdział szesnasty i ostatni

w którym tak dziwne dzieją się sprawy, że słońce dla wszystkich wschodzi na zachodzie

Rozpromienił się dzień, w którym mijał rok i niedziel sześć od owej chwili, kiedy przybrany syn mędrca Witalisa poszedł na straszną swoją wędrówkę; przed bramą wspaniałej stolicy, której smukłe wieże jak kamienne kwiaty wznosiły się ku niebu, stanął o wschodzie słońca cień człowieka. Na młodzieńczej twarzy miał niezwykłą powagę, wyrytą na niej cierpieniem. Musiał dźwigać ciężką jakąś zgryzotę, gdyż stąpał pochylony. Podpierał się kijem jak pielgrzym, z którym przez wszystkie drogi idzie głód i chłód. Odzienie miał całe w strzępach; wyglądał jak jeden łachman, wyrudziały na słońcu i na deszczach. Z nóg, bardzo poranionych, owitych w owczą skórę na nic złachmanioną, ściekała czasem kropla krwi na proch drogi. Zdawało się, że za tym widmem człowieka nie 'długi czarny wlecze się cień, lecz że drugie za nim stąpa widmo: śmierć, czekająca, kiedy tamten padnie. On jednak nie padał, lecz dobywając ostatnich sił włókł się ku bramie miejskiej. Tam przystanął i podniósł w górę spojrzenie dziwnie smutne. Nagle drgnął i szepnął:

- Dzięki ci, Boże!

Szczęśliwy uśmiech, z wielkim trudem w sercu narodzony, rozświetlił jego oczy.

Janek - on to był bowiem - ujrzał na bramie kamienne godło wyobrażające psa; wizerunek wiernego stróża, co bramy strzeże, wyrzeźbiony był na łuku potężnej bramy.

Jakby mu sił nagle przybyło, szedł czym prędzej ku drugiej bramie mocno zawartej. Tam ujrzał dwa otwarte pyski psy, tak sztucznie w kamieniu wyrobione, że podczas pory deszczu spływała przez nie woda.

- Mam wejść przez bramę, której strzegą trzy psy... - szepnął i zaczął okrążyć miasto, aż dotarł do bramy najwspanialszej, nad którą dwie potężne piętrzyły się wieże.

Rozognionym wzrokiem zaczął szukać na niej wizerunku trzech psów, rozumiał teraz bowiem, że nie o żywych mówiono mu zwierzętach. Nad łukiem tej bramy uczyniony był fryz olbrzymi, na którym sztuką przedziwną wyobrażona była postać kobiety, mającej półksiężyc nad czołem, a w ręku dzierżącej smyczę; rwały się z niej w pogoni za jeleniem trzy psy ogromne w kamieniu wykute.

Chłopiec osunął się na kolana, twarz zakrył rękami i długo się modlił. Zaczem powstał, wstrząsnął się tak, jak gdyby chciał z siebie zmieść pył nieskończonych dróg, i zwinętą dłonią po trzykroć uderzył w bramę.

Otworło się okienko, a jakiś głos zapytał:

- Kto tak wcześnie chce wejść do stolicy?

- Pielgrzym... - odrzekł Janek.

- Skąd wędrujesz?
- Ze wschodu.
- Dokąd dążysz?
- Na zachód... do tej bramy, której strzegą trzy psy...
- Czy wejdiesz, jeśli w mieście jest morowe powietrze?
- Wejdę!...
- Czy wejdiesz, jeśli ci bramę otworzy śmierć?
- Wejdę!...
- A czy wiesz, jaki jest dzisiaj dzień?
- Dzisiaj jest dzień, w którym mija rok i niedziel sześć.
- Wejdz, w imię Boże! - ozwał się głos uroczyście.
- Witają mnie tu Bożym imieniem? - zdumiał się Janek.

W tej chwili otwarła się brama szeroko, ciężko rozwijając dwoje skrzydeł.

Janek wszedł pod ciemne sklepienie i szedł ku światłu, co się w nie wlewało jak w gardziel. Słyszał stuk swojego serca, które wiedziało, że oto ten człowiek idzie na męki, na niewolę i pohańbienie.

Wtem ze światła ktoś począł iść ku niemu. Janek przysłonił oczy ręką i zadrzał: szedł ku niemu ów czarny, co mu sprzedaj oczy. Twarz miał tak samo bladą, jak i wtedy, tylko w spojrzeniu nie miał srogości.

- Przyszedłeś w ostatniej godzinie! - rzekł. - Czy gotowy jesteś na wszystko?
- Tak, panie...
- Tedy idź za mną.

Wywiódł go na obszerny majdan, na którym stała bogata lektyka, a przy niej ośmiu ludzi potężnych i silnych.

- Wejdz! - rozkazał.
- Jakże to, panie?... - zdumiał się Janek,
- Czy winien mi jesteś posłuszeństwo?

- Tak.

- Czyń więc, co mówię!

Janek wszedł do lektyki i ciężko usiadł, czekając, aż czarny pan usiądzie przy nim. Tamten jednak dał znak olbrzymom, którzy ją ponieśli jak piórko, sam zaś zdjęwszy nakrycie głowy szedł obok pełen zadumy.

Droga była daleka, poduszki miękkie, a lektyka kołysała się łagodnie. Na Janka spłynęła jakaś błogość i dobra senność. Bronił się jej długo, wreszcie usnął. Zwyciężyło go niehumaniczne znużenie i ten kęs drogi ostatni, kiedy opuściwszy pasterzów, żegnających go na kolanach, przedzierał się przez wody i lasy, przez wzgórza i doliny, mało już do człowieka podobny. Księgę wielką napisano o tej jego podróży ostatniej, księgę pełną dziwów i przygód okropnych, o których długo potem śpiewano pieśni. Szedł ze śmiertelnym uporem jak bohater, wiedząc, że go na końcu drogi nie odpoczynek czeka, lecz męczarnie, za które kupił szczęście ukochanego człowieka.

Janek nie wiedział ani kiedy, ani dokąd go przyniesiono. Obudził się, kiedy mu ktoś rękę położył na ramieniu. Stał przy nim ów w czarnym stroju i podawał mu złoty kielich, mówiąc miękko:

- Wypij to!

- Czy to trucizna? - zapytał Janek bez drżenia w głosie.

- Nie! Jest to kordiał, który ci siły powróci. Czekają cię takie rzeczy, że musisz być silny.

- Wiem, panie! - szepnął Janek.

- Może wiesz, a może nie wiesz - uśmiechnął się tamten.

Janek wypił chciwie napój, który miał gorącość ognia, a czując, że go skrzepił niezmiernie, rzekł głośno:

- Pójdźmy, panie.

- Dokąd?

- Wszak mnie będziesz męczył... Taka jest ugoda...

- Taka jest ugoda! - szepnął czarny pan jak echo. - Czy jesteś gotów?

- Jestem gotów!

- Za chwilę uderzą w dzwony, wtedy cię wyprowadzę na sąd.

- Kto mnie będzie sądził?

- Wielka Rada!

- Czy mam czekać tutaj?

- Tak!

- Wszak to nie jest więzienie! - wykrzyknął Janek zdumiony, wodząc spojrzeniem po sali stokroć bogatszej niż ta, którą widział u pogańskiego monarchy.

- Czasem tak właśnie wyglądają więzienia - rzekł smutno czarny człowiek. - Usiądź tu i czekaj. Jednego ci tylko nie wolno! Nie zbliżaj się do okna i nie patrz poza nie. Ja teraz odchodzę...

- Panie! - rzekł cicho Janek. - Uczyń mi przed śmiercią łaskę niezmierną, abym mógł umrzeć spokojnie. Powiedz mi, co się dzieje z ojcem moim.

Czarny człowiek spojrzał na niego dobrym spojrzeniem.

- Dowiesz się o tym, kiedy odezwie się głos dzwonów.

Kiedy Janek pozostał sam, zaczął rozmyślać. Dziwił się, że siedzi w złotej sali i że go krzepią kordialem. Pomyślał, że to z tej przyczyny, aby mu przyszłość straszniejszą się wydała i aby miał siły na męczarnie. Czekał teraz z utęsknieniem głosu dzwonów, choćby to miały być dzwony pogrzebowe. Jeśli się dowie, że Witalis jest szczęśliwy, cóż mu reszta!

Zerwał się, kiedy je usłyszał. Głos wielki i nabrzmiący czystym dźwiękiem przewalał się uroczyście; tym głosem oznajmia niebo dobrą nowinę ziemi.

Janka wielkie wzruszenie chwyciło za gardło. Złocene drzwi otwały się szeroko i weszło dwunastu rycerzów w zbrojach świetnych i połyskliwych. Wśród nich stąpił powoli czarny pan ze złotym na szyi łańcuchem.

Chłopiec patrzył zdumiony, gdyż wszyscy pochylili głowy, a czarny pan zawołał donośnie:

- Sąd ciebie woła, abyś natychmiast się stawił!

Janek bez słowa szedł w otoczeniu zbrojnych, wobec ich świetności jeszcze bardziej żebraczo wyglądający. Wiedli go przez niezliczone komnaty i przez marmurowe krużganki, wśród wielkiej ciszy, która kapała od złota spływającego ze ścian. Wyszli na ogromny podwórzec zatłoczony ludźmi. Wszystkie galerie dokoła były ich pełne, obsiedli wszystkie dachy, wdrapywali się na głowice kolumn. Janka wiedziono na miejsce puste, gdzie na podwyższeniu nakrytym purpurą siedziało dwunastu mężów wielce dostojnych. Powstali, kiedy on się zbliżył, a skłoniwszy się, znowu usiedli.

Nikt nie przemówił słowa, nikt w ciżbie nie zakrzyknął, tylko dzwony zanosły się niskim jękiem. Janek mrużył oczy nie mogąc znieść widoku tych kolorowych świetności, co się rozkwieciły dokoła pysznymi kolorami szat i drogich kamieni. Czuł, że wszystkie spojrzenia utkwily w nim i że dotykają jego okropnych łachmanów.

Ów, co mu sprzedał oczy, stanął przy nim i dał znak ręką. Dzwony kołysały się przez chwilę jeszcze, aż w nich wreszcie umilkły rozdygotane serca. A on mówił głosem potężnym, aby go

wszyscy słyszeć mogli:

- Dostojnicy, książęta, hrabiowie, rycerze, wasale i ty, narodzie tu zebrany! Słuchajcie, co wam ma powiedzieć pierwszy minister tego królestwa, któremu zdano pieczę nad państwem!

Szmer ozwał się cichy na znak, że wszyscy do słuchania są gotowi.

- Kiedy umarł król nasz, któremu niech wieczysta będzie chwała...

- Chwała! chwała! - odegrzmiały krużganki, kolumny i dachy.

- ...osierocone zostało królestwo najpotężniejsze na ziemi, albowiem z nim razem zagasnął ród królewski, co przez lat dwa tysiące władał tą ziemią. Wszak wszystkim o tym wiadomo?

- Wiadomo! wiadomo! - odegrzmiały podwórza, galerie, kolumny i dachy.

- Król nasz jednak zostawił wolę swoją ostatnią, spisana -na pergaminie i poświadczoną uroczyście przez wielkiego kanclerza i przez dostojnych ministrów pana naszego. W niej rozkazywał i zaklinał, aby tronu, na którym siedział ród jego przez lat dwa tysiące, nie zajął nikt niegodny. Miał na nim sięść nie ten, co urodzeniem jest najwyższy, lecz ten, co zasługą ponad wszystkich się wyniósł, jak się dąb ponad krze mizerne wynosi. „...Wolej - pisał pan nasz - niech nikt nie panuje, niżby miał panować niegodny!” Przykazał nam dalej, abyśmy najsroższym próbom poddali tego, na którego zwróca się nasze oczy...

- O Jezu! - szepnął Janek. - Co on mówi?

- Dostojnicy i ty, narodzie! Radę wielką złożywszy, szukaliśmy przez lat trzydzieści takiego, co by wielkością duszy zaświadczył, że godzien jest sięść na tronie tak wsławionym. Szukaliśmy na naszych ziemiach i na ziemiach dalekich i nigdzie takiego nie było. Poddany ciężkiej próbie ten i ów, czy to był książę, czy pochodził z gminu, słabnął szybko i cofał się we własne przerażenie jak w mrok. W rozpacz wielkiej będąc pytaliśmy mędrców i uczonych, i tych, co czytają w gwiazdach. Oni to nam powiedzieli, że wśród narodu, co jednej z nami jest krwi, a daleko stąd w lasach niebotycznych mieszka, jest ktoś, komu gwiazdy najświetniejszy gotują los. Wtedy ostateczną uczyniliśmy próbę, a ten, który próbom tym nad miarę straszliwym poddany został, stoi oto tu. Ten ci jest, łachmanami tymi okryty!

Tłum ludzi zakołysał się, szemrząc, jak ul poruszony. Każdy chciał ujrzeć tego chłopca, nad którym chwiały się jeszcze wielkie słowa. On stał nieporuszony, z zaciśniętymi ustami i płonącymi oczyma.

Pierwszy minister podniósł rękę na znak, że mówić będzie. Znowu się uciszyło, a on zawołał wielkim głosem:

- Sąd walny nad nim uczynimy, aby mogli rozważyć wszyscy, czy chłopiec ten łachmanami okryty ma być wywyższeń, czy go też z miasta wygnamy, jako wygnano tych wszystkich słabego serca, co byli poddani próbie.

- Co uczynił? co uczynił? - zawołał tłum. - Kim jest? Skąd przychodzi?

- Chłopiec ten jest sierotą, synem żołnierza, którego przygarnął mędrzec wielki imieniem Witalis.

- Niech będzie pochwalony mędrzec Witalis! - zakrzyknęło wielu w ludzkiej ciżbie.

- Wielki ten mędrzec, którego świat cały Sławi, oślepił, zanim dokonał dzieła swojego żywota. Wtedy ja, przez Wielką Radę nauczony, od maga perskiego kupiłem zaczarowane oczy i udałem się do siedziby Witalisa, aby je sprzedać temu chłopcu. A on je kupił! Lecz za straszną je kupił cenę... Chcąc zbadać hart jego ducha, chociaż krajało się we mnie serce, kazałem mu, aby się z miłości do przybranego ojca wyrzekł wszystkiego na tej ziemi, a ojca przede wszystkim.

- O Boże, Boże! - szeptał Janek.

- Uczyniłem to, albowiem ten, co milionami ma rządzić, musi serce swoje i miłość swoją poświęcić. Musi umieć cierpieć, aby nie cierpieli inni. Musi szczęście innych umieć kupić za nieszczęście własne.

- Czy ten, który stoi w łachmanach, uczynił to? - zapytał jeden z Wielkiej Rady.

- Zaprawdę, uczynił to! Ból go giał, serce w nim skowyczało, płakała jego dusza, a on zaciąwszy usta poświęcił się okropną czyniąc ofiarę, albowiem nie wyjawiał, dlaczego to czyni. Serce wielkie okazał ten chłopiec! Wyrzekł się | wszystkiego dla wielkiej miłości, a zamiast wdzięczności, hańbę przyjął, aby ocalić tego, którego kochał.

- Dalej, dalej, mów dalej - zakrzyknięto w tłumie.

- Rozkaz otrzymał, aby w dniu oznaczonym tutaj stanął. Słuchajcie: umierał sto razy, w ranach szedł, a jednak szedł, choć przypuszczał, że na męczarnie będzie wzięty. Tak musi czynić ten, co ma władać narodem. Chciał życie oddać, aby dotrzymać przysięgi!

- Mów dalej, na Boga, mów dalej!

- Kiedy swoją strasliwą odbywał drogę, ratował się od najsroższych niebezpieczeństw, byle aż tutaj przynieść życie, któremu od niego żądał. Ratował się albo rozumem przemysłnym, albo odwagą niezmierną, albo taką siłą ducha, że podziw brał wielki tych, co na niego nastawali. Przyjaciela znalazłszy w drodze, niejakiego Piszczalkę, chudzinę bezbronną, ratował go z narażeniem własnego życia. Krwią chciał spłynąć, aby tamtemu kroplę wody wyżebrać. Ostatnim tchem goniąc, dźwigał tamtego, aby ujść pogoni. Ten, co w łachmanach tutaj stoi, wiemy to jest przyjaciel i serce ma szlachetne! Lecz nie koniec to jeszcze!

- O Boże, Boże! - szeptał Janek.

A czarny dostojnik, z wielką miłością na niego spojrzawszy, mówił:

- Schwytany przez szaleńców, co czczą proch ziemi, nie chciał się wyrzec prawdy, którą znał

od ojca swojego, za co go żywym ogniem piekła i na śmierć skazali.

W strojnej ciżbie ludzkiej wielki słyszeć się dał szloch; serca napełniły się nagłą miłością dla tego biedaczyny w łachmanach, z ranami na nogach. On zaś płacz usłyszawszy zwrócił twarz w tą stronę, skąd go słyhać było, jakby bardzo zdziwiony. Właśnie promień słoneczny padł na niego i głowę mu wyłocił. Oczy jego rozbłysły i tak stał, przedziwnie piękny w swej strasznej biedocie, wodząc niebieskim spojrzeniem po tłumach i nie wiedząc, że gdzie to spojrzenie padło, tam serca ludzkie miękły i chciały płakać ze wzruszenia.

- Potem - wołał czarny dostojnik, lecz głosem już drżącym - siekli mu plecy aż do krwi, bo się Boga swojego zaprzeć nie chciał.

Gdyby z niego opadły te szmaty, ujrzelibyście ciało pełne świeżych blizn.

Znowu się szloch zerwał, jak ptak, i latał wśród ludzi.

- Uciszcie się! - mówił pierwszy minister - bo to nie wszystko jeszcze. Oto chcieliśmy wybadać, czy jako ojca porzucił, aby mu dać i wzrok, i życie, porzuci też i towarzysza wiernego bez jednego słowa narzekania, aby tylko dotrzymać przysięgi, którą mi złożył. Okrutna to była próba i niech nam Bóg przebaczy, żeśmy ją uczynili, raz już go doświadczywszy. Powiedzieli jednak w Wielkiej Radzie: „Wiedzieć to musimy, czy się hart duszy jego prędko nie łamie? Czy raz wielkiej dokonawszy rzeczy, będzie ją umiał dokonać raz drugi”.

- Czy uczynił to? - zapytano z Wielkiej Rady.

- Zaprawdę, uczynił to! - rzekł z mocą minister. - Nie zawahał się, lecz do wielkiego dążąc celu, pozbawił się pomocy towarzysza, jaką z niego miał.

- Niech mu Bóg błogosławi! - zakrzyknięto w tłumie.

- Poszedł samotny i wśród męki niewypowiedzianej przebrnął przez góry, tocząc krew z rąk i nóg. W górach ratował człowieka, co był przeklęty, bez trwogi czyniąc to, co by innemu krew zmroziło w żyłach. Potem o głodzie, do, ostatniego wyczerpany tchu, szedł przez rozległe kraje, jedno mając pragnienie, aby życiem zapłacić za te oczy, przez które przejrzał jego ojciec miłościwy. Stawił się o godzinie oznaczonej gotów na śmierć. Przyszedł, aby wylać ten ostatek krwi, który w nim pozostał. Nie cofnął się! Nie zawahał się ani razu! Nie po nagrody tu przyszedł, lecz na męczarnie, bo tak mniemał. Książęta, hrabiowie, rycerze, wasale i ty, narodzię wspaniały! Sto razy mógł zginąć, lecz Bóg go zachował. Spowiadam się, że byliśmy bez litości dla niego, lecz nie mogliśmy czynić inaczej z tym, który ma rządzić narodem wielkim. Szukaliśmy bohatera, który ma serce wspaniałe, a inaczej znaleźć go nie było można. Bóg nam przebaczy, bo w dobrej czyniliśmy sprawie, a ten, co tu w łachmanach stoi, przebaczy nam, kiedy padniemy do jego stóp, które są skrwawione. Powiedziałem, a teraz sądziecie!

Wielka cisza zaległa zgromadzenie; słyhać było tylko ciężkie westchnienia i głębokie ludzkie oddechy. Wszyscy wpatrzeni byli w tego chłopca, patrząc przez łzy szczęśliwi, że się znalazło serce takie cudowne na szarej ziemi.

Powstał w tej chwili najstarszy z Wielkiej Rady i rzekł donośnie:

- Czyniliśmy mądrze i dobrze, albowiem uczyniliśmy to dla szczęścia naszej ziemi. Lepiej, żeby cierpiał jeden, niż żeby miały cierpieć miliony. Okropnie cierpiał ten chłopiec, lecz patrzcie; jaką ma twarz promienistą i jaką dumę ma na czystym czole! Nie poszło na marne cierpienie, z którego, jak z gorejącego ognia, wyjęliśmy serce z żelaza. Słuchajcie teraz, bo będę go pytał...

- Słuchajcie! słuchajcie! - zaszemrał tłum.

- Młodzieńcze z obcej ziemi! Czy to, co mówił pierwszy minister, jest prawdą?

- Tak było - odrzekł Janek głosem czystym i jasnym - lecz nie moja to zasługa.

- Jakże to? Nie ty tego dokonałeś?

- Ja, lecz z pomocą wiernego towarzyszą i jeszcze jednego człeka, który mnie ratował z podziemi.

- Sprawiedliwie mówisz i tym większa twoja chwała. A teraz odpowiedz: czy są świadkowie tego, co się stało?

Janek spojrzał zdziwiony.

- Nie ma świadków, panie. Ojciec mój jest daleko, towarzysz mój tuła się gdzieś po świecie, a o tamtym człowieku nie wiem, kędy się podziewa.

- Są świadkowie! - zakrzyknął czarny dostojnik.

Tłum się poruszył tak, jak czasem wiatr zboże porusza.

W tej chwili na dany znak wyprowadzono spomiędzy ludzkiej gęstwy człowieka siwego jak gołąbek, z twarzą tak jasną, jak słońce.

Janek spojrzał i wydał krzyk przeraźliwy:

- Ojcze! ojciec najdroższy!

Chciał się rzucić ku niemu, lecz któryś z Wielkiej Rady zakrzyknął:

- Stój tam, gdzie stoisz! A ty, mędrco czcigodny, sławiony na całym świecie, racz nam powiedzieć, co wiesz o tym chłopcu?

- Wiem - mówił głosem donośnym, lecz pełnym łez, Witalis - że nie ma chyba na świecie duszy cudowniejszej i bardziej czystego serca. Jest ono pełne miłości tak wielkiej, że tego nikt wypowiedzieć nie umie. Chłopcu temu zawdzięczam życie i oczy. Zapłacił za nie cenę tak straszliwą, że więcej cierpiał, niżby był umierał przez lat sto.

- Przeklinałeś mnie, ojczy? - krzyknął Janek.

- Błogosławiłem cię. Nie wiedziałem, dlaczego Uczyniłeś to, co uczyniłeś, lecz serce moje mi mówiło, że musiałeś tak uczynić. A kiedy odszedłeś, ów dostojnik, co ci oczy sprzedał, odkrył mi rzecz całą, tu mnie ze czcią wielką przywiózł i tu mi na ciebie czekać kazał. Wtedy dopiero zacząłem cierpieć, wiedząc, że ty cierpiełeś! Bądź pozdrowiony, synu mój!...

Nie mógł mówić dłużej, gdyż go szloch wielki chwycił za gardło. Panowie ujęli go pod rękę i z szacunkiem niezmiernym odprowadzili na stronę.

- Niech wejdzie drugi świadek!

Ku zdumieniu Janka wprowadzono pisarza podziemnych ludzi. Ten głosem pewnym dał świadectwo, że Janek zaprzeczył ich szaleństwu i że w obronie wielkiej prawdy swego ojca żywym ogniem był palony.

- A tak samo byłby i śmierć poniósł! - dokończył.

- Chwała mu, chwała mu! - zakrzyknięto.

- Czy ja śnię? - szeptał Janek.

- Niech wejdzie trzeci świadek!

Janek zwrócił szybko spojrzenie i krzyknął. Rozpychając się łokciami, śmiejąc się i płacząc równocześnie, biegł na kozich nóżkach najmilszy Piszczalka, a dopadłszy wzniesienia, rzucił się na Janka jak obłąkany. Gadał coś, czego nie można było zrozumieć, bulgotał i piskał, całował go, becząc rzewnie i tak głośno, że słyhać go było w najdalszym zakątku. Musieli go odrywać siłą i niemal nieść na rękach, bo się bronił i wierzgał. Śmiali się ludzie na ten widok, ale śmiali się przez łzy.

Trzeba było długiego czasu, aby uspokoić straszliwego tego męża, co wylupiastych swych oczów, poczciwych, jak sama poczciwość, nie odejmował z twarzy Janka, który się uśmiechał szczęśliwy.

- Powiedz nam, Piszczalko - mówił najstarszy z Rady - czy prawdą jest, że cię ten oto, co tu stoi, ratował dwukrotnie...

- Co tu dużo gadać! - przerwał Piszczalka z wielkim wrzaskiem. -- Nie dwa razy, ale sto razy mnie ratował, karmił i poił, i człowieka ze mnie uczynił. Nie ma takiego drugiego na świecie i koniec!

- A jednak cię porzucił na pustyni!

- Kiedy? jak? Nigdy mnie nie porzucił! To jakieś wielkie łgarstwo... Wstyd, żeby gadać takie rzeczy!... To mnie porwano, bo spałem, i tu przywieziono. Gdybym był nie spał, spadłoby parę głów, bo szablę noszę nie od parady. Czego wy od niego chcecie? Puśćcie go natychmiast, bo się

wścieknę, a w gniewie jestem straszny!

Nagle mrugnął w stronę Janka porozumiewawczo i krzyknął:

- Janku, zmykajmy!

Wielki śmiech ryknął ponad nimi i okrzyki:

- Niech żyje Piszczątka! Dzielny Piszczątka!

On się stropił cokolwiek, a widząc, że Janek słonecznie się uśmiecha, patrzył cokolwiek ogłupiałym wzrokiem, ale straszne szczerząc miny na wszelki wypadek.

Cała Wielka Rada powstała. Najstarszy, nakazawszy ciszę, zawołał:

- Narodzie! Czy ten, co tu stoi w łachmanach, dowiódł, że ma serce wielkie?

- Tak, o tak! - zakrzyknął tłum.

- Że ma duszę nieugiętą?

- Tak, o tak!

- Czy godzien jest tego, aby na jego czyste czoło włożyć koronę, a te łachmany okryć purpurą?

Krzyk tak potężny zerwał się, że mury zadrżały:

- Godzien, godzien, na Boga!

Janek struchlał. Wodził niebieskimi oczyma po ludzkim zgromadzeniu, jak gdyby nie rozumiał, co się dzieje. Był tak piękny w tej chwili, jak dziecko, co nie wie o wielkim szczęściu. Szukał spojrzeniem Witalisa, a znalazłszy go, uśmiechał się łzawym uśmiechem.

Tłum huczał i rwał się przez łańcuch straży. Ludzie śmiali się i płakali, i rzucali się sobie w objęcia. Wtedy człowiek, co sprzedał zaczarowane oczy, skinął na służbę, a po chwili, wśród nagłej ciszy, narzucił na łachmany Janka płaszcz purpurowy, potem ukląkł i rzekł:

- Przebacz mi, miłościwy panie!

Wtedy tłum wybuchnął jak burza:

- Niech żyje król! Niech żyje król!

- Synu! synu! - zaszlochał Witalis.

- Raz kozie śmierć! - wrzasnął Piszczątka i beknął potężnie.

Dzwony zaczęły grzmieć, ogłaszając ziemi dobrą nowinę, że serce szlachetne i dusza wspaniała

zostały ukoronowane i chodzić będą w majestacie.